

**Mariia Kamenska**

**Bliscy nieznajomi**

© Copyright by Mariia Kamenska  
oraz wydawca Józef Franciszek Wójcik

Tłumaczenie:  
Mariya Bracka, Stanisław Ułaszek, Dorota Piasecka

Korekta: Wiesława Klawiter

Projekt okładki:  
Mariia Kamenska, Jolanta Gajda

Informacje w Internecie:  
Facebook: Mariia Kamenska  
Instagram: mariia\_kamenska\_new

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu Instytutu  
Literatury w ramach Tarczy dla Literatów



Finansowe wsparcie udzielił też  
Urząd Miasta Gdynia



Gdynia: 2022

ISBN 978-83-929056-8-4

Druk i oprawa: Drukarnia Optima s.c. Gdynia, ul. Orańska 6A

## *Spis treści*

Od autorki .....	4
Ona pojawiła się w czwartek .....	5
Cudzy notatnik .....	35
Prawda czy kłamstwo? .....	82
Cudze listy .....	95
Koniec świata .....	105
Obca ręka .....	117
Życie trwa .....	125
Czułość .....	139
Dwaj przyjaciele .....	147
Pięcioro nieznanomych na wyspie .....	158
Opowiadania po ukraińsku .....	188

## *Od autorki*

Bliskość nie dzieli ludzi na swoich i innych. Nie obchodzi jej, jak długo trwa znajomość: lata, miesiące, tygodnie czy minuty. Zakrywa głowę bez pytania o pozwolenie, jako niewidzialna, ale nieodparta siła. Poprzez spojrzenia, dotknięcia, listy, a nawet zeszyty. I nagle nieznajomy staje się swoim, najbliższym, najdroższym na świecie. Przyjacielem, aniołem, nauczycielem lub ukochaną osobą. A na pewno tym, z którym chcesz się dzielić sobą, swoim sercem, swoimi uczuciami. Z kim chcesz znaleźć i podzielić się radością życia. Ten zbiór zawiera 10 opowiadań, w których odbywają się ważne bezcenne spotkania, które napędzają życie bohaterów sensem, czułością i miłością.

## Ona pojawiła się w czwartek

*Przetłumaczyła: Dorota Piasecka*

Ona pojawiła się w moim życiu w czwartek i przyznając się, naiwnie sądziłem, że następnego dnia na szczęście zniknie, przecież tak zazwyczaj bywało, lecz bliżej soboty jej obecność wręcz nasiliła się. Wtedy pomyślałem sobie, że najprawdopodobniej do poniedziałku ona rzeczywiście odejdzie, przecież kobieta nie może, ot tak, pojawić się w domu mężczyzny i pozostać w nim na zawsze. Z całą pewnością będzie musiała pójść do pracy. Kiedyś tam zechce spotkać się z krewnymi, kolegami, przyjaciółmi, a może nawet wyruszyć w podróż. W każdym razie, prędzej czy później, znajdzie pretekst, by opuścić mój dom. Ale w niedzielę zacząłem o tym wątpić. Nie zająknęła się ani słowem o tym, że dokądś musi iść lub gdzieś na nią czekają i zanim słodko zasnęła na moim ramieniu, nawet nie nastawiła budzika.

I tak w ogóle, w ciągu trzech dni przebywania w moim domu ona ani razu nawet nie wyraziła chęci, aby wyjść na spacer. Co, nawiasem mówiąc, było bardzo niezwykle. Przecież najczęściej kobiety, z którymi w taki czy inny sposób miałem do czynienia, zupełnie nie mogły usiedzieć na miejscu. Trzeba było je nieustannie dokądś prowadzić, jakoś zabawiać i ponadto robić coś jeszcze, aby spodobać się im i móc liczyć na ich łaskawość. Ale jej to było jakby zupełnie niepotrzebne. Wyjęła z torby książkę i całą sobotę przeleżała na kanapie w salonie z dużą misą jabłek. Jak dobrze, że w środę kupiłem jabłka na wiejskim ryneczku. Okazało

się, że ona je uwielbia. A w niedzielę, z samego rana, wzięła swój laptop, który, rozumie się samo przez się, także znalazł się w jej torbie. Nie zdziwię się, jeśli w tej torbie odnajdą się jeszcze setki rzeczy służące temu, aby w ogóle nigdy nie musiała opuszczać mojego domu. I zasiadłszy z laptopem przy kuchennym stole, zjadała naleśniki z jagodami, które przygotowywałem po prostu z wirtuozerią, popijając je zaparzoną przeze mnie kawą z kardamonem. Szczerze mówiąc, ja nawet nie podejrzewałem, że tak smacznie gotuję. Podczas obiadu poprosiła o dokładkę. A na kolację odważyłem się przygotować swój firmowy pieróg ze szparagami i kartoflami. Dawno nie gotowałem, a kobietom już tym bardziej. Ona była pełna zachwytu.

Lecz nie ośmieliłem się zapytać o jej pobyt w moim domu, nie dałem rady. Z jednej strony, bardzo nie lubię niezręcznych sytuacji, a spytać kobietę, z którą spędziłem noc, do tego bardzo przyjemną (staram się nie chwalić), czy nie zamierza ona przypadkiem odejść, była to moim skromnym zdaniem taka właśnie sytuacja. A z drugiej strony, po tym, jak cały piątek i sobotę nosiła moją futbolówkę, w której wyglądała niesamowicie pociągająco, zapytać ją o to wydało mi się, co najmniej czymś niegrzecznym i już z pewnością niestosownym. A kiedy w mojej łazience pojawiła się jej szczoteczka do zębów, którą z pewnością wyjęła z torby, jak magik z kapelusza, a cały mój dom wypełnił się jej słodkim zapachem z nutami róży i przypraw orientalnych, uznałem wypytywanie nawet za nieco nieprzyzwoite.

Ale rzecz jeszcze w tym, że w żaden sposób nie mogłem przypomnieć sobie jej imienia. Poznaliśmy się na wieczorku pożegnalnym mojego kolegi Eryka, na którym ja praktycznie nikogo nie znałem. Zazwyczaj nie biorę udziału w takich imprezach, przedkładając niewielkie grono swoich przyjaciół, z którymi czuję się pewnie i komfortowo. Z nieznanymi najprościej można wpakować się w nieprzyjemną sytuację, co to spotkanie właśnie potwierdziło.

Jednak w swojej obronie powiem, że z imionami mam prawdziwy kłopot. Dobrze zapamiętuję cyfry, miesiące, lata. Mogę podać dokładną datę, kiedy odbył się ten czy ów mecz mojej ulubionej drużyny piłkarskiej, lecz jak miała na imię mama mojego najlepszego szkolnego przyjaciela, nie powiem, chociaż dzień i noc przesiadywałem u niego w domu. A teraz nie mogłem przypomnieć sobie imienia kobiety, niespodziewanie zamieszkałej u mnie w domu. Na pewno jakoś na „A”. Anna? Amanda? Aleksandra? Nie, „A” – to był szczyt moich możliwości.

I tutaj ważne uzupełnienie: nie tak, że je zapomniałem, ja go od początku nie dosłyszałem. Tak niekiedy bywa: w pomieszczeniu zgiełk, wszyscy wrzeszczą, człowiek wymawia swoje imię, a ty go nie słyszysz. Pytasz ponownie, człowiek powtarza, a ty znowu nie rozumiesz i prosisz, aby powtórzyć jeszcze raz. I gdzieś po czwartym razie poddajesz się, kiwasz głową i na zawsze pozostajesz z nadzieją, że kiedyś poznasz to imię.

Pół roku temu miałem stażystę i tak samo nie dosłyszałem jego imienia. Przedstawiono nas sobie właśnie wtedy, kiedy

odpowiadałem na pilny telefon. Jak na złość, przez cały tydzień byliśmy sami we dwójkę w biurze i nawet nie było kogo zapytać. I żeby nie zdradzić się (mówiłem już, że nie znoszę niezręcznych sytuacji), mówiłem na niego „mój kolego”. Nawet próbowałem znaleźć jego akta personalne, lecz w rezultacie poddałem się i postanowiłem, że będę zwracać się do niego wyłącznie wtedy, kiedy potrzebna będzie jego pomoc. Dlatego większość czasu siedział on bez zajęcia, a kiedy pod koniec tygodnia jednak pomoc okazała się mi potrzebna, a ściślej mówiąc duże cappuccino z podwójnym espresso, zwróciłem się do niego „mój kolego”, on popatrzył na mnie srogo i spytał: „Jednak nie przypomniał pan sobie mojego imienia?”. Przytaknąłem i szybko uciekłem, jakbym to ja był jego stażystą, a nie on moim. No dobrze, stażysta był i odszedł, ale co począć z kobietą w moim domu? Nazywać ją „moja koleżanko” naprawdę nie mogłem.

Ona zwracała się do mnie po imieniu – Brian. I w jej ustach to imię brzmiało bardzo figlarnie i za każdym razem czule i przyjemnie. Wzbogacała je uśmiechem i otwartym spojrzeniem swoich szarych oczu. Niestety, nie mogłem odpowiedzieć jej tym samym. „Moja koleżanko” w żadnych układach nie będzie brzmiało miło i pieszczotliwie, jak byś się nie starał. A rozpocząć poważną rozmowę, nie pamiętając imienia rozmówcy, nie mogłem, przecież to jest szczyt braku taktu i wychowania.

Do tego, mówiąc prawdę, na początku przypuszczałem, że być może ona w ten sposób szanuje moje uczucia. No i nie spieszy się by odejść, żebym nagle nie pomyślał, że coś było nie tak i



przedwcześnie nie zwątpił w siebie. Oczywiście, moim zdaniem, wszystko było tak i nawet bardzo tak, ale przecież z kobietami nigdy nie można być pewnym na sto procent. Nawet ja, nie pozbawiony doświadczenia obcowania z nimi, znam się na nich nadzwyczaj słabo i bynajmniej nie zawsze zgaduję, co mają na myśli, a jeszcze rzadziej rozumiem ich postęпки i uczucia. Pytać strasznie nie lubię, boję się i nie potrafię. To nie dla mnie. Gafy i zakłopotania prawie nigdy nie da się uniknąć, a znosić je jest bardzo trudno. Do tego jednak potrzebny jest pewien określony stopień bliskości. Zaufania. I akceptacji. I, wygląda na to, że ja do tego stopnia jeszcze nigdy nie dochodziłem. Za to byłem mistrzem unikania ich. Ale unikać kogoś we własnym domu – niełatwo.

Potem nabrałem podejrzania, że być może na imprezie u Eryka ja jej coś takiego obiecałem, o czym teraz nie pamiętałem. Niby dużo nie piłem. Ostatnio w ogóle nie mogę dużo pić. Dwa kieliszki czerwonego wina – i przechodzę w stadium intymnych rozmów i niespełnionych obietnic. I tak, pewnego razu zaproponowałem swoim przyjaciółom, aby w weekend wyrwać się w góry. Jakże byłem zdziwiony, kiedy w sobotę obudził mnie dzwonek telefonu. Okazało się, że czekano tylko na mnie. A białe wino zupełnie czyniło mnie tak sentymentalnym, że nieomal nie zostałem ojcem chrzestnym córki starego przyjaciela z czasów uniwersyteckich. Ale na czas przypomniałem sobie, że nie jestem człowiekiem religijnym. Wtedy tylko to mnie uratowało.

Zatem, jeśli piłem białe wino, łatwo mogłem zaproponować jej, by wspólnie zamieszkać, wziąć ślub, mieć dzieci i wyjechać nad

morze albo, że będę przygotowywał jej naleśniki z jagodami do końca swoich dni, co nawiasem mówiąc, jeszcze mi się nie znudziło. Jej apetyt, ukontentowane oczy były miłą nagrodą za moje skromne kulinarne arcydzieła.

Nawet zdecydowałem się wysłać wiadomość do Eryka. On z pewnością znał jej imię, przecież była jego gościem. Ale całą sobotę i niedzielę przebywał on poza strefą zasięgu. Dopiero zasypiając i czując jej lekki oddech na swojej piersi, przypomniałem sobie, że właśnie w czasie weekendu Eryka czekał długi lot z przesiadkami na wyspy Oceanu Indyjskiego. Właśnie dlatego impreza była wieczorkiem pożegnalnym. „To nic, kiedyś tam doleci – uspokajałem siebie, muskając ustami czubek jej głowy i mocno przyciskając ją do siebie – i odpowie na wiadomość. Oczywiście, jeśli do tego czasu ona nie zniknie”.

W poniedziałek spoglądałem na nią badawczo, kiedy siedziała na tapczanie z laptopem i coś energicznie wystukiwała, dojadając jabłka. „Trzeba będzie w tych dniach wpaść na wiejski rynek” – przemknęło mi przez głowę. Siedziałem przy swoim stole i udawałem, że pracuję. Zajmowałem się montażem reklamowych wideoklipów. Już trzy miesiące pracowałem zdalnie. Nałożywszy słuchawki, patrzyłem na nią znad monitora i rozmyślałem: może ona jest jakimś znakiem albo nauczka? Przecież tak bywa, że człowiek spotyka kogoś innego, żeby coś zrozumieć lub żeby już więcej nie popełniać jakichś błędów. I sytuacja nie zmieni się, dopóki zagadka nie zostanie rozwiązana. Tak więc, w równym stopniu ona mogła być aniołem, jak i demonem,

błogosławieństwem, jak i przekleństwem. A mówiąc szczerze, to przede wszystkim była piękną kobietą. Bardzo piękną. Z długimi włosami w odcieniu antycznego złota. Upinała je niedbale do góry, a ich śmieszne kosmyki sterczały na wszystkie strony. Jej spojrzenie było przenikliwe i głębokie, a nawet pomyślałem, że może my umarliśmy? I wtedy gdzie jesteśmy: w piekle czy w niebie? Kiedy zasypiała na moim ramieniu, rzeczywiście wznosiłem się na niebiosa, ale w pozostałym czasie cierpiałem męki niby w ogniu piekielnym. I obserwując ją, nagle poczułem straszną ciekawość. Patrzyłem na to wszystko z boku i zaczęło mnie bardzo interesować, co będzie dalej.

We wtorek okropnie lał deszcz, jak to zapowiadały w przeddzień wszystkie prognozy pogody. I stało się jasne samo przez się, że i tego dnia ona także nie odejdzie. Kiedy poznaliśmy się, miała na sobie lekką sukienkę, a w mojej szafie wisiał jej cienki przeciwdeszczowy płaszcz i stały zamszowe pantofle. Tak więc, jeśli w jej magicznej torbie nie był ukryty ogromny parasol i wodoodporne ponczo, okrywające całe ciało, przemokłaby do suchej nitki, nawet po prostu wsiadając do taksówki. Tym bardziej, że od mojego domu do miejsca, gdzie mogłaby się ona zatrzymać, trzeba było jeszcze przejść około czterystu metrów. Ja nie zaryzykowałbym wyjścia w taką ulewę. Owszem, przyznaję się, i jej bym nie wypuścił. W takim deszczu można w mig się przeziębic.

I w czasie, kiedy krople desperacko tańczyły na dachu niepohamowany taniec, ja przygotowywałem jej gorącą czekoladę

według swojej firmowej receptury: z gałką muszkatołową, czarnym pieprzem i drobno posiekanymi prażonymi pistacjami. „I skąd mam tyle firmowych receptur?” – zastanowiłem się nagle. Chociaż, może, cała rzecz w tym, że parę lat temu pomagałem przygotować wideo dla jednego kulinarnego blogu. I, wygląda na to, że właśnie stamtąd wzięłem je wszystkie. Okazuje się więc, że te wszystkie moje potrawy, z których byłem bardzo dumny, były nie do końca moje. Ale z drugiej strony, do każdej z nich dodawałem szczyptę swojej zmysłowości i cierpliwości, dlatego też w pełni zasłużenie mogłem uznawać je za swoje.

Gorąca czekolada smakowała jej. Jak i napój z kumkwatem i szafranem. Z powodu deszczu w domu oziębilo się i moja Gościńca siedziała na tapczanie, otuliwszy się puszystym kocem, a mi jakoś zupełnie nie chciało się pracować.

Dlatego też w środę postanowiłem zrobić sobie wolne, obiecawszy klientowi, że wszystko będzie gotowe na czwartek. Ulewa tylko nasiliła się, dlatego wyprawa na wiejski rynek została odłożona. No cóż, jakoś wytrzymamy bez jabłek do piątku, tym bardziej, że na lokalnej internetowej stronie miasta obiecano i polepszenie pogody i przeniesienie dnia targowego z powodu deszczu. I my cały dzień przeleżeliśmy na tapczanie, oglądaliśmy stare filmy (te, w których brzmi jazz, pada deszcz i główni bohaterowie całują się). My też całowaliśmy się. I nie tylko. I, szczerze mówiąc, bardzo chciałem obdarować ją rozkoszą nie tylko ustami i palcami, ale i jej imieniem na koniuszku mojego języka, wyszeptanym jej na uszko bardzo czule. Ale

rekompensowałem jej to naleśnikami z jagodami, pełnoziarnistymi ciasteczkami z daktylami i kakao, i jeszcze batatami zapieczonymi z rozmarynem i sezamem. Czymkolwiek bądź, żeby tylko nie domyśliła się.

W czwartek pracowałem cały dzień, prawie nie odrywając wzroku od monitora. A jednak zauważyłem, że coś ją niepokoi. A to otwierała książkę, a to chwytala za laptop, a to siedziała w miękkim fotelu, a z jej szarych oczu wycierał łęk. A ja bałem się zapytać. I zupełnie nie o to chodziło, że nie pamiętałem jej imienia, czy chciałem uniknąć niezręcznej sytuacji i zakłopotania. Zwyczajnie, bardzo bałem się usłyszeć odpowiedź. Dlatego też udawałem, że pracuję.

Jej niepokój udzielił się i mnie. I wszystko, czego chciałem, to zamknąć ją w swoich objęciach i nie wypuszczać, jak można najdłużej. A jeszcze nijak nie mogłem zasnąć, wdychając wciąż jej zapach. A i tak nie rozszyfrowałem jednego ze składników jej perfum, jednak chciałem sobie udowodnić, że potrafię rozpoznać je wszystkie, nie zaglądając na stronę internetową z opisem. Jakoś zdarzyło mi się pracować nad reklamą dla firmy perfumeryjnej, a ponieważ przywykłem dokładnie zapoznawać się ze specyfiką działalności swoich klientów, dlatego też dobrze znałem najbardziej popularne nuty zapachowe i aromaty. Tak więc zasnąłem, mocno obejmując ją, przypominając sobie w myślach wszystkie perfumy kwiatowe i olejki eteryczne.

W piątek wczesnym rankiem, póki ona jeszcze spała, wybrałem się na wiejski rynek. Chciałem zrobić niespodziankę i zgarnąć

najlepsze jabłka. W końcu kupiłem trzy kilogramy. Słodkich i kwaskowatych. A może warto było wziąć od razu pięć lub zaopatrzyć się w jabłka do końca naszego życia? Obiecałem zapieć je na śniadanie z orzeszkami cedrowymi, kardamonem i cynamonem. Kupiłem jeszcze kilogram jeżyn do naleśników i indyka w sosie jagodowym. I od kiedy to stałem się taki gospodarny? Jakoś nie przypominam sobie, żebym tak lubił gotować. Zwykle obywałem się jedzeniem dostarczanym. Na kolację zaplanowałem jeszcze zupę grzybową. Dlatego też, u sprawdzonego sprzedawcy, kupiłem świeże pieczarki portobello i olej truflowy. Co do zupy grzybowej zupełnie nie miałem wątpliwości. Ona za każdym razem wychodziła mi praktycznie idealnie. Ma się rozumieć, wziąłem też zieleninę i warzywa do sałatek. A nawet skoczyłem do sklepiku z przyprawami. Prawie skończył mi się szafran i kolendra. A tu mi się jeszcze poszczęściło, bo akurat dowieźli anyż, laski wanilii i tymianek.

No i na koniec zaszedłem do kwiaciarni. Nie zapytałem, jakie są jej ulubione kwiaty, dlatego postanowiłem wziąć po kilka z każdych: róże, frezje, alstremerie, irysy, eustomy. Na kwiatkach też się znałem, przecież stworzyłem mnóstwo klipów reklamowych dla kwiaciarń.

Wracając do domu z tymi wszystkimi skarbami, z radości podśpiewywałem sobie coś pod nosem. Czulem przedsmak ujrzenia jej zachwyconych oczu i łagodnego uśmiechu, od którego, przyznaję się, regularnie ciarki przechodziły mi po grzbiecie.

Ledwo powstrzymałem się, by ciągle nie podchodzić do niej i czule jej nie obejmować.

Cicho, żeby jej nie obudzić, wszedłem do mieszkania, wstawiłem kwiaty do wazonu i na palcach zakradłem się do sypialni. Mojej Gościni tam nie było. Początkowo nawet nie uwierzyłem. Wróciłem do salonu. Na tapczanie nie leżały, jak zwykle, ani laptop, ani torba. Ale kiedy wszedłem do łazienki, to zauważyłem w kubku jej szczoteczkę do zębów i nawet odetchnąłem z ulgą. Może ona wróci? Może wyszła na spacer? Pogoda, właściwie, wyśmienita. Lecz w tym momencie uświadomiłem sobie całą daremność moich nadziei. No, bo kto wraca się po szczoteczki do zębów? A do tego, znając jej torbę, to tam na pewno można było znaleźć ze dwie dziesiątki takich.

Zrobiło mi się nieswojo. Kiedy znowu wszedłem do sypialni, to zauważyłem futbolówkę, w której ona chodziła po moim domu, starannie ułożoną na brzegu łóżka. Ogarnęła mnie rozpacz. Ona odeszła! Po prostu zabrała się i odeszła! Czyż tak bywa? No, jak takie coś może się zdarzyć? Zamieszkać w domu mężczyzny, a potem odejść, nawet nie wymieniając swojego imienia. Wziąłem futbolówkę i przycisnąłem ją do piersi, wdychając jej słodki zapach. Róże i przyprawy orientalne. Ylang – ylang, nagle mnie olśniło! Jakże mogłem zapomnieć? Oczywiście, to był on. Mój brakujący składnik. Tylko to już nie miało więcej żadnego znaczenia.

Usiadłem na łóżku i uświadomiłem sobie, że właśnie tego się bałem. Bałem się, że ona po prostu odejdzie. Zniknie jednego dnia,

tak samo jak została, bez jakichkolwiek wyjaśnień. I wygląda na to, że z tego wynikał jej niepokój. „Czyżby ona na to czekała, by uciec, kiedy tylko gdzieś wyjdę?” – nie mogłem w to uwierzyć. Na cholerę ten rynek z jego jabłkami, jagodami i sprzedawcami pieczarek portobello. Czyżby ona tylko o tym marzyła, aby wymknąć się, kiedy zostawię ją samą? A doczekawszy się, natychmiast to zrobiła?

„Możliwe – pocieszałem się – że ona, tak jak ja, nie lubiła długich pożegnań, chciała unikać niezręczności i zakłopotania”. Teraz jestem otwarty na każdą niezręczną sytuację i każde uczucie zakłopotania. Nawet na wstyd, jeśli trzeba. Gdyby to dało choć jedną szansę na to, by znowu ją zobaczyć.

W jakimś bezmyślnym porywie przeszukałem całe mieszkanie. A może zostawiła liścik, ślad, choć jakiś znak. Sprawdziłem wszystkie szafy, półeczki i nawet książki, ale niczego nie znalazłem. I jeśli by nie szczoteczka do zębów i słodki zapach mojej Gościni, to można by pomyśleć, że jej tu nigdy w ogóle nie było.

Stałem pośrodku pokoju, a kwiaty z wyrzutem patrzyły na mnie z wazonu: „Ależ ty jesteś durniem. Jeśli przyznałbyś się do wszystkiego od razu, ona by nie odeszła”.

Przeciwnie, byłem przekonany, że gdybym przyznał się jej, odeszłaby jeszcze wcześniej.

I Eryk cały czas nie odpowiadał. No, co za ludzie! Wyjadą tylko na swoje wyspy i szukaj wiatru w polu. Natychmiast o wszystkich zapominają. Nikt nie jest im więcej potrzebny, a zwłaszcza ci,



k którzy cierpią. Oczywiście, gdzie im tam na wyspach do cierpień. Rozkoszują się swoim rajem, kiedy inni cierpią w płomieniach ognia piekielnego.

Wysłałem jemu z dziesięć wiadomości i wykonałem tyleż samo telefonów. On z tryumfem zlikwidował swoje strony w społecznościowej sieci internetowej jeszcze w czasie trwania imprezy, powiadomiwszy wszystkich, że od tego momentu będzie tracił czas tylko na surfing i wędkowanie. Oto cały Eryk!

\*

W piątek odeszłam. W rzeczywistości powinnam odejść już tydzień temu. Podczas gdy brał prysznic, zaczęłam zbierać się, ale wzięwszy sukienkę w rękę, nagle rozmyśliłam się. Na mnie dosłownie coś naszło. Rzuciłam rzeczy na podłogę i wlałam z powrotem pod kołdrę. A kiedy wrócił do sypialni, słodko przeciągnęłam się i czule powiedziałam: „Dzień dobry”.

O, trzeba było widzieć jego twarz. Mieszanka zdziwienia z zupełnym niezrozumieniem tego, co się dzieje. On, najwidoczniej, spędził w łazience, co najmniej pół godziny celowo, łudząc się, że zniknę. Mierzyłam czas. Ale przecież tak zwykle bywa, przynajmniej ze mną było właśnie tak. W rzeczywistości w moim życiu tylko parę razy zdarzyły się relacje na jedną noc. Relacje. I kto w ogóle wymyślił, by je tak nazywać? Raczej przygoda lub nieporozumienie. Ale i te, które były, okazały się wystarczające, żeby zrozumieć – czar romantycznej nocy kończy się o świcie wraz z pierwszymi promykami słońca. Jeżeli nie dogadaliśmy się

co do większych rzeczy, to najwyższy czas uciekać. Dopóki piękny książę i księżniczka nie zamienili się w ropuchy. Z obiektu sympatii i pożądania – w nieponętną zawadę, od której chce się jak najszybciej uwolnić.

I żebym sama nie stała się taką, parę razy uciekałam pod osłoną nocy, dając z kolei drugiemu możliwość umknięcia bez niezręcznych pożegnań, które były całkowicie fałszywe i obłudne. „Zadzwoń do ciebie. Wszystko było świetnie”. Nie warto. My przecież nigdy więcej się nie zobaczymy i obydwójce o tym wiemy. Wiedzieliśmy już od wczoraj. I, być może, właśnie na to liczyliśmy, niegotowi na nic większego, przynajmniej teraz. Tak przecież bywa.

Po co zatem coś wymyślać? To, czego nie ma, i nie będzie. Dlaczego tak wstyd jest przyznać się do tego, co jest, i powiedzieć o tym wprost: „Było wspaniale. No to dzięki. Na mnie najwyższy czas.” Dlaczego nie można rozstać się uczciwie i otwarcie, tak samo jak spotkaliśmy się w przeddzień – kryształowo szczerzy w odniesieniu do swoich zamiarów i prawdziwych celów.

I postanowiłam, że chcę to usłyszeć. Chociaż raz. Niech choć jeden mężczyzna powie to wprost, otwarcie i nie kryjąc się. Właśnie dokładnie tak, jak bez wykręcania się i upiększeń zapraszał do siebie wieczorem. Żeby czarowna noc nie zakończyła się przezorną ucieczką dla uniknięcia obopólnego zakłopotania i żalu, lecz wdzięcznością za bliskość i zaufanie, chociaż tylko na jedną noc. A ta była rzeczywiście cudowna, nawet bardzo. On był zadziwiająco czuły i szarmancki. I postanowiłam, że niech to

będzie Brian. Niech on to powie. Widziałam go pierwszy i najprawdopodobniej ostatni raz, więc niczego nie traciłam.

A poza tym, chciałam śmiało spojrzeć w oczy swoim strachom przed byciem osobą porzuconą i niepożądaną. Za ich przyczyną narobiłam w swoim życiu wiele głupstw. Pośpiesznie odchodziłam, a zwłaszcza wtedy, kiedy byłam mocno zakochana, żeby nie być tą, którą porzucono jako pierwszą. Ale zdążałam nie zawsze. Mój ostatni związek zakończył się rok temu krótkim komunikatem. Byliśmy razem niemal sześć lat, a w tym przez trzy z nich – mieszkaliśmy pod jednym dachem. A w końcu wszystko zmieściło się w dwóch zdaniach: „Wybacz. Ja już nie czuję tego, co wcześniej”. Właśnie wchodziłam do samolotu, kiedy piknęło powiadomienie, a kiedy wróciłam z delegacji do domu, jego rzeczy już nie było. Nie starczyło mu odwagi, by powiedzieć mi wszystko w cztery oczy. Dla mnie natomiast to było konieczne.

Tak więc, sprzykrzyło mi się uciekać, nie usłyszawszy prawdy, sprzykrzyło bać się. „Jestem silna, wytrzymam” – zapewniłam siebie. Niech sam powie, że pora mi odejść.

Ale on nie powiedział. Ani w piątek, ani w sobotę, ani w wszystkie następne dni. Przyznam się, że byłam niezmiernie zdziwiona. Po pierwsze, nie zamierzałam zatrzymywać się aż na tak długo. Mam swoje własne sprawy: rodzina, przyjaciele, klub czytelnika, joga, chciałoby się jeszcze powiedzieć – praca, ale w niej akurat jest pauza. Bezpłatny urlop. Nasze czasopismo przeżywa nie najlepsze chwile. Nadchodzą redukcje, i, być może, ja też stracę etat. A po drugie, mówiąc uczciwie, byłam pewna, że

on wyprawi mnie w piątek zaraz po śniadaniu. On, uśmiechał się z zakłopotaniem, przygotowując kawę i opowiadał coś o klipach reklamowych, zleceńodawcach i deadline'ach. Jak to on ma dużo pracy, wszystko terminowo i jak by tu ze wszystkim zdążyć na czas. W odpowiedzi uśmiechałam się, przytakiwałam i myślałam: „No, mówże już! No, czy tak trudno zapytać, kiedy pójdę? Albo powiedzieć, że na mnie już czas, że jesteś bardzo zajęty i nie możesz się mną zajmować. Po prostu powiedz i ja pójdę”.

Ale on nic nie powiedział. Usiadł przy swoim komputerze i zaczął pracować. Przy tym ujmująco zaofiarował mi swoją futbolówkę i w ogóle zachowywał się bardzo przyjaźnie, chociaż trochę nienaturalnie z wyczuwalnym napięciem.

Wtedy zdecydowanie pomyślałam, że w sobotę on już na pewno coś wymyśli. Powie, że musi pilnie pojechać na drugi koniec kraju, uczestniczyć w misji ratowniczej, a być może: zwykły ślub siostry, wieczór kawalerski najlepszego przyjaciela, mecz piłkarski, którego on w żaden sposób nie może opuścić. Ale nie, niczego takiego nie było.

A ja byłam coraz bardziej ciekawa: no, kiedyż on nabierze odwagi i pokaże mi drzwi? No, przecież kobieta nie może przyjść i pozostać w domu mężczyzny, jeśli on ją o to nie prosił? A on mnie nie poprosił, ale ja jeszcze zostałam.

W niedzielę sprzykrzyło mi się mycie zębów jak popadnie i wyjęłam szczoteczkę do zębów, którą cały czas miałam w torbie. Na pewno on bardzo zdziwił się, a być może, wystraszył, co

jeszcze mam przy sobie, abym mogła zamieszkać w jego domu do końca świata, ale nie dał poznać po sobie.

A to, szczerze mówiąc, był czysty przypadek. Przed imprezą u Eryka, na której poznaliśmy się, nocowałam u mojej przyjaciółki Emily, gdzie zostawiłam futbolówkę na zmianę. Dlatego też wzięłam futbolówkę Briana, a on powiedział, że bardzo mi ona pasuje. I regularnie chwytałam utkwione na sobie jego badawcze spojrzenie. Ja sama też poznawałam tego mężczyznę, przecież bardzo chciałam zrozumieć, co nie pozwala mu uwolnić się ode mnie. Niezręczność sytuacji? Grzeczność i zbyt przyzwoite wychowanie? Zwyczajne niezdecydowanie, które od czasu do czasu pojawiało się w jego głosie, gestach i spojrzeniu. Jak też zakłopotanie i zmieszanie. Ale częściej były w nich czułość, zainteresowanie i pożądanie.

Starłam się zachowywać jak można najbardziej naturalnie i robić to, co i tak bym robiła. Dlatego też wyjęłam z torby książkę i całą sobotę przeleżałam z nią na tapczanie, zajadając pyszne jabłka. Bardzo twarde i kwaskowate. Jak lubię. Nie zdażyłam przeczytać zadanej w klubie czytelnika lektury, dlatego też do następnego spotkania chciałam nadrobić zaległości. W przerwach między czytaniem otwierałam laptop, wysyłałam CV i szukałam wakatu. I, oczywiście, czekałam na szczerą rozmowę z Brianem, by powiedział mi, że w ogóle to czas na mnie, najwyższy czas opuścić jego dom.

A kiedy w niedzielę przygotował dla mnie naleśniki z jagodami, byłam, powiedzmy wprost, zaskoczona. Po pierwsze, w

ciągu tych moich trzydziestu lat z hakiem, mężczyźni, oprócz mojego ojca, bardzo rzadko przygotowywali mi śniadania bardziej skomplikowane aniżeli tost czy płatki zalane mlekiem. A po drugie, to było tak pyszne, że na obiad bezczelnie poprosiłam o powtórkę, a on z radością usmażył i na dodatek zaparzył kawę z kardamonem. Tak wyszukanego aromatycznego napoju nie próbowałam nigdy. A na kolację on przygotował pieróg ze szparagami i kartoflami. Wpadłam w zachwyty. Gotował bosko i, najwidoczniej, gotowanie było dla niego niemałą przyjemnością. Jak też obserwowanie mnie, delektującej się owocem jego kulinarnego talentu. I jeśliby nie sztuczność całej sytuacji, to można by było pomyśleć, że to wszystko jest prawdą, a my jesteśmy miłą parą, spędzającą weekend w domu we dwoje. I ta iluzja tylko wzmacniała się, kiedy słodko zasypiałam na jego piersi, dopóki on delikatnie gładził moje włosy.

Niepokoilo mnie jedynie to, że on ani razu nie zwrócił się do mnie po imieniu. Zauważyłam to nie od razu, prawdopodobnie dopiero pod wieczór w poniedziałek. Myślę, że on je po prostu zapomniał. Ja, nawiasem mówiąc, kiedy poznaliśmy się, nie dosłyszałam jego imienia, przecież na imprezie było dosyć głośno, więc musiałam potajemnie spytać Eryka. Z Erykiem przyjaźnimy się od dawna i razem uczęszczaliśmy do klubu czytelnika. A w rzeczywistości to on mnie do niego wciągnął. Bez niego, z pewnością, nie będzie tam tak ciekawie i wesoło, ale za to on w końcu spełnił swoje dawne marzenie o wyspach.

Eryk spytał, czy nie zakochałam się i dodał, że Brian to świetny chłopak, kiedyś razem pracowali. I, być może, zapewne, przyczyną wszystkiego było białe wino, które wpływało na mnie tak, że stawałam się bardzo uczuciowa, nadmiernie wrażliwa i bezbronna, ale w Brianie było coś takiego, co mi się spodobało. I – wstyd powiedzieć (ale dlaczegoż należy się za to wstydzić?) – ja praktycznie nie wahałam się, kiedy on zaprosił mnie do siebie.

Szczerze mówiąc, bliżej poniedziałku ja już nie rozumiałam, co się dzieje. Dlaczego on mnie o nic nie pyta? Może muszę dokąś iść, może na mnie gdzieś tam czekają? Co ja jeszcze, bez zaproszenia, robię w jego domu? Ale nie. On był zbyt zajęty: krzątał się w kuchni, doprowadzając mnie do szaleństwa kuszącymi smakami i drażniącymi aromatami w dzień, a nocą – upajającymi pieszczotami w sypialni.

A w piątek odeszłam, uświadomiwszy sobie, że magia nocy trwająca kilka dni grozi przejściem w jeszcze większą gorycz, aniżeli była na samym początku.

Postanowiłam to w czwartek, kiedy on powiedział, że chce zajrzeć na wiejski rynek, przecież skończyły się nam jabłka i jeżyny. Na weekend on miał wielkie plany. Sporządził zachwycająco apetyczne menu: zupa grzybowa, mięso w sosie jagodowym i jeszcze coś tam firmowego, jakąś niespodziankę. Po raz pierwszy widziałam mężczyznę, który ma tyle swoich firmowych dań. Powiem szczerze, że z przyjemnością spróbowałabym wszystkiego, w tym też i jabłek zapieczonych z orzeszkami cedrowymi i kardamonem, ale musiałam odejść.

Wszystko ma swój kres. Nawet największa anielska cierpliwość i już z pewnością moja pozorna niedostępność i chęć spojrzenia w oczy swoim lękom.

Dlatego, jak tylko wyszedł za drzwi, szybko się spakowałam i wyszłam, aby uniknąć niezręcznych pożegnań. Nie byłam na nie gotowa, ani też nie byłam gotowa usłyszeć prawdy. Nie, nie po tym, co było. Oszukiwałam się. Nie jestem aż taka silna i odważna. Mogłabym to wszystko znieść, gdybym usłyszała prawdę od tego, z kim spędziłam jedną noc, ale nie od tego, który piekł naleśniki z jagodami i piróg, robił gorącą czekoladę szcudrze posypaną drobno posiekаныmi pistacjami, który całował moje włosy i łapczywie wdychał mój zapach, próbując rozwikłać wszystkie nuty moich perfum, całą kompozycję orientalnych przypraw korzennych, bez sprawdzania na stronie z opisem. Nie odgadł tylko ylang – ylang. I który cały czas potajemnie mnie obserwował. Nie, tego bym nie zniosła.

Ostatecznie, trzeba znać miarę. On ma swoje życie, ja mam swoje. Głupia, absurdalna gra zaszła za daleko. Przynajmniej dla mnie. Wstyd się przyznać, ale chciałam zabrać ze sobą jego futbolówkę, która już stała się trochę moją. Chciałam tylko zachować coś związanego z nim, ale nie miałam do tego żadnego prawa, dlatego starannie ułożyłam ją na brzegu łóżka jako znak mojej wdzięczności za jego gościnność i delikatność.

Kiedy już zeszłam po schodach na dół, przypomniałam sobie, że zostawiłam w łazience szczoteczkę do zębów. Ale wracać było głupio. No, bo kto wraca po szczoteczki do zębów?



Kiedy wsiadłam do taksówki, zaczęłam mieć wątpliwości. Może wypadło zostawić chociażby liścik. Po prostu napisać „dziękuję”. Za to, co było. Za bliskość i zaufanie. Za wszystkie te przyjemności, które mi podarował. Ale czy liścik to też nie ucieczka, jeśli nie znalazłam w sobie na tyle odwagi, by powiedzieć mu to wszystko osobiście?

Dotarłszy do siebie do domu, praktycznie od razu zaczęłam tęsknić za nim. Za zapachami kardamonu, szafranu, cynamonu, cały czas unoszącymi się w jego domu, za jego przenikliwym spojrzeniem, za długimi pocałunkami, za czułymi objęciami. Ale powinnam była odejść. Właściwie już tydzień temu. Napełniłam wannę i włożyłam do niej z książką. Musiałam ją doczytać. W poniedziałek spotkanie w klubie czytelnika, a zostało tylko kilka stron, żeby w końcu poznać rozwiązanie.

\*

W piątek spałam kiepsko. Nawet bardzo kiepsko. W rzeczywistości prawie do rana nie zamknąłem oczu. Cały czas wierciłem się, przewracałem z boku na bok, zerkając to na drzwi, to na telefon komórkowy. Może ona wróci? A może Eryk jednak napisze lub zadzwoni? Dziwne, ale nie traciłem jeszcze nadziei. Jej futbolówka, ach prawda, teraz bardziej jej niż moja, leżała obok i słodko pachniała na jej poduszce. Teraz i poduszka była jej. W tym domu teraz było wszystkiego co jej tak wiele, że nie wyobrażałem sobie jak można dalej traktować go wyłącznie swoim. Jej skrawek tapczanu, na którym czytała książkę i

pracowała na laptopie. Jej krzesło w kuchni, gdzie siedziała i obserwowała, jak czyniłem czary nad swoimi firmowymi daniami, uwodziła mnie figlarnym uśmiechem, przenikliwym spojrzeniem i bardzo czule wymawiała moje imię. Jej ulubione filiżanki: jedna do kawy i jeszcze jedna do gorącej czekolady. Jej strona łóżka. I jeszcze dziesiątki drobiazgów i detali, które teraz były jej i bez niej ich już sobie nie wyobrażałem. Czyż kobieta może pojawić się w domu mężczyzny i w ciągu tygodnia uczynić go swoim?

Chciałem gniewać się na nią. Szukałem przyczyny do gniewu, przecież ona odeszła niczego nie wyjaśnwszy. Przekonywałem siebie, że na pewno ona została tutaj nie bez przyczyny. Zupełnie możliwe, że w jej własnym mieszkaniu był remont czy dezynsekcja i dopóki malowano u niej ściany lub walczone z termitami, ona musiała gdzieś przeczekać. Dlatego wybrała moje przytulne gniazdko. Oczywiście, ono było raczej kawalerską jaskinią, chociaż całkiem przytulną i miłą. A może nie chodziło wcale o mieszkanie, a rzecz w tym, że rozstała się z ukochanym mężczyzną i po prostu chciała pofolgować sobie z innym, żeby spróbować zapomnieć, oderwać się, przestawić się?

Próbowałem wymyślić jeszcze z dziesiątkę przyczyn, z powodu których ona mogła przebywać tutaj. Szukałem specjalnie takich, które nawet w najmniejszym stopniu nie byłyby związane ze mną, żeby rozgniewać się na nią jeszcze mocniej. Ale każda komórka mojego ciała, nawet po jej odejściu, mówiła, że to nie tak, że ona była tutaj z mojego powodu. W jej spojrzeniu, dotykach, pocałunkach było to, co pozwalało odrzucić wszystkie

moje pomysły z remontami, dezynsekcjami, innymi mężczyznami i Bóg wie jeszcze z czym. Ona była ze mną tylko z mojego powodu. Wiedziałem to, zasypiając i budząc się obok niej. Wiedziałem to, całując ją i obejmując. Nie wiedziałem tylko, jak mogę to wszystko odzyskać. Dlatego też złościć się na nią nie byłem w stanie. Pozostało mi tylko tęsknić za nią. Bardzo tęsknić.

W sobotę próbowałem pracować, ale w rezultacie siedziałem przed monitorem i przeglądałem w pamięci wszystko, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu. Nigdy nie pomyślałbym, że w ciągu tygodnia można doświadczyć tylu dobrych, przyjemnych, pełnych czułości chwil.

I wtedy zacząłem być zły na Eryka. Tak, musiałem po prostu położyć się na kogokolwiek. To jest drugie stadium przyjęcia nieuniknionego, czyż nie tak? Bez niego nie sposób iść dalej, a ja i tak nie przeszedłem jak należy etapu odrzucenia. Przecież cały czas miałem jeszcze nadzieję. Ale co tu odrzucać, jeśli wszystko jest oczywiste. Ona odeszła. I ja sam nigdy nie zdołałem odzyskać, ani nawet odnaleźć jej, dlatego cały czas wysyłałem wiadomości do Eryka, a on nadal nie odpowiadał na nie. Można tylko jednym, według mnie, usprawiedliwić jego nieznośne zachowanie: w czasie wędkowania jego łódkę wyniosło na otwarty ocean, a tam nie było zasięgu. No i w najgorszym wariancie: w czasie surfingu miał spotkanie z rekinami albo płaszczkami i na razie nie jest w stanie odpowiadać na wiadomości, przecież rekiny i płaszczyki – to okropny stres.

W rzeczywistości byłem naturalnie zły na samego siebie. Za to, że byłem głupi i naiwny sądząc, że można w ogóle nie rozmawiając, po prostu jakimś cudem, być razem. Zaistniała sytuacja wydawała się bardzo naturalna, taka jaka powinna być. Po prostu mężczyzna i kobieta pod jednym dachem. I jest im dobrze we dwoje. Co może być bardziej naturalnego? Nawet jeśli on nie zna jej imienia. Nawet jeśli nie wiedział, że ona u niego zostanie. Nawet jeśli oni w niczym nie doszli do porozumienia. No i co? Jaka to różnica? Przecież mówi się: wszystko, co najlepsze zdarza się wtedy, kiedy tego nie planujesz. A ja nie planowałem na tyle, że z tego mogło wyjść coś wręcz oszałamiającego.

\*

W piątek, doczytawszy książkę do końca, poczułam pustkę. Czasami zdarza mi się to, kiedy historia miłosna kończy się. Ja już zżyłam się z bohaterami, z ich radościami i smutkami, przeżyłam z nimi ich małą historię życia, i tu nagle – wszystko. Koniec. Kropka. Odtąd ich drzwi są dla mnie zamknięte na zawsze. I nawet do okna nie zajrzysz. Oni nadal żyją swoim życiem, ale podglądać go już nie można. Od chwili, kiedy zostało doczytane ostatnie zdanie, oni są przede mną ukryci. Ale kiedy jednocześnie kończą się dwie historie – książkowa i własna – to uczucie pustki ogarnia jeszcze silniej. A kiedy sama zamykam okna i drzwi, mówię „koniec” i stawiam kropkę, pustka zamienia się w czarną dziurę, która stopniowo wsysa wszystko, niczego po sobie nie zostawiając.

„I dlaczego tylko jeden tydzień może wnieść taki zamęt w całym życiu – zastanawiałam się. – Życiu spokojnie toczącym się w swoim rytmie, dobrze uporządkowanym i, wydawało się, niepotrzebującym żadnych ulepszeń”. Czasami wystarczy jedna godzina, a nawet jedno spojrzenie, a w tym wypadku cały tydzień. Przy tym szczęśliwy tydzień.

Tęskniłam za nim przez całą sobotę. Bardzo tęskniłam, ale mówiłam sobie: „Trzeba przeczekać. To przejdzie. Trzeba wyluzować, zająć się czymś. To były relacje na jedną noc. Po prostu noc przeciągnęła się. Z mojej winy”. Jeśli nagle mnie jednak zredukują, to powinnam być przygotowana. Lepiej zająć się pracą, aniżeli rozmyślać o tym, czego prawdopodobnie i nie było. Ale mówić i działać – dwie różne rzeczy. Szczególnie, kiedy dotyczy to uczuć. Kiedy tęskni każda komórka ciała: za nim, za jego pocałunkami i pieszczotami, za jego delikatnością i ciepłem. Tęskni i krzyczy, że było wszystko i było na serio.

Chciałam nawet wysłać Erykowi wiadomość. Podziękować mu za wspaniały wieczór pożegnalny i znajomość, która podarowała mi całkowicie niepowtarzalny, cudowny i pełen radości tydzień. A jeszcze opowiedzieć, jak zakończyła się książka. Zaczęliśmy ją czytać razem, a teraz na wyspach on z pewnością nie ma czasu na czytanie. Mówił, że kiedy tylko wyjedzie, poświęci się bez reszty surfingowi i wędkarstwu. Poprosił mnie, abym napisała, kiedy doczytam i poznam rozwiązanie. Ale zdecydowałam, że nie będę go niepokoić i napiszę dopiero w poniedziałek, po spotkaniu w klubie czytelnika. Przecież on rozpoczął nowe życie, do którego

trzeba się jeszcze przyzwyczaić, wciągnąć się i jakby zacząć od nowa. A ja musiałam ponownie „wciągnąć się” w moje poprzednie życie. Życie bez Briana. I ponownie zacząć żyć, tak jak wcześniej. Jak gdyby niczego nie było.

Ale moje myśli cały czas powracały do niego. I od czasu do czasu pytałam siebie: jak on tam, co on teraz robi? Może zaparza kawę z kardamonem, może pracuje nad montażem, a może zabrał się już za swoją zupełną grzybową lub gdzieś wyszedł?

Z pewnością przeze mnie, bez zaproszenia wprowadzającej się do jego domu na cały tydzień, nagromadziło się mu mnóstwo spraw i teraz on również musi przywrócić swoje życie do normalności. „Tak, to jest być może to, co jest konieczne nam obojgu – zdecydowałam – powrót do swojego życia. Takiego, jakim było przed spotkaniem”.

\*

W sobotę znowu źle spałem, zapadając w niespokojny sen tylko na parę godzin. A jak w ogóle wcześniej spałem? Przed nią? Bez niej? Bez jej pocałunków przed snem, bez jej ciepła, bez jej jedwabistych włosów pod moimi dłońmi, bez jej lekkiego oddechu na mojej piersi. Tego już nie pamiętam.

Dlatego w niedzielę obudziłem się strasznie rozbity. Te kwiaty, które dla niej kupiłem, wydawały się jeszcze piękniejsze. Różce rozwinęły swoje delikatne płatki, napełniając dom słodkim aromatem. Takie właśnie były nuty jej perfum. I kiedy zaparzałem kawę, nieoczekiwanie znalazłem się na etapie targowania się. Tak,

przechodziłem te stadia wybiórczo i obiecałem czy to niebiosom, czy też samemu sobie, że jeśli uda się nam spotkać chociażby jeden raz, powiem jej całą prawdę. Nie zważając na skrępowanie, zakłopotanie i wstyd, z którymi bardzo kiepsko sobie radzę. Przyznam się jej, jak koszmarnie wyglądają u mnie sprawy z imionami, koszmarnie na tyle, że nawet nie wiem, jak ona ma na imię, i, oczywiście, powinienem był powiedzieć jej to na samym początku. Ale, wydaje mi się, że targowanie się jeszcze nikomu niczego nie dało. Ani razu nie rozwarły się niebiosa i głos nie powiedział: „Niech tak się stanie! Oto to, czego pragniesz w zamian za swoją obietnicę!” Tak więc, z tym etapem też mi nie wyszło. I byłem gotów przejść do następnego – rozpaczy.

I jak gdyby w odpowiedzi na moje postanowienie, niebo zachmurzyło się. Wydawało się, że lada moment rozpęta się potężna ulewa, która w pełni odpowiadała mojemu nastrojowi. Nie mogłem przelknąć ani kęsa, nawet jabłek, które ona uwielbiała. Siedziałem na tapczanie, kiedy piknęła wiadomość w telefonie. Nie zdążyłem po niego sięgnąć, kiedy piknęła druga, trzecia. Wyciągnąłem rękę po telefon i zamarłem z niespodzianki. Eryk w końcu pojawił się w sieci i teraz setki moich wiadomości były zaznaczane jako przeczytane. Szalałem z radości. Oto on, mój wybawca! Opędził się od tych wszystkich rekinów, płaszczyk i zawrócił swoją łódź z otwartego oceanu i pojawił się w sieci. Oczywiście, jest wątpliwe, czy i on był równie zadowolony, jak i ja.

Zamierzałem już do niego zadzwonić, kiedy na ekranie wyświetliło się jego imię, a do drzwi ktoś zastukał. Na początku sądziłem, że mi się wydawało. Na pewno po prostu zaczęło padać i deszcz ciężkimi kroplami uderzył w okno. Ale kiedy nagle gorączkowo zaczęło bić moje serce, zrozumiałem: nie deszcz. Odrzuciłem połączenie i szybko skierowałem się do drzwi.

Na progu stała ona. Przez kilka chwil milcząc, patrzyliśmy na siebie. Chciałem ją natychmiast objąć, ale nie zdobyłem się na to. Czulem jej zdenerwowanie, a spojrzenie jej szarych oczu sprawiło, że i ja zacząłem się denerwować. Serce kołatało jak szalone.

Szybko cofnąłem się, żeby ona mogła wejść. Zrobiła nieśmiały krok. I dom wypełnił się jej słodkim zapachem: róż i orientalnych przypraw korzennych. Deszcz żywiołowo, wściekle i dziko bębnił o dach, a ja jeszcze silniej zapragnąłem ją objąć.

I wtedy ona zauważyła wazon z kwiatami i ze zdziwieniem spojrzała na mnie. A ja, zmieszany, uśmiechnąłem się, potwierdzając jej przypuszczenie. Tak, one były dla niej. Jak od pewnego czasu jeszcze wiele innych rzeczy w tym domu.

I miałem jej jeszcze tyle do powiedzenia! Po pierwsze, ylang – ylang. Odgadłem ostatni składnik jej perfum. Po drugie, tęskniłem. Strasznie, nie do zniesienia, do szaleństwa tęskniłem. Po trzecie, odnalazł się nasz Eryk i pojawił się w sieci. Potem trzeba będzie zadzwonić do niego i dowiedzieć się, jak mu tam na tych jego wyspach. Po czwarte...

Ale ona uprzedziła mnie.



– Zostawiłam u ciebie szczoteczkę do zębów – powiedziała, nieśmiało poprawiając włosy.

Serce mi zamarło. Milcząc przytaknąłem, nie odrywając od niej wzroku.

– I jeszcze –kontynuowała – prawie skończył ci się szafran. Za jednym zamachem kupiłam też anyż, kmin rzymski i goździki. Ty na pewno masz jakieś dania firmowe, do których możesz je wykorzystać.

Wyjęła ze swojej magicznej torby niewielkie kartonowe pudełko i podała mi. Wziąłem pakunek w ręce i z zakłopotaniem popatrzyłem na niego. Prawie nie oddychałem i znowu przytaknąłem.

– I jeszcze – jej głos zadrżał – chciałam je jeszcze jakoś spróbować. I twoją zupę grzybową, i zapieczone jabłka...

Ona popatrzyła na mnie tak przenikliwie, że znowu zabiło mi serce. Dalej już nie mogłem tak po prostu stać, dlatego podszedłem do niej i objąłem ją. I właśnie wtedy poczułem, jak ona mocno drży. Ostrożnie przesunąłem palce po jej włosach i ustami dotknąłem policzka.

– Ja powinienem ci coś powiedzieć –wymówiłem cicho, czując jak szybko bije moje serce.

I nagle poczułem się koszmarnie. Bardzo koszmarnie. Ale musiałem zrobić to, co obiecałem sobie i niebiosom. Ona patrzyła na mnie bardzo uważnie.

– Powinienem był powiedzieć ci to znacznie wcześniej, z pewnością nawet od razu, ale było mi strasznie niezręcznie.

Przykro mi, ale nie pamiętam twojego imienia. A ja bardzo chcę je znać, żeby czule szeptać je tobie każdej nocy i każdego poranka. Żeby powtarzać je za każdym razem, kiedy obejmuję i całuję cię. Kiedy parzę kawę lub gorącą czekoladę, kiedy z przyjemnością gotuję dla ciebie.

– Anna – odpowiedziała ona.

– Anna – czule powtórzyłem, odsunąłem jej złoty kosmyk za uszko i wyszeptałem: – Anno, proszę cię, nigdy więcej nie odchodź ode mnie.

## Cudzy notatnik

*Tłumaczenie z ukraińskiego: Mariya Bracka*

Tamtego poranka trafił do mych rąk cudzy notatnik. Chciałbym powiedzieć, że przez przypadek, ale byłoby to nieprawdą. Ponadto „trafił” to niedokładne słowo. Raczej sam go wziąłem. A notatnik był nie tylko cudzy, ale i nie wiadomo czyj, co moim zdaniem różni się od po prostu cudzego obecnością dodatkowej intrygi i większej pokusy, by do niego zajrzeć (i przy tym mniej przeżywać ten nieprzyzwoity uczynek). W końcu, jeśli nie wiesz, do kogo należy, to nie ma się czego wstydzić. I, być może, osoba o skromniejszych zasadach moralnych mogłaby nawet nazwać go niczym, bo właśnie leżał na ławce w miejskim parku. Na tej, na której zazwyczaj siedziałem. Najpierw spojrzałem na niego podejrzliwie. Rozejrzałem się kilka razy, starając się upewnić, że jego właściciel nie spieszy się po niego z powrotem. Ale tego ranka o tej porannej porze nikogo nie było w parku. Zwykle chodziłem tam na lunch z kanapką i kawą, siadałem na ławce i spędzałem piętnaście minut w ciszy i delectowaniu się widokiem małej fontanny. Ale tego dnia postanowiłem zająć tam rano, przed pracą. Te piętnaście minut ranka miały dać mi pozytywne nastawienie i szybko zaangażować w najnudniejszą rzecz na świecie – doradztwo podatkowe. A kiedy podszedłem do *mojej* ławki i zauważyłem na niej notatnik, musiałem pewnie, aby uniknąć pokusy, przesiąść się na inną. Lecz właśnie naprzeciwko *mojej* była fontanna i w ciągu całego dnia przytulny orzeźwiający

cień, więc usiadłem obok notatnika. Nie będę owijać w bawełnę, zawsze byłem dociekliwy.

Kiedys w dzieciństwie znalazłem pamiętnik mojej starszej siostry. Ona ciągle snuła się z nim po domu, czyniąc od czasu do czasu jakieś dopiski i notatki. I ciągle zostawiała go czy to na kanapie w salonie, czy na kuchennym stole. A pewnego dnia zostawiła go prosto w moim pokoju. Różnica czterech lat wzbudzała we mnie ogromną ciekawość: czym żyją piętnastolatki? A ponieważ miała już swojego pierwszego chłopaka, naprawdę chciałem wiedzieć, jak wyglądało prawdziwe, jak mi się wówczas wydawało, dorosłe życie. Z jej pamiętnika dowiedziałam się wielu szczegółów na temat francuskich pocałunków i przyznaję, że na to liczyłem i tego właśnie szukałem.

Ponadto moja praca także przyczyniała się do rozwoju ciekawości, entuzjazmu i wrażliwości. Żeby nie umknęło mi nic, co mogłoby narazić klientów na kontrole podatkowe i kary, a jednocześnie – żebym mógł pomóc im zminimalizować wpłaty do budżetu.

Sięgnąłem więc po gruby notatnik w twardej oprawie z niebieskiego aksamitu, jednocześnie obserwując ponownie park w poszukiwaniu właściciela czy właścicielki pamiętnika. Wypiłem łyk kawy, odstawiłem kubek, podniosłem notatnik, otworzyłem go i szybko przejrzałem. Najzwyklejszy notatnik, spisany w dwóch trzecich dość dużym i mało czytelnym pismem. Odłożyłem go na bok, upiłem kolejny łyk i znów zacząłem go badać. Coś w nim nie

puszczało mnie i trudno powiedzieć dokładnie co, bo przecież był on zupełnie niepozorny. Można go kupić w dowolnym sklepie papierniczym lub w kiosku.

Ponownie wertowałem strony, tym razem skupiłem się na ostatniej spisanej. W prawym górnym rogu zaznaczono dzisiejszą datę: „21 maja”. Przebiegłem wzrokiem po krótkiej notatce, nie wczytując się. Nagle moje oczy wyłapały słowo „znajdzie”. Wróciłem na początek strony i uważnie przeczytałem to, co zostało napisane:

*Czas się pożegnać. Czas się ciebie pozbyć. Masz za dużo tajemnic, za dużo mnie. Prawdziwej i niesfalszowanej. Kobiety, którą ukrywałam przed innymi, a często też przed sobą. Tej, której być może nie warto było odkrywać w sobie. Nigdy. Masz za dużo wspomnień – dobrych i złych. Masz za dużo miłości. A dla mnie teraz to zbyt dużo. Nie mam siły pamiętać tego. Zostawię cię. A jeśli ktoś cię znajdzie...*

Zdanie się urwało. Przewróciłem stronę, ale dalej nic nie było, przewróciłem jeszcze kilka i te też były puste. Byłem rozczarowany, zirytowany i zaskoczony.

Nagle zadzwonił telefon. Na ekranie pojawiło się imię mojej asystentki. Oczywiście, czas iść do biura. Wkrótce spotkanie z klientem, który desperacko chciał uniknąć płacenia podatków od swojego spadku. „Co za chciwi ludzie – wysnuwałem od czasu do czasu wnioski. – Dostają coś za darmo, ale nie chcą się tym z nikim dzielić”. Takie spotkania podobały mi się najmniej, chociaż mój szef mówił, że zawsze powinniśmy być po stronie klienta, bo

on nam płaci. Osobiście stałem na stanowisku, że we wszystkim powinien być zdrowy rozsądek. Jeśli kochająca babcia zostawiła nieodpowiedzialnemu wnukowi, który nigdy w życiu nie pracował, przytulny domek na wybrzeżu, proszę, zapłać skromne odsetki i ciesz się weekendami nad morzem z czystym sumieniem. Lecz nikt nie był zainteresowany moją opinią. Musiałem zadowolić klientów i starać się zamaskować spadek jako prezenty, umowy najmu i nie tylko.

– Megan, będąc za pięć minut – bąknąłem niezadowolony i odłożyłem słuchawkę.

Nadal miałem w rękach cudzy notatnik. Szybko otworzyłem go na pierwszej stronie. Zastanawiałem się, czy jest nazwisko, kontakt, czy odpowiedź, która mogłaby wskazać właściciela.

W pamiętniku mojej siostry na pierwszej stronie drobnym i bardzo starannym pismem wykaligrafowano: „To jest pamiętnik Marthy Stone. Własność prywatna. Ręce przy sobie. Jeśli znajdziesz go przypadkiem, natychmiast zwróć go właścicielowi”. Następnie podała ona swój numer telefonu i nasz adres domowy. Wertowałem go i zawsze się zastanawiałem: gdyby wpadł w ręce niegodziwców i szubrawców, mogliby wpaść do naszego domu po jej złote kolczyki, które dostała w prezencie od ciotki na Gwiazdkę. Siostra poświęciła im prawie całą stronę, szczegółowo opisując ich kształt, wielkość, wagę, a nawet starą szkatułkę, rodzinną pamiątkę, w której były przechowywane wraz z inną biżuterią. Albo nowy drogi telewizor, o którym ciągle wspominała,

opisując, jak ona i jej chłopak oglądali głupie filmy, leżąc na kanapie w salonie i gorąco się całując.

Właścicielka tego notatnika była jednak bardziej ostrożna i jeśli już zdecydowała się zostawić go do publicznego wglądu w parku miejskim, to przynajmniej nie podała swojego adresu i telefonu na pierwszej stronie.

Powoli wstałem, nie wiedząc, co zrobić z notatnikiem. Zdanie nie zostało ukończone. Czy ta kobieta chciała, aby ktoś, kto znalazł jej notatnik, wyrzucił go lub zatrzymał? Dlaczego nie dokończyła tego zdania? Może coś jej się stało? Dlaczego sama go nie wyrzuciła? Dlaczego zostawiła w miejscu publicznym? Cóż, było więcej pytań niż odpowiedzi. Mówiąc dokładniej, żadnej odpowiedzi. Nie jestem gotowy zdecydować o losie cudzego notatnika, więc po prostu poszedłem do biura.

Przez cały dzień moje myśli ciągle wracały do niego. Czy on nadal leży na ławce? Czy został już wyrzucony do kosza? Czy kobieta, do której należał, wróciła po niego? Tego dnia nie było czasu na lunch, więc postanowiłem po pracy wybrać się do parku. O dziwo, byłem bardzo ciekaw, co dalej stanie się z tym notatnikiem. Wszystko to moja okropna ciekawość! A zdanie o prawdziwości oczarowało mnie. Chciałem dowiedzieć się więcej o tej kobiecie. Jaka ona jest „prawdziwa i niesfałszowana”? Dlaczego to mogło ją przerażać? Osobiście, mnie prawdziwość i szczerść tylko pociągały. Sam taki byłem i czasem to kłóciło się z moją działalnością zawodową. W życiu starałem się być szczerzy. Nawet wówczas, gdy znalazłem pamiętnik siostry, przyznałem się

jej i ostrzegłem, że warto zakleić lub zamalować nasz adres i numer telefonu, aby nie wpaść w nieprzyjemną historię. Oczywiście, była na mnie zła i nie odzywała się do mnie przez dwa tygodnie, ale bezpieczeństwo i ostrożność były dla mnie najważniejsze.

Po obiedzie nie mogłem się już na niczym skupić. Ciągle myślałem o notatniku. Klient, który chciał ukryć swoją roczną premię przed żoną, co to groziła mu rozwodem za romans z asystentką, zaczynał mnie coraz bardziej irytować. Zaproponowałem mu, aby najpierw zajął się swoim życiem osobistym, a dopiero potem rozwiązał kwestie podatkowe. Rzecz jasna, że był zły. Ale w firmie, dzięki głębokiej znajomości prawa podatkowego, byłem jednym z najlepszych, więc czasami mogłem sobie pozwolić na prostolinijność.

Życzyłem Megan miłego wieczoru i zszedłem do parku. Notatnik leżał w tym samym miejscu, w którym rano go zostawiłem. „To dziwne – pomyślałem – że nikt go nie wziął, nie przesunął ani nie otworzył z ciekawości”.

Rozejrzałem się ponownie, bo może właścicielka notatnika jednak chciała go zabrać, przypomniała sobie, gdzie zostawiła lub zgubiła. Jednak, tak jak rano w parku, nie było nikogo. Wtedy wziąłem notes i szybko schowałem go do plecaka. Rozejrzałem się ponownie. Nikogo. Nikt mnie nie widział. Odetchnąłem z ulgą i poszedłem do domu. Chciałem jak najszybciej oddać się lekturze.



Jak tylko wróciłem do domu, wyciągnąłem cudzy notatnik, nalałem sobie kawy, usiadłem na kanapie i zacząłem czytać. Warto było zatrzymać się już na pierwszej stronie, zaraz po słowach:

*Kiedy poznałam Mike'a, postanowiłam spisać wszystko, co będzie dalej.*

Mimo to kontynuowałam.

*Nie wiem, jak długo to potrwa, nie wiem jak i czym się skończy, ale dzisiaj to nie ma znaczenia. Dziś wiem tylko jedno: chcę o tym pamiętać. Jego szczere skupione spojrzenie opaliło mnie i wślizgnęło się pod moją skórę. Jego przymilny głos, miękki i rozbijający. I to, jak się czułam obok niego. Bardzo żywa. Pożądana. Piękna. Jak dawno nie czułam czegoś podobnego!*

Najwyraźniej miałbym go tutaj zamknąć i się go pozbyć, tak jak ona to planowała. Wyrzucić go do kosza lub odłożyć z powrotem na ławkę w parku i zapomnieć o nim na zawsze. I nigdy więcej nie brać rzeczy innych ludzi. Nigdy ich nawet nie dotykać. Nie patrzeć w ich stronę, zwłaszcza jeśli chodzi o tak intymne, jak pamiętniki.

Moja siostra pewnie powiedziałaaby, że niczego mnie nie nauczyła sytuacja po przeczytaniu jej osobistych notatek. Wybaczyła mi zbyt szybko, a moich rodziców to nie obchodziło. Jak się później dowiedzieliśmy, właśnie w tym czasie mój ojciec

miał opuścić rodzinę, a moja matka dokładała wszelkich starań, aby mu na to nie pozwolić, co ostatecznie się nie udało. Dlatego przeczytane bez pozwolenia szczere wyznania siostry o jej pierwszych randkach, pocałunkach i innych delikatnych szczegółach pozostały niezauważone, a co za tym idzie – bezkarne. A jako doradca podatkowy doskonale wiem: wszystko, co uszło na sucho, na pewno się powtórzy.

I tak czytam ponownie cudze. Intymne. Ukrywane. Tajemne.

Ona pisała o tym, jak ich poznał Brian w galerii na otwarciu wystawy wspólnego przyjaciela, jak pili wino w pobliskiej restauracji, jak on dotknął ręką jej ramienia. Jak gdyby przez przypadek. Jaka ona była zawstydzona i wszystko w niej natychmiast zdrzało.

Nadal mogłem przestać. Dokładniej, nie mogłem, nie mogłem, ale oczywiście musiałem.

Następne dwie strony połączyłem jednym oddechem. Kawa stygła na stole, a ja nie mogłem się oderwać. Mimo że jej pismo było trudne do rozszyfrowania, czytałem jej notatnik jak książkę odsłaniającą tajemniczy świat kobiety, której nie znałem. Świat, w który zanurzałem się chciwie, niepowstrzymanie, z właściwą mi palącą ciekawością i nadmiernym entuzjazmem.

Po kolejnej stronie znalazłem w sobie siły, aby się zatrzymać. Chciałbym powiedzieć, że powodowało mną sumienie, które nagle się obudziło. Ale nie, była to tylko chęć rozciągnięcia przyjemności czytania czegoś, co nigdy nie było przeznaczone dla moich oczu. Przekartkowałem notatnik lekko, prawie czule

dotykając spisanych kartek. Na górze gdzieś były daty. Wróciłem do samego początku: „20 grudnia”. Okazuje się, od ich pierwszego spotkania minęło prawie pięć miesięcy. Do szaleństwa chciałem wiedzieć, jak to wszystko się skończyło, ale pospiesznie odłożyłem notes, rozebrałem się, wziąłem zimny prysznic i położyłem się spać.

Śniłem o niej całą noc. Chociaż nie wiedziałem, jaka była, zresztą w snach nie ma to znaczenia. Wiedziałem tylko, że to ona. Marzyłem o galerii. I ten człowiek. Mike. Jego palce, które dotknęły jej ramienia. Jego pożerające spojrzenie. Głupi sen. Niejasny i niezrozumiały.

Obudziłem się nieprzytomny i niewyspany. Włożyłem pierwsze-lepsze spodnie i koszulę, zjadłem szybkie śniadanie i poszedłem do pracy. W czasie obiadu nie zaszedłem do parku, jak to robiłem zazwyczaj. Mówi się, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni, dlatego się nie odważyłem. Zamknąłem się w swoim gabinecie z kubkiem czarnej kawy i zimną kanapką z szynką i zastanawiałem się, co ja zrobiłem. Czy nie posunąłem się za daleko? Czy przekroczyłem granicę między przyzwoitością a roztropnością?

Moja świadomość jak gdyby się rozdzieliła. Pewna część mnie twierdziła, że wszystko jest w porządku, bo ona zostawiła swój notes w parku, można powiedzieć, wyrzuciła go, bo był niepotrzebny. Z takim samym powodzeniem mógł on dostać się w ręce każdego. Byłem więc nie najgorszą opcją, całkiem bezpieczną

i rzetelną, bo nigdy nie zdradzę jej sekretów, nie poderwę jej zaufania i zachowam w całości strony przepełnione uczuciami.

Oczywiste jest, że były to tylko wymówki. Druga część mnie twierdziła, że zrobiłem źle. A najlepiej byłoby nigdy go nie dotykać, a jeśli już dotknąłem, to zostawić to tam, gdzie leżał. Może ona go szuka. Może żałowała, że rzuciła go na ławce w parku i teraz martwi się, co mogło się z nim stać, w jakie podstępne ręce mógł wpaść.

Jednakże żadna z części nie wygrała. Postanowiłem więc zachować go dla siebie, dopóki nie zorientuję się, jak najlepiej to zrobić. Nie mogłem obiecać, że go nie przeczytam, że nie będę chciał wiedzieć, co się dalej wydarzyło. Mogłem jednak obiecać, że nikt inny nigdy się nie dowie o tym. Tylko ja i ona.

Do końca dnia roboczego mechanicznie wykonywałem swoje zadania. Dwie konsultacje. Kolejna sprawa o spadek i kolejny rozwód. Wygląda na to, że ludzie robią jedynie to, że umierają i rozwodzą się, starając się ukryć przy tym jak najwięcej pieniędzy. A do tego nudna robota papierkowa: raporty finansowe małych firm. Jedyna radość to myślenie o jej pamiętniku. Przyjemne przecucie, że dotkniesz czegoś naprawdę wartościowego. Żywego. Prawdziwego. Nie przesiąkniętego chciwością i nienasyceciem.

W domu wziąłem go w ręce ponownie i kontynuowałem od miejsca, w którym zatrzymałem się poprzedniego dnia. Czytałem o ich spotkaniach. O jej uczuciach. Do niego. Jej słowa były przepełnione tak szaloną czułością i wzruszającym podnieceniem,

że niechcący zapragnąłem być na jego miejscu. Po dwóch stronach złapałam się na myśli, że ogromnie chcę, aby pewnego dnia ona tak napisała o mnie. A jeszcze po dwóch poczułem, że chcę dotknąć jej włosów, pocałować jej ramiona i delikatnie przytulić, tak jak to robił on.

Każda przeczytana strona zbliżała mnie do niej. Każde słowo łączyło mnie z jej piszącymi palcami, zanurzało się w moim sercu, napełniając słodkim ciepłem od stóp do głów.

Moje dni stały się rutynowe, monotonne i apatyczne. Chociaż musiały takie być od dawna, tylko nie zauważałem tego aż do dnia, w którym znalazłem jej notatnik. Wypełniony uczuciami i życiem. Teraz tylko wieczory były dla mnie pożądane. Wieczory, kiedy biorę jej notes w rękę.

Obiecałem sobie, że nie będę czytał więcej niż dwie strony dziennie, żeby nie stracić jej przedwcześnie. Jednak czasami nie mogłem się powstrzymać i wertowałem dalej.

Lecz kiedy dotarłem do miejsca, w którym ona wyznała mi miłość, złożyłem notes i nie dotykałem go przez dwa dni. Zamiast tego kupiłem własny i zacząłem robić notatki. Podobnie jak ona, nie wiedziałem, jak długo to potrwa, nie wiedziałem, kiedy się skończy, chciałem to odnotować i zachować. Zapamiętać, jak obudziły się we mnie dawno zapomniane uczucia. Jak zakochałem się w kobiecie, której nigdy nie widziałem.

Nie wiem, czy to możliwe. Czy można być oczarowanym tą, której głosu nigdy się nie słyszało, z którą nigdy się nie rozmawiało, a nawet nie wiedziało, jak ona wygląda. Po prostu

czytając jej pamiętnik. Dowiadując się o niej tego, czego być może nie dowiedziałbyś się przez miesiące randek i dziesiątki spotkań. Nie wiem, czy tak się zdarza, ale zakochałem się w nieznajomej, która zostawiła swój notes na ławce w parku.

I zacząłem zapisywać. Wszystko, co czułem, o czym myślałem, na czym mi zależało. Wszystko, czego chciałem. Od dawna nie interesowałem się sobą, zbyt mocno zagłębiwszy się w sprawach innych. W ich historiach kredytowych, raportach i deklaracjach, rachunkach bankowych, słabo ukrytych dochodach i jeszcze gorzej zawołowanych prezentach podlegających opodatkowaniu. I okazało się, że we mnie jest nie mniej ukrytych tajemnic. Bardziej poważnych niż otwierane potajemnie przed mężami i żonami konta oraz składki administracyjne zamaskowane pod dobroczynność. Tego, w czym nie przyznawałem się sam sobie, ale jako doradca podatkowy wiedziałem, że prędzej czy później nawet bardzo dobrze ukryte może wyjść na powierzchnię.

Po dwóch dniach wróciłem do jej pamiętnika. Ona pisała o tym, gdzie zwykle się spotykali. O restauracji, do której uwielbiali chodzić. I oczywiście o nim. Że pracuje w dziale marketingu w wydawnictwie. Jak ona kocha jego niebieskie oczy, falujące brązowe włosy. O jego delikatnym dotyku i gorącym oddechu na jej skórze.

Czytając, nagle zauważyłem w sobie lepkie, nieprzyjemne uczucie, tak obrzydliwe i ohydne, że aż się przestraszyłem. Nie lubiłem go, nie lubiłem go strasznie. Nigdy i do nikogo nie czułem tak silnej wrogości, jak do tego zupełnie obcego człowieka, który

przecież nic mi nie zrobił. Nic poza tym, że ona była w nim zakochana. Że go pragnęła, pozwalała się dotykać, całować i sama całowała.

Czy to była obsesja, szaleństwo? Widocznie. Ale wiedziałem też, że przez dwanaście lat pracy moja intuicja nigdy mnie nie zawiodła. A jeśli podejrzewałem, że gdzieś coś jest nie tak, to w dziewięciu na dziesięć przypadków tak było. I zanim skończyłem czytać jej pamiętnik, poczułem brzydki chłód, który mnie ogarnął w przeczuciu, że Mike bez wątpienia potwierdzi moje najgorsze obawy. I nagle naprawdę zapragnąłem ją znaleźć i ochronić przed wszystkimi zmartwieniami, rozczarowaniami i niepokojami.

Tak więc wieczorami nadal z zachwytem czytałem jej notatnik, powoli zanurzając się w historię, jak w otchłań wpatrującą się w ciebie, wobec której byłem zupełnie bezradny. Tymi samymi wieczorami kontynuowałem pisanie własnego. Byłem tym tak zafascynowany, że czasami nie mogłem odróżnić jej notesu od własnego. Jej słów od tych, które narodziły się w moim sercu. Łapałem się na myśli, iż nie byłem pewien, czy czytam teraz o jej uczuciach, czy już piszę o swoich. To jest to, co ona czuje do Mike'a, czy to, czym namiętnie do niej pałam? Czasami wydawało mi się nawet, że słyszę bicie jej serca, podekscytowanie i drżenie palców. I to uczucie nasiliło się, gdy dotarłem do miejsca, w którym zaczął się koniec.

Jej pismo stało się nagle jeszcze bardziej niezrozumiałe, litery stawały się coraz bardziej do siebie podobne, zdania nagle urywały się, tu i tam pojawiały się niespójne słowa, które wydawały się już

nie mieć znaczenia, liczyło się tylko to, co skrywało się za nimi. Ona niewiele pisała o Mike'u i w ogóle nie pisała o tym, dlaczego ich romans się skończył. Pisała tylko o własnych uczuciach. Dzięki temu próbowałem sobie wyobrazić, co się stało.

*Byłam pijana. Tak upita uczuciami, że nie zauważałam niczego wokół. I mój kruchy świat, który składał się wyłącznie z iluzorycznych nadziei i niespełnionych pragnień, słodkich złudzeń i niemożliwych do zrealizowania planów, upadł w jednej chwili. Jak domek z kart. Od pierwszego podmuchu wiatru. Od prawdy. Jak źle go znałam! Głupia, naiwna, zakochana kobieta!*

Pisała o pustce, która zżera jej serce, o bólu, który osiadł w jej ciele, zwłaszcza w klatce piersiowej.

*Czasami prześladował mnie niepokój, niejasne domysły, dziwne myśli, lecz odrzucałam je. Nie chciałam w to wierzyć. Ukrywając prawdę przed sobą, wydłużając samooszukiwanie się, w którym było zaskakująco dobrze. Jak mogłam być tak niepoważna? Jak mogłam tak się mylić? Ale, do diabła, jakaż byłam szczęśliwa, kiedy znów poczułam miłość. Choć to wszystko było kłamstwem od początku. Kłamstwem tak banalnym i zwyczajnym, że aż śmiesznym. Ale nie rozumiałam tego. Nie zdawałam sobie sprawy. Oślepiła mnie możliwość bycia kochaną. Pożądaną. Naprawdę żywą...*



Coraz częściej zamykałem notes i przyciskałem go mocno do piersi, jakby przytulając ją, niosąc ukojenie tuż obok mego serca. Ostrożnie dotykałem arkuszy, na których zostały ślady po jej łzach, zamieniając słowa w krzywe niebieskie bohomazy, które stawały się coraz trudniejsze do rozszyfrowania.

I już nie mogłem. Nie mogłem czytać. To było silniejsze ode mnie. Mogłem tylko dotykać opuszkami palców tego, czego dotykało jej serce. Doszedłem do tej samej strony, od której wszystko się zaczęło: „A jeśli ktoś cię znajdzie” i znalazłem. Ale co z tym zrobić? Odpowiedzi brak.

Moje serce, podobnie jak jej, wpadło w zakłopotanie wskutek bezradności i braku rozumienia, jak postępować dalej. Rozpaczliwie chciałem ją znaleźć. Gdziekolwiek była, pragnęłam tylko jednego: osuszyć jej łzy, ukoić jej serce i sprawić, by jej palce znów pisały o miłości.

Często zaglądałem na ostatnią stronę, na słowo „znajdzie” i niepokoiło mnie, że zostawiła zdanie niedokończone, że zostawiła swój notatnik. Jakieś podniecenie napełniło moje serce i jeszcze mocniej zapragnąłem ją znaleźć. Teraz to stało się moją obsesją. Myślałem o niej dzień i noc.

Po trzech dniach postanowiłem spróbować zebrać wszystko, co wiedziałem z jej pamiętnika. Przeprowadzić swego rodzaju śledztwo. To nie pierwszy raz dla mnie. Kiedyś mój klient poprosił mnie o przesłedzenie kilku płatności. Podejrzewał swojego partnera biznesowego o defraudację i oszustwo. Wtedy mój gabinet zamienił się na kilka dni w pokój szalonego detektywa.

Żadna liczba, żaden przelew nie umknął mojemu czujnemu oku. Partnerstwo upadło, ale majątek został uratowany.

Wypisałem wszystkie daty wymienione w jej pamiętniku i imiona tych, o kim wspomniała. Niestety, informacji było zbyt mało. Tylko Mike, sam tylko Mike. Którym pogardzałem aż do mdłości. Był też Derek, na którego wystawie się spotkali i z którym czasem jedli razem obiad. Brian, który wciągnął ją w tę całą historię oraz jacyś Mandy i Anna, z którymi czasem jadła śniadanie przed pracą. Wypisałem nazwy hoteli, do których oni z Mikiem jeździli na weekendy. Miejsca spotkań, w tym jego mieszkanie na starym mieście, gdzie ona czasami nocowała. Częściej jednak spotykali się u niej.

Ale to wszystko było bezskuteczne i puste.

„Muszę znaleźć kogoś, kto wie, czy wszystko z nią w porządku. Tylko tyle – zapewniałem sobie. – Tylko tyle”. Nie chciałem niczego więcej. Tylko wiedzieć, że wszystko jest w porządku z kobietą, w której bez pamięci zakochałem się, kiedy otworzyłem jej notatnik w parku.

Postanowiłem rozpocząć poszukiwania od Dereka (bądź co bądź, tego kto przygotował wystawę, znaleźć łatwiej, niż Briana w stogu siana). Był jej przyjacielem, więc mógł wiedzieć, co się z nią dzieje. Przejrzawszy z pół setki stron internetowych galerii, salonów i centrów wystawienniczych, znalazłem dziesięć, w których w grudniu odbywały się wystawy. Ale nigdzie nie było żadnego Dereka. Ani imienia takiego, ani nazwiska. Na wszelki wypadek postanowiłem sprawdzić innych artystów z nazwiskami

na „D”, którzy mieli w tym czasie wystawy. I znalazłem Dylana Grossa, akwarelistę, przedstawiającego nagą naturę i rzeźbiarza Duncana Morgana. Duncan odpowiadał. Ona pisała, że poznała Mike'a przed obrazem, podziwiając zachód słońca nad oceanem, a on żartobliwie zażartował, że chętnie podziwiałby takie widowisko razem z nią. Dylan z jego nagą naturą też nie pasował, ale postanowiłem to sprawdzić. Znalazłem jego profil w sieci społecznościowej, przejrzałem grudniowe posty w nadziei, że ktoś filmował całą tę akcję. Ale na wszystkich obrazach był tylko on z nagimi kobietami, które zachłannie patrzyły z jego obrazów. Moja próba odnalezienia jej przyjaciela nie powiodła się.

Wygląda na to, że miałem tylko jedną opcję. Nie ma co ukrywać, wiedziałem to od początku. Nie pozostało nic innego, jak tylko znaleźć Mike'a.

Z dziennika wiedziałem, że on pracował w wydawnictwie. Wiedziałem, że znajduje się w centrum miasta i wiedziałem, że dwie przecznice dalej jest włoska restauracja, do której czasem chodzili na kolację.

W centrum znalazłem trzy wydawnictwa. Dzwoniłem do każdego z nich i za trzecim razem miałem szczęście. Okazało się, że mają dział marketingu, w którym pracuje Mike Walker. Ale miał dzień wolny ze względu na sytuację rodzinną. Odmówiono mi podania jego numeru telefonu. Wtedy wyjaśniłem, że jestem doradcą podatkowym, i dalej nie musiałem nic mówić. Ludzie ponad wszystko boją się śmierci i podatków. A jeśli śmierć może

być ulgą, to podatki są zawsze dużym ciężarem. I jego asystent, oprócz numeru telefonu, podał mi też jego adres domowy.

Sprawdziłem z Megan, czy nie mam pilnych klientów i pojechałem do niego.

Gdy zbliżyłem się do jego domu, przytulnego gniazdka poza miastem, poczułem pulsujący ciężar w klatce piersiowej, nasuwający mi myśl o nieprzyjemnym finale. W rzeczywistości puzzle zaczęły się układać, gdy tylko dostałem jego adres domowy. I wszystko, co wcześniej było tylko domysłami i przypuszczeniami, nagle nabrało kształtu i stało się całkiem namacalne. Nie ma co ukrywać, mężczyźni nie są zbyt pomysłowi, a sposoby krzywdzenia i zdrady są dość prymitywne i trywialne. Lecz mnie interesowało tylko jedno: czy z nią wszystko jest w porządku. Moje serce rozpaczliwie martwiło się o nią.

Zapukałem do drzwi i póki czekałem na odpowiedź, wydawało mi się, że minęła wieczność, nagle zdałem sobie sprawę, że chyba mam obsesję i straciłem rozum. W końcu szukam kobiety, której nigdy w życiu nie widziałem, której imienia nie znam, której istnienie znam tylko z pamiętnika, którego oczywiście nie miałem żadnego prawa czytać. Ale wkroczyłem w jej życie bez pozwolenia, bezczelnie i zdradziecko, i stanąłem teraz na progu domu mężczyzny, którego ona kochała. A może nadal kocha. Na tą myśl szczególnie mnie zaczęło mdlić. Moje myśli przerwało kliknięcie zamka. Wytchnąłem i wziąłem się w garść.

Na progu pojawił się wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Zerknąłem na niego szybko. Miał na sobie biały t-shirt i niebieskie

dżinsy. Z pewnością atrakcyjny i nie pozbawiony uroku, do tego, bez wątplenia, wiedział o tym. Jego szeroki przyjazny uśmiech zdradzał pewnego siebie mężczyznę.

– Mike Walker? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział radośnie. – W czym mogę pomóc?

– Mike, cała sprawa polega na tym – zacząłem, starannie dobierając słowa – że szukam pewnej kobiety. Bardzo się o nią martwię.

– Jakiej kobiety? – uśmiech został zastąpiony zmieszaniem.

– Pan poznał ją na wystawie w grudniu...

– Nie rozumiem, o kogo chodzi. Chyba pan się myli – powiedział niepewnie.

Spojrzałem na niego uważnie. Zapewne każdy zrobiłby tak na jego miejscu. Zaprzeczać wszystkiemu, aby jego słaba, krucha i niezdarna góra kłamstw nie przewróciła się, grzebiąc go pod sobą. Ale przecież on całował ją, szeptał słodkie wyznania, zmuszał jej serce do pałania miłością, a ciało – do pożądania. A teraz zachowywał się tak, jakby jej nigdy nie znał. To przekraczało granice mojego rozumienia.

– Pracuje Pan w dziale marketingu Wydawnictwa „City Publishing”? Wynajmuje Pan małe mieszkanie na starym mieście, a przynajmniej wynajmował...

Po jego uroku i życzliwości nie było śladu. Rozejrzał się z napięciem, pospiesznie zamknął drzwi i odszedł kilka kroków od domu.

– Kim Pan jest? – syknął. – Czego Pan chce? Pieniądzy? Przyszedł Pan mnie szantażować?

– Panie Walker, nie potrzebuję od Pana niczego poza informacją. To dla mnie ważne, aby wiedzieć, czy z nią jest wszystko w porządku. Z tą kobietą, z którą Pan miał romans. Nie będę stwarzał Panu żadnych kłopotów. Daję słowo.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Milczałem. On był moim jedynym kluczem do niej. I nie zamierzałem się poddać. Nagle coś zmieniło się w jego oczach. Prześlizgnęły się ledwie zauważalne goryczka i tęsknota.

– Nie wiem – wyszeptał szybko – i proszę mówić ciszej. Naprawdę nie wiem. Szukałem jej. Telefon nie odbiera, profile na portalach społecznościowych są zablokowane, mieszkanie, w którym mieszkała, jest puste. Po prostu zniknęła.

– Po tym, jak dowiedziała się, że jest Pan żonaty?

Kiwnął głową.

– Nie chciałem tego, przysięgam. Pogubiłem się. Nie wiem, jak to się stało. Tak się pogubiłem!

Nie było mi go żal. Żałowałem tylko, że ona musiała stawić czoła jego kłamstwom.

– A Derek, jej przyjaciel, może coś wie?

– Derek? – zapytał z niezrozumieniem.

– Artysta, na wystawie, którego poznaliście się.

– Ach, Miles Rodd. Znam go tylko pod pseudonimem twórczym.

I wtedy dotarło do mnie, dlaczego nie mogłem się niczego dowiedzieć o Dereku.

– Nie chce ze mną rozmawiać.

Można go było zrozumieć.

– Rodzice, rodzeństwo? –nie odstępowałem.

Potrząsnął głową.

– Ojciec odszedł, gdy była bardzo mała, a mama zmarła kilka lat temu.

– Przyjaciele?

– Nie znam nikogo więcej.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– A kim Pan jest? – zapytał nagle, przyglądając mi się uważnie.

– Jeśli powiem, że się o nią martwię, czy to wystarczy?

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Wyjąłem wizytówkę z kieszeni marynarki i wręczyłem mu.

– Proszę zadzwonić, jeśli Pan się czegoś dowie.

Rzecz jasna, szanse, że to zrobi, są niewielkie, ale warto spróbować. Wziął wizytówkę i schował ją szybko w tylnej kieszeni dżinsów.

Wróciłem do biura zdruzgotany. Spotkanie z nim odebrało ostatnią nadzieję na jej odnalezienie. Nie zbliżyłem się nawet na milimetr, żeby dowiedzieć się, czy wszystko z nią w porządku. Znalazłem profil Dereka-Milesa. Ale jeśli on nie chciał rozmawiać z tym, którego kochała, to wątpliwe, czy zechce powiedzieć o niej coś komuś, o którym istnieniu nawet nie wiedziała. Jest jej przyjacielem, chroni ją i nie powie o niej nieznanemu, który w

parku wzięł zeszyt i teraz ma na jej punkcie obsesję. Zwłaszcza po tym, co się stało.

Po dwóch dniach – zupełnie pustych i ponurych – czyżby tak wyglądały moje dni i całe moje życie do jej pamiętnika? – zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetlił się nieznany numer. Odpowiedziałem.

– To Mike. Czy możemy się dziś spotkać? – zapytał. – Muszę z Panem porozmawiać.

„Może się czegoś o niej dowiedział” – błysnęła zbawcza myśl.

– Spotkajmy się o szóstej w barze „Róża wiatrów”.

– Jesteśmy umówieni – zgodził się bez wahania.

O szóstej byłem na miejscu. On już siedział przy stole w odległym kącie, wyglądając na przygnębionego i nieco wyobcowanego. Na jego zmęczonej twarzy było wypisane, że od kilku dni normalnie nie spał. Zrozumiałem to od razu, bo już od kilku tygodni sam nie dosypiałem. Megan zauważyła, że coś się ze mną dzieje i zasugerowała, że czas zanieść koszulę do pralni chemicznej. Ponadto zacząłem często pojawiać się w pracy z nieogolonymi policzkami i podbródkiem, na co nigdy wcześniej sobie nie pozwalałem. Zresztą nigdy wcześniej nie szukałem obcych kobiet. Nie spotkałem się z tymi, których one kochały. Teraz dużo rzeczy działo się dla mnie po raz pierwszy.

– Muszę Panu wszystko wyjaśnić – zaczął bez żadnego wstępu ani przedmowy, gdy tylko usiadłem do stołu. – Napije się Pan czegoś?

– Whisky – odpowiedziałem.

On pomachał do kelnera i, złożywszy zamówienie, kontynuował:



– Zamierzałem rozwieść się z Jenny, moją żoną.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. „Czy on ma zamiar się wypowiedzieć?”. Mężczyzna westchnął ciężko, a gdy kelner przyniósł napoje, natychmiast opróżnił szklanę.

– Rzeczywiście miałem zamiar. Przez rok uczęszczaliśmy do terapeuty rodzinnego i to nam nie pomogło. Wcale nie pomogło. Albo źle się starałem, nie wiem... Ale nie czułem do niej już tego, co kiedyś. Nie mogłem nawet być blisko niej. Irytował mnie jej głos, dotyk, a nawet zapach. Wyprowadziłem się w październiku. Powiedziałem, że powinniśmy pomieszkać osobno. Problem tkwił nawet nie w Jenny, tylko we mnie. Nie czułem się dobrze. Nie cieszyłem się życiem. Straciłem dawną radość. Moje życie zamieniło się w duszną klatkę, z której chciałem, choć na chwilę wyfrunąć. Chciałem uciec i... – spojrzał w dół. – W grudniu poznałem Natalie.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. A ja też mimowolnie się uśmiechnąłem. Znam jej imię. Na-ta-lie.

– Ona jak gdyby coś przełączyła we mnie. Tutaj – niezręcznie dotknął klatki piersiowej – w środku. Tak, jakby otworzyła dla mnie nowe źródło miłości i radości. O dziwo, tego samego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, po raz pierwszy od wyprowadzki przypomniałem sobie moją żonę. Nagle poczułem do niej jakieś ciepło. Jakby nie była mi obojętna, tak jak dawno, dawno temu. Wysłałem jej nawet wiadomość, aby dowiedzieć się, jak się czuje. Pochwycił moje zdziwione spojrzenie i zamilkł. Gestem pokazał kelnerowi, aby powtórzył zamówienie. Milczałem też, bo nie

wiedziałem, co powiedzieć. Że bardzo mi żal, iż był tak smutny, że musiał rozpocząć romans za plecami żony? Czy to, że się cieszę, iż udało mu się wydostać z rozpacz i smutku, omotawszy pajęczyną kłamstw dwie Bogu ducha winne kobiety? Nie wiedziałem nawet, co czuć, a tym bardziej, co powiedzieć. Przyniesiono nam jeszcze whisky, a on kontynuował:

– Była taka piękna na wystawie... Czarna aksamitna sukienka, czerwona szminka na ustach. Spojrzenie jej zielonych oczu powoli prześlizgało się przez obrazy i kilka razy dotknęło mnie. Nie mogłem się oprzeć i zaproponowałem jej kieliszek wina w restauracji niedaleko galerii. Zgodziła się. Zaczęliśmy się spotykać.

– I nie domyślała się, że jest Pan żonaty? – zapytałem w końcu.

– Nie, mieszkaliśmy z Jenny osobno. Widzieliśmy się u niej albo u mnie, a w weekendy wyjeżdżaliśmy za miasto.

– A Pana żona nie podejrzewała romansu?

Potrząsnął głową i pociągnął długi łyk whisky.

– Nie wiedziała nic. Ale wraz z pojawieniem się Natalie relacje z nią zaczęły się poprawiać. To było tak, jak gdyby uczuć, które się pojawiły, wystarczało i na moją żonę i na mnie. Po Nowym Roku nawet spędziłem noc z Jenny. Ona była bardzo szczęśliwa. Życie napełniło się radością i przyjemnością. A w klatce pojawiło się wyjście na wolność.

– Dlaczego mi Pan to wszystko mówi? – wyrwało mi się mimo woli.

Coraz trudniej było mi go słuchać. Poczułem, jak w środku mnie rozlewa się złość, zmieszana z obrzydzeniem – znaleźć sobie kochankę, aby pokochać żonę, oszukiwać dwie kobiety, żeby odzyskać radość życia. Okropne, obrzydliwe, dzikie.

– Pan jest jedyną osobą, która wie o Natalie. Po prostu muszę się wygadać. To mnie dręczy. Zjada od środka. Nie chciałem tego, wie Pan? Nie chciałem. To się zdarzyło. Nie sądziłem, że wrócę do Jenny. Naprawdę tak nie sądziłem.

On znowu zamilkł, a ja ledwo mogłem się powstrzymać od tego, żeby nie obić mu gęby. Wciąż jednak miałem nadzieję, że on coś o niej wie i opowie mi, jak tylko skończy swoją nikczemną spowiedź.

– Czyżby Pan się nigdy nie mylił? – zapytał nagle.

Spoglądałem na niego w milczeniu. Oczywiście, nie zawsze czyniłem dobrze. Zresztą, doradzałem firmom, które wyrzucały toksyczne odpady do rzek i jezior. Bronilem przed wielomilionowymi grzywnami, znajdując luki w prawie, gdy próbowano je zamknąć z powodu błędów podatkowych. A czasem pomagałem parom oszukiwać się nawzajem w postępowaniu rozwodowym, ukrywając dochody podczas podziału majątku. Pogardzałem sobą za to. Jednak nigdy nie zdradziłem tych, którzy byli mi bliscy.

Wręcz przeciwnie, zawsze starałem się ich chronić. Pewnego dnia rozkwaśiłem facjatę pewnemu sukinsynowi, pierwszemu piękniśowi w szkole. Moja siostra nie zgodziła się z nim przespać, więc rozpuścił takie pogłoski, że ona była gotowa opuścić szkołę i

uciec z domu. Dorwałem go. Stracił dwa przednie zęby i gdyby nas nie rozdzielono, złamałbym mu nos. Przez następne dwa tygodnie spuchnięta szczęka i siniak pod okiem zdradzały jego prawdziwą naturę, którą umiejętnie ukrywał przed innymi. Groziło mi wydalenie, ale zmniejszyła się liczba chętnych do pójścia z nim na bal maturalny. Złe języki również natychmiast ucichły.

– Tak, panie Walker, myliłem się – powiedziałem – ale nie krzywdziłem kobiet, które kochałem.

– Chciałem jej powiedzieć – wykrztusił cicho, patrząc w dół. – Kiedy Jenny zaszła w ciążę, chciałem się do wszystkiego przyznać. Musiałem dokonać wyboru, musiałem wszystko opowiedzieć, ale bałem się. Bałem się, że ona odejdzie i razem z nią odejdzie miłość, smak życia, który właśnie zacząłem odzyskiwać.

Rzadki gnojek. Jakież on był dla mnie obrzydliwy!

– Ona zobaczyła nas z Jenny w restauracji, do której często chodziliśmy. Co za idiota! Była tam z Milesem. Jenny i ja trzymaliśmy się za ręce, szeptaaliśmy i uśmiechaliśmy się jak kochankowie, którzy właśnie się poznali. Szukaliśmy wolnego stolika i nagle ją zauważyłem. Patrzyła wprost na mnie... – westchnął głośno. – Potem wstała i wyszła, a Miles pobiegł za nią. Milczenie znów nakryło nas zimną lepką falą.

– Po kolacji, wymyśliwszy coś o pilnej pracy, poszedłem do jej domu. Nie otworzyła. Dzwoniłem do niej sto razy, wysyłałem wiadomości. Wyłączyła telefon. Chciałem wyjaśnić, chciałem

przeprosić, ale od tego wieczoru nie widziałem jej ani nie słyszałem.

– Więc nie wie Pan, co się z nią dzieje? Nie ma Pan żadnej informacji? – spytałem niecierpliwie.

Przecząco kiwnął głową, dopijając whisky.

– I Pan się o nią nie martwi?

Spojrzał na mnie tak, jak gdyby nigdy mu to nie przyszło do głowy. Oszukiwał kobietę, która go kochała, i nawet nie martwiło go to, co się z nią stało po ujawnieniu prawdy. Niestety, wiedziałem, co się dzieje, gdy kobieta zostaje sama ze zdradą. Widziałem, jak cierpiała moja mama (powoli zapadając się w otchłań rozpacz, niczym w ruchome piaski, czasem nawet nie znajdując siły, by wstać) po odejściu ojca. Tylko obecność mojej siostry i mnie dawała jej siłę do życia. Spojrzałem mu w oczy i nagle zdałem sobie sprawę, że już nic do niego nie czuję. Ani gniewu, ani wrogości, ani nawet wstrętu. Jak gdyby przestał dla mnie istnieć.

– Kochał ją Pan? – postanowiłem zapytać przy końcu rozmowy.

– Tak – odpowiedział.

Naprawdę chciałem w to uwierzyć.

Powoli wstałem i skierowałem się do wyjścia. Zaskakujące, że on nawet nie zapytał mnie, kim naprawdę jestem. W drodze do baru martwiłem się, że w każdej chwili może dowiedzieć się prawdy. Dowiedzieć się, że jestem nikim. Absolutnie nikim. Że nie mam żadnego prawa ingerować w ich życie. Że nigdy jej nie widziałem i nawet nie znałem jej imienia przed tym spotkaniem. Że jestem

szalonym głupcem, który zakochał się w notatniku. Szaleniec, który zakochał się w tej, która powierzyła mu swoją tajemnicę. Jednak gotów jestem zaryzykować, zrobić wszystko tylko po to, żeby dowiedzieć się, co się z nią dzieje. Tymczasem on interesował się tylko sobą.

Natomiast ja znałem teraz jej imię i kolor oczu. Znowu nie mogłem spać, myśląc o niej. O tym, jak boli widok ukochanej osoby obok innej. Kiedyś musiałem przez to przejść. To tak, jakby serce cięli tęnym nożem, przebijali ostrymi igłami i mocno ściskali palcami. A wszystko to jednocześnie, powoli i patrząc prosto w oczy. To boli tak bardzo, że lepiej nic nie czuć. Nic, a to w rzeczy samej wybrałem po tym zdarzeniu. Jednakże ona zwróciła mi moje serce. Wrażliwe i żywe. Delikatne, namiętne i kochające.

Mogłem pogardzać Mikiem, uważać go za łajdaka, łotra, niegodziwca, ale jak mogłem oskarżać go o to, że ona tchnęła w niego życie i miłość? Jeżeli ona zrobiła to ze mną tylko poprzez notatnik pozostawiony niedbale na ławce w parku! Gdybym wówczas, kiedy go znalazłem, wiedział, że wszystko się tak potoczy, że moja chęć poskromienia ciekawości zamieni się w obsesję, i tak bym to zrobił. Nawet bez żadnej szansy na spotkanie z nią. Jej notatnik przywrócił mnie do życia, wypełnił moje serce uczuciami, ożywił je. I ja po prostu chciałem, żeby jej serce znów pokochało. Podobnie silnie i czule, jak moje kochało ją.

Za tydzień zadzwonił ponownie. Na początku wahałem się, czy odpowiedzieć, czy nie. On nic nie wiedział o Natalie, o czym przekonałem się wcześniej dwukrotnie, nie chciałem natomiast

słuchać kolejnej partii jego brzydkich wyznań. Ale nadzieja zwyciężyła. Być może jednak czegoś się dowiedział lub ona mu odpowiedziała.

– Dodzwoniłem się do Milesa – zaczął, nie tracąc czasu na powitanie – W końcu podniósł słuchawkę. Po naszym spotkaniu zacząłem się martwić...

„Czyżby?” – pomyślałem.

– Dzwoniłem do niego kilka razy dziennie z różnych numerów o różnych porach. I najwyraźniej był tym zmęczony, poddał się i odpowiedział. Musiałem przysiąc, że nie będę jej szukał, żeby mógł mi o niej opowiedzieć.

– To co powiedział? – nie mogłem się powstrzymać.

– Powiedział, że wyjechała. Po prostu wyjechała.

– I to wszystko? To niemożliwe – nie wierzyłem.

– Niestety, tak, to wszystko. Nie chciał powiedzieć dokąd, na ile i czy wróci. Mówię przecież, przysiągłem w zamian za informację nie prosić o nic więcej i nie próbować się z nią skontaktować. Najważniejsze, że z nią wszystko w porządku, prawda? Żyje i ma się dobrze. Czy to Pan chciał wiedzieć?

– Dziękuję – powiedziałem zdezorientowany i odłożyłem słuchawkę.

Nagle oszołomiła mnie niemiła prawda, którą starannie przed sobą ukrywałem. Wygląda na to, że chciałem więcej. Okłamywałem siebie, że chciałem tylko wiedzieć, jak jest. W rzeczywistości chciałem ją znaleźć. Tak, znaleźć. I, jeśli wystarczy odwagi, wyznać jej swoje uczucia. I, być może, kiedyś nawet liczyć na

wzajemność. Chociaż, oczywiście, jest to zbyt niewiarygodne, całkowicie niemożliwe i absolutnie niewykonalne.

Moje dni miały powoli i bezcelowo. Wydawało się, że czas zmierza w nieskończoność, na którą składają się tylko raporty i oświadczenia, pozwy i rozwody, spuścizny i bankructwa. Kiedyś myślałem, że to normalne życie, nawet nie domyślając się, że jest puste. Okropnie puste. Pozbawione miłości.

I tylko wieczory wciąż rozgrzewały mi serce, kiedy wyciągałem jej notatnik, dotykając aksamitnej niebieskiej okładki, dotykając stron pełnych jej miłości i czułych słów. Tak, jak gdybym był obok niej. Przytulał ją. Przygarniał do swojego serca. W swoim własnym natomiast zapisywałem swoje uczucia do niej. One przepełniały mnie. I przelewałem je na papier.

Pisałem o nadziei i marzeniach. O tym, jak bardzo byłbym szczęśliwy, spotkawszy ją pewnego dnia. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że gdybym ją zobaczył, natychmiast bym ją rozpoznał. W końcu jak można nie rozpoznać tej, która obudziła miłość w sercu. Mój notatnik coraz bardziej przypominał pamiętnik zakochanego szaleńca. I nic nie mogłem na to poradzić.

Tydzień po telefonie Mike'a nagle się obudziłem i wyraźnie zdałem sobie sprawę, że czas to kończyć. Nie dam rady jej znaleźć. Czas się wycofać, poddać się. Nie było więcej wątków prowadzących do niej. Wyjechała, więc nie było szans na spotkanie z nią, przypadkowe czy celowe.

Uznałem, że ta historia powinna zakończyć się tak, jak się zaczęła – notatnikiem. Moim. Miałem zabrać go do parku i zostawić na



ławce przy fontannie. Przeczytałem jej notatnik, więc moja szczerłość miała być skazana na osąd innych oczu. Tak, aby przywrócić równowagę i umieścić wszystko na swoim miejscu. Chociaż, być może ten, kto by go znalazł, byłby szlachetniejszy ode mnie i po prostu wyrzuciłby go do kosza, nawet nie otwierając. W każdym razie nie miało to znaczenia. Musiałem pozbyć się notesu, żeby postawić kropkę w tej historii.

Poszedłem do parku przed pracą. Świeżość poranka wypełniła moje płuca. Wziąłem głęboki oddech i poszedłem do ławki, gdzie często siadałem w porze obiadowej i gdzie znalazłem jej zeszyt. Od tamtej pory ani razu tu nie byłem. Przestępcy jednak wracają na miejsce zbrodni, choć nie od razu. Park wydawał mi się strasznie obcy. Wydawało się, że w ciągu półtora miesiąca, kiedy go unikałem, zmienił się, a może to ja się zmieniłem.

Wyjąłem swój notes z plecaka i rozejrzałem się. Nikogo. Jak wtedy, tamtego odległego cudownego poranku, który obdarzył mnie miłością. Tylko śpiew ptaków i szmer fontanny przerywały poranną ciszę, przydając melodii spokojnemu letniemu obrazowi. Przycisnąłem notatnik do piersi, żegnając się z nim i z nią. Położyłem go na ławce, w tym samym miejscu, w którym kiedyś leżał jej. Spojrzałem na niego po raz ostatni i poszedłem do pracy. Czekał na mnie kolejny nudny dzień i to samo życie, w którym mogłem tylko pomarzyć o naszym spotkaniu.

\*

Niecały tydzień później zobaczyłem ją w parku. Siedziała na tej samej ławce. Rozpoznałem ją po szaleńczym biciu mojego serca. Serce nie mogło się mylić. Nie odważyłem się podejść, zatrzymując się przy fontannie. Co jej powiem? Że znalazłem jej notatnik? Że przeczytałem go, nie mając do tego żadnego prawa? Że zakochałem się w niej, choć nigdy jej nie widziałem? Nie, nie mogłem. Chociaż bardzo tego chciałem.

\*

Innym razem spotkaliśmy się w restauracji niedaleko galerii, gdzie go poznała. Czasami tam chodziłem tylko po to, żeby być tam, gdzie ona kiedyś była. Siedziała przy stoliku nieopodal mnie. Potajemnie ją podziwiałem. Była jeszcze piękniejsza, niż to sobie wyobrażałem. Obok niej siedział mężczyzna. Po burzy rudych włosów rozpoznałem jej przyjaciela Dereka. Nabierałem odwagi, by podejść.

\*

Spotkaliśmy się ponownie po sześciu latach. Zobaczyłem ją w pobliżu kwaciarni na starym mieście. Wybierała róże, a obok kręcił się chłopczyk o niebieskich oczach i kasztanowych lokach.

– Mike – uśmiechnęła się miękko. – Co powiesz, białe czy bordowe?

Zatrzymałem się na chwilę, dobierając słowa. Ale nie znalazłszy ich, przeszedłem obok. A potem wróciłem i wreszcie się odezwałem.

Spotykałem ją wielokrotnie w galeriach, restauracjach, kawiarniach i barach, w parkach i na ulicach nieznanymi miast. Czasami podchodziłem, a czasami nie śmiałem. Czasami rozmawialiśmy, a czasami trzymałem się blisko i tylko na nią patrzyłem. Ale bez względu na to, co zrobiłem, kochałem ją.

Kiedy zacząłem tracić wszelką nadzieję na spotkanie z nią w prawdziwym życiu, zacząłem wymyślać nasze spotkania, niemożliwe i nierealne. Wymyślać je i zapisywać w notatniku. Zgromadziły się w nim dziesiątki wersji, pięknych romantycznych historii, które chciałem przeżyć razem z nią. A po wysłaniu notatnika na ławkę w parku, jedyne, co mogłem zrobić, to w przerwach między konsultacjami a sprawdzaniem dokumentów przewijać w głowie spotkania, które nigdy się nie odbyły i które jednocześnie były wszystkim, co mi zostało.

– Nie podobają mi się one – rozległ się cichy kobiecy głos.

– Przepraszam, słucham? – Oderwałem się od rocznego raportu towarzystwa ubezpieczeniowego na skraju bankructwa i na chwilę zamarłem.

Na progu mojego gabinetu stała kobieta w szmaragdowej sukience. Złote loki opadały falami do łokci. Spojrzenie jej zielonych oczu było skierowane na mnie. W ręku trzymała notatnik w okładce z niebieskiego aksamitu.

– Mówię, że nie podobają mi się opcje, które Pan opisał.

Serce mi waliło. Uśmiechnęła się lekko i usiadła na krześle naprzeciwko. Wpatrywałem się w notatnik w jej rękach i ogarniał mnie coraz większy niepokój. Czy to naprawdę mój? Czy ona go przeczytała? Ona...

– Ma Pan ogromny potencjał twórczy, Nick – potwierdziła moje obawy. – I bardzo bogatą wyobraźnię. Nie marzył Pan kiedyś o karierze pisarza? Tyle pomysłów! Pomyśleć tylko: ponad dwadzieścia opcji naszego spotkania.

Z zainteresowaniem patrzyła na mnie, a ja – na jej palce wertujące mój notatnik. Teraz nadeszła jej kolej, by dotykać moich słów, dotykać mojego serca. Jeśli przeczytała go w całości, wiedziała wszystko. Absolutnie wszystko. O moich nadziejach i marzeniach, o przeżyciach i uczuciach. Sto razy pisałem, że ją kocham. Przez całe życie nie wyznawałem tyle razy miłości, jak od chwili, gdy znalazłem jej notatnik. Co ona o mnie myśli? Nagle zatrzymała się na jednej ze stron i ostrożnie przesunęła po niej palcami.

– To bardzo wzruszająca opcja – powiedziała, patrząc na mnie z uśmiechem. – Tylko tutaj jest dziecko z jego imieniem, nawet nie wiem, wydawało mi się, że to trochę za dużo. Nie nazwałabym go tak. I o ile pamiętam, gdzieś to już było. Poza tym jestem pewna, że Pan by mnie nie poznał. Czy właśnie tak Pan mnie sobie wyobrażał?

Spojrzała na mnie wyzywająco, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Że to, jak ją sobie wyobrażałem, zawsze było mi obojętne? Że pociągał mnie nie wyobrażony wygląd, ale to

nieuchwytnie uczucie, które rodziły we mnie jej własne słowa? Że właśnie to skłoniło mnie do poszukiwań, do tych wszystkich marzeń i fantazji? Ona wertowała mój notatnik, a moje serce nadal się niepokoiło.

– Dobra opcja z galerią. Poczekać na kolejną wystawę Dereka i przyjść tam. Wie Pan, to mogłoby zadziałać. Byłabym tam, ale wątpię, czy chciałabym znowu kogoś poznać na otwarciu. Sam Pan rozumie...

Patrzyłem na nią i nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Przebaczenia czy pokarania? Potępienia czy akceptacji?

– Ale myślę – uśmiechnęła się nagle, przewracając następną stronę – wolałby Pan tę opcję, kiedy spotyka mnie Pan w miejskim parku na swojej ulubionej ławce. Całkiem ładnie. Nawiasem mówiąc, kiedyś też często na niej siedziałam.

Milczałem, nie odrywając od niej oczu.

– Są naprawdę dobre – powiedziała, ostrożnie wertując strony. – Raczej są po prostu nierealne, mało prawdopodobne, a niektóre całkowicie niemożliwe. No, poza tą, w której Pan nigdy mnie nie spotyka. Ale jest zbyt pesymistyczna. W ogóle jej nie lubię. Nie chciałabym tak.

Spojrzała na mnie uważnie i nadzieja wstąpiła do mojego serca. Wzięłem głęboki oddech.

– Muszę wszystko wyjaśnić... – zacząłem i natychmiast przerwałem.

Cóż mogłem wyjaśnić? Mój notatnik wyjaśniał wszystko znacznie lepiej niż byle jak wymyślone słowa. Co mogłem

wyjaśnić? Że kochałem ją? Kobieta, która zostawiła swój notatnik na ławce w parku i teraz siedziała przede mną z moim notatnikiem w dłoniach. Widziałem ją po raz pierwszy, ale ją kochałem. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Wówczas zebrałem się na odwagę i zapytałem:

– Którą opcję Pani woli, Natalie?

Spojrzała na mnie ponownie. Płomiennie i jednocześnie delikatnie dotykając mojego serca.

– Tę, którą ja wymyśliłam. Oto jest.

Otworzyła notatnik na ostatniej stronie i wręczyła mi.

Wziąłem go w ręce i przebiegłem wzrokiem po krótkiej notatce. Moje serce słodko zatrzepotało.

\*

Tego ranka znalazłam czyjś notatnik. W życiu bym go nie otworzyła, gdybym nie pomyślała, że to mój. Bo przecież był taki sam – gruby notatnik w niebieskiej aksamitnej okładce. I nawet jeśli taki sam można kupić w każdym sklepie papierniczym lub w kiosku prasowym, to ten właśnie leżał na tej samej ławce, na której ja półtora miesiąca temu zostawiłam swój. Wydawało mi się, że to byłby zbyt niezwykły zbieg okoliczności, więc uznałam, że mój notatnik jakimś cudem leży tam tyle czasu. Nawet w to nie uwierzyłam: czy służby miejskie przestały sprzątać parki? Zwykle nie cackają się z cudzymi rzeczami. Kiedyś nadto zagłębiłam się w lekturę książki i moja kawa na wynos natychmiast trafiła do kosza. I czy któryś z przechodniów, który chciałby usiąść na ławce przy

fontannie, gdzie przez cały dzień panował przytulny chłodny cień, nie wysłałby go tam, gdzie było jego miejsce – na wysypisko?

Usiadłam na ławce i ostrożnie wzięłam do rąk notatnik. W parku nie było nikogo. Tylko szum fontanny i śpiew ptaków ożywiały senny spokój poranka. Otworzyłam go na pierwszej lepszej stronie i od razu zdałam sobie sprawę, że się pomyliłam. On nie jest mój. Odetchnęłam z ulgą, ale jednocześnie coś we mnie zachciało go przewertować. Nigdy tak nie robiłam. Nie jestem bardzo ciekawa, ale ten notatnik przyciągał mnie. Pewnie dlatego, że był podobny do mojego. Tak więc otworzyłam go na pierwszej stronie. Na okładce podpisany imieniem. Notatnik należał do mężczyzny. I nagle zastanowiło mnie: czy o nim zapomniał, czy tak jak ja odszedł, decydując się go pozbyć? I tu, oczywiście, warto było odłożyć go z powrotem, ale zdażyłam przebiec oczami kilka linijek. Zatkło mnie ze zdziwienia. Od razu pod jego imieniem pojawiły się słowa bardzo podobne do moich:

*Czas się pożegnać. Czas się ciebie pozbyć. Masz zbyt wiele tajemnic. Za dużo mnie. Masz za dużo miłości, a teraz to za dużo dla mnie. Nie mogę tego dłużej trzymać. Zostawiam cię. A jeśli ktoś znajdzie, niech zadecyduje według własnego uznania. Los notatnika już nie należy do mnie. Jak i moje serce.*

Patrzyłam na te linijki i ledwo mogłam oddychać. Czy ten człowiek, kimkolwiek był, znalazł mój notatnik i go przeczytał? Jak mogłam zostawić go tak bezpiecznie w parku, nie myśląc, co

będzie dalej, w czyje ręce mógłby wpaść. Chociaż wtedy było mi to obojętne. Chciałam tylko jak najszybciej się z nim pożegnać.

Serce waliło mi w piersiach. Drżącymi palcami wertowałam *jego* notatnik. Był prawie w całości spisany bardzo dużym, starannym pismem. Nagle zobaczyłam w nim swoje imię. I więcej i więcej. Na prawie każdej stronie. Moje serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Poczułam nieprzyjemną falę zaskoczenia i gniewu wzbierającą od wewnątrz. On dotykał moich arkuszy, czytał moje szczere wyznania, wiedział to, o czym chciałam zapomnieć. I znał nawet moje imię! Ale skąd on to wiedział? Mój notatnik, w przeciwieństwie do *jego*, nie był podpisany.

Wzięłam kilka głębokich oddechów, odzyskując zmysły. Czyżbym tak głupio i lekkomyślnie oddała swoje życie osobiste pod cudzy ogląd? W każdym razie wszystkie odpowiedzi mogłam znaleźć tylko w *jego* notatniku. Rozejrzałam się. Nikogo. Szybko schowałam notes do torby i wyszłam z parku. Trzeba poczekać do wieczora, żeby to przeczytać i wszystko zrozumieć.

W pracy cały czas przypomniałam sobie tamten poranek półtora miesiąca temu, kiedy zostawiłam swój pamiętnik na ławce w parku. Pewnie, warto było po niego wrócić, lecz ja postanowiłam zostawić tam swoją historię, leżącą samotnie w cieniu drzew. Nie chciałam jej więcej dotykać. Za bardzo bolało. Miałam zamiar wyrzucić notatnik do najbliższego śmietnika. I kiedy pisałam pożegnalną frazę, kładąc kres wszystkiemu, co się wydarzyło, zadzwonił Derek. Odpowiedziałam. Jednak ze względu



na szum fontanny nie usłyszałam go, więc odeszłam kilka metrów od ławki.

Był jedynym, który wiedział o moim związku z Mikiem. Wiedział wszystko od początku i do końca. Był świadkiem naszej znajomości i tego, co ją zakończyło. Tylko on wiedział, jak się wtedy czułam.

Zaproponował mi na pewien czas wyjechać z miasta. Wziąć urlop, odpocząć, pobyć sam na sam ze sobą. Jego rodzina miała niewielki budynek dla gości nad jeziorem. Czasami jeździliśmy tam do jego rodziców na Boże Narodzenie. Twierdził, że o projektowaniu wewnątrz mogę pisać z dowolnego miejsca. Ja z kolei zaprzeczałam, mówiłam, że mam za dużo pracy. W końcu oprócz artykułów o designie zaczęłam pisać o innowacyjnych projektach w architekturze. Właściwie wiedziałam, że Mandy, moja szefowa, nie będzie miała nic przeciwko. Nie byłam na urlopie od roku, a ona zawsze promowała regularny wypoczynek i zmianę scenerii. Akurat miesiąc wcześniej z mojej rekomendacji zatrudniono jeszcze jedną dziennikarkę. Mój przyjaciel, Brian, błagał mnie, żebym poszukała wakatu dla jego dziewczyny. Zwykle tego nie robię, ale Anna, nowo przybyła, była pracowita i bardzo odpowiedzialna, i obiecała mnie wspierać w razie potrzeby.

Derek poinformował, że kupił nam bilety. Obiecał, że spędzi ze mną tydzień, a potem wróci do miasta, by przygotować nową wystawę. Zgodziłam się, odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na notatnik, któremu powierzyłam wszystkie swoje sekrety, nadzieje i plany. Któremu powierzyłam siebie, szczerą i prawdziwą. Taką,

której sama wcześniej nie znałam. Bardzo czułą, zakochaną, naiwną i namiętną. Powierzyłam historię, która okazała się utkaną z kłamstw. Mimo to ona dała mi dużo radości i miłości. Spojrzałam na niego i nie chciałam podejść. Niech ta historia się skończy. Niech zostanie w tym parku. Często chodziłam tam rano przed pracą, inspirując się przyjemnym porannym spokojem. Ale po mnie tamtej już nic nie zostało. Teraz miałam tylko czarną dziurę w klatce piersiowej i roztrzaskane złudzenia.

Wówczas nie bałam się, że ktoś zabierze mój notes. To w ogóle nie miało znaczenia. I komu on może być potrzebny? Nawet, jeśli ktoś otworzy go i przeczyta, to kogo interesują cudze historie miłosne? Ale wydaje się, że zainteresowały jego, właściciela notatnika. Wydawało mi się to dziwne i niezrozumiałe. Ciągłe wracałam do niego myślami. W środku narastało podniecenie pomieszane z gniewem. Dlaczego wziął go i przeczytał?

Kiedy wróciłam do domu, natychmiast otworzyłam jego pamiętnik. Zaczął go pisać pod koniec maja. Notował daty na marginesach i robił wpisy prawie codziennie przez półtora miesiąca. Zaczęłam czytać.

*Znalazłem jej notatnik i wszystko się zmieniło. Nie wiem, jak długo to potrwa. Nie wiem, jak i kiedy to się skończy, ale to nie ma znaczenia. Po prostu chcę to ocalić. Chcę pamiętać, jak zakochałem się w kobiecie, której nigdy nie widziałem.*

Przerażona zamknęłam notes i odrzuciłam go na bok. Co to wszystko znaczyło? Zakochał się? Co za szaleństwo? On mnie nie

zna! Nie warto było dalej czytać dziwnych cudzych rewelacji. Nalałam sobie kieliszek czerwonego wina i wypilałam go jednym haustem. Trzeba jak najszybciej odłożyć notatnik na ławkę w parku i zapomnieć o tym wszystkim. Jednak jakaś część mnie twierdziła, że skoro o mnie pisał, to mam prawo to przeczytać.

*Chcę zapamiętać jej słowa, czule i namiętne, nieważne, że nie są skierowane do mnie. Liczy się tylko to, że znów czuję, że żyję. Moje serce bije, płonie, znowu płonie. Tak dawno nie czułem czegoś takiego! Jakże brakowało mi miłości!*

Nie wierzyłam w ani jedno słowo. Tak nie mogło być. Nieznajomy mężczyzna znalazł mój pamiętnik, przeczytał go i niby się zakochał. Twierdził, że mój notatnik ożywił go i napełnił miłością tak silną, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Nie, to nie mogło być prawdą. Czymkolwiek, tylko nie prawdą.

On pisał, że chciałby być na miejscu tego mężczyzny. Najwyraźniej wtedy nie doczytał jeszcze mojego pamiętnika, inaczej nigdy nie zapragnąłby być tym, o którym pisze się z takim zapalem i słodkim niepokojem. Tym, który dotyka moich włosów, całuje moje usta i ramiona, przytula mnie.

To już było za dużo! Zamknęłam notatnik, wzięłam prysznic i położyłam się do łóżka.

Śniłam o nim całą noc. Oczywiście, nie wiedziałam, jak on wyglądał, ale we śnie to nie miało znaczenia. Po prostu wiedziałam, że to on, ten mężczyzna, który znalazł mój notatnik i

go przeczytał. Siedział naprzeciwko mnie ze swoim notatnikiem w rękach, a ja pytałam go, dlaczego to wszystko napisał. Odpowiedział: „Ponieważ to prawda i nie mogę jej ukryć”. A potem wstał, podszedł do mnie i pocałował. Długo i bardzo delikatnie. I tam, we śnie, to mi się spodobało.

Obudziłam się zdezorientowana. Upiorny sen. Dziki i bezsensowny. Nie wiedziałam, co zrobić z jego notatnikiem. Najwyraźniej powinnam się go po prostu pozbyć jak obsesji, jednakże zostawiłam go.

W dzień miałam wywiad z właścicielem cukierni, która została otworzona w opuszczonej latarni morskiej dwieście kilometrów od miasta. Następnie odwiedziłam hotel kapsułowy, zbudowany na statku, który wiele lat temu osiadł na mieliźnie. Jego właściciel promieniował nieokiełznaną radością, opowiadając o urzeczywistnieniu dawnego dziwnego marzenia. To było fascynujące, bardzo niezwykle i niesamowite. Ale nagle złapałam się na myśli, że chcę szybciej wrócić do domu, do notatnika.

Wieczorem od razu usiadłam do czytania.

Jego notatnik wzbudzał we mnie bardzo dziwne uczucia. Mieszane i niejasne. W rzeczywistości w ogóle nie rozumiałam, co czuć. Pogubiłam się. Co można czuć, wiedząc, że ktoś przeczytał o tym, co tajne i skryte, a potem zaczął o tym pisać? Gniew, zaskoczenie, wstyd, ciekawość. Czułam to wszystko. Po kolei i w tym samym czasie. A jeszcze niepokój, podekscytowanie i zażenowanie.

A kiedy dotarłam do miejsca, w którym on postanowił znaleźć Dereka, a potem Mike'a, znów się przestraszyłam. Czy to nie szalone? Dlaczego? Po co? Pisał, że martwił się o mnie, niepokoił się. Chciał wiedzieć, jak się czuję i czy wszystko w porządku. Czy to mogła być prawda? Ciągle powtarzałam, że mnie nie zna. Ale, do licha, znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny! Nawet Derekowi nie powierzałam wszystkich moich sekretów. A on przeczytał mój pamiętnik, więc wiedział o mnie wszystko, absolutnie wszystko. Znał całą prawdę, znał prawdziwą mnie. Taką, jaką znałam siebie tylko ja. On wiedział, *co* czuję i *czego* chcę. Czyż to nie jest najważniejsza wiedza o innym – jego uczucia, marzenia i fantazje, jego pragnienia, łzy i smutki. A on to wiedział. Nie znał jedynie mego imienia, ale Mike się wygadał.

I w taki oto dziwny sposób historia, o której chciałam zapomnieć, zostawiając na ławce w parku, znów wróciła do mnie. Tylko teraz w jego notatniku. To niepokoiło. Przez półtora miesiąca próbowałam uzdrowić swoje serce, a teraz ponownie zanurzałam się w tę historię, tylko teraz poprzez jego słowa. Czasem czułe i gorące, zupełnie niezrozumiałe i irracjonalne dla mnie. I ja wracałam do tamtego wieczoru. Do przytulnej włoskiej restauracji, gdzie Mike i ja od czasu do czasu jedliśmy kolację. My z Derekiem właśnie mieliśmy złożyć zamówienie, kiedy go zobaczyłam. Z inną kobietą. Trzymał ją za rękę, patrzył delikatnie i przenikliwie w jej oczy. Tak, jak na mnie patrzył. Uśmiechała się radośnie w odpowiedzi i była w ciąży. Wydawali się nieskończenie szczęśliwi i bardzo zakochani.

Nagle zauważył mnie i zmienił się na twarzy. Nie mogąc na to patrzeć, wstałam i wyszłam. Derek pobiegł za mną. Nie mogłam powstrzymać się od płaczu stojąc przy wejściu do restauracji. Czułam się nieszczęśliwa, obrzydliwa i ohydna. Bolało tak bardzo, jakby moje serce zostało wyrwane z klatki piersiowej gorącymi szczypcami, podczas gdy patrzono mi prosto w oczy.

A później tego wieczoru Mike przyszedł do mnie. Pukał do drzwi, prosił, by z nim porozmawiać, namawiał, aby go wysłuchać, obiecał wszystko wyjaśnić. Ale nie otworzyłam. Po prostu nie chciałam nic słyszeć. Nie chciałam nic wiedzieć. Wyłączyłam telefon, usunęłam konta na portalach społecznościowych. Nie potrzebowałam szczegółów. Nie potrzebowałam wyjaśnień. Co nie jest tutaj jasne? Zawsze miał inną kobietę. Dowiedziałam się prawdy o Mike'u z pamiętnika. Chyba jednak domyślałam się i nie chciałam się przyznać sama sobie. Odrzuciłam wszelkie wątpliwości i trudne myśli. Po tygodniu zostawiłam swój notatnik w parku i pojechałam do domu nad jeziorem, mając nadzieję, że zostawię wszystko za sobą.

A teraz czytałam jego pamiętnik i wydawało mi się, że przeżywam wszystko od nowa. Tak bez potępienia i pogardy do siebie za swoją otwartość i słabość. Nie chciałam już uciekać i ukrywać się. Już nie bałam się prawdy. Teraz mogłam spojrzeć jej w oczy. Mogłam sobie wybaczyć nadmierną łatwowierność i naiwność, zakochanie i płomienną namiętność. Nie bałam się już, że nie będę mogła pokochać, że moje serce zamknie się na wszystkie zamki i rygle, jak to było wcześniej, gdy bywało

zranione. Nie, teraz wiedziałam, że poradzę sobie. Że nie muszę się zamykać. Że mogę pozostać żywa i wrażliwa, a moje serce może być czułe, namiętne i kochające.

Nieznajomy na kartach swego notatnika dawał mi ciepło i wsparcie. Napisał, że chce uspokoić moje serce, uchronić od trosk i niepokojów, pocieszyć. I żeby moje palce znów pisały o miłości. Przez chwilę nawet w to uwierzyłam.

Chciałam być na niego zła, bo czytał mój notatnik, ale czyż ja nie zrobiłam tego samego? Choćby nawet on był pierwszy, ale czy to miało znaczenie? Ja również dotykałam jego intymnych wersów, nieprzeznaczonych dla moich oczu, jego tajemnych wyznań, jego ukrytych uczuć, jego serca, szeroko otwartego.

Każdej nocy zasypiałam z ciekawością. Co dalej? Na kartach jego notatnika i w moim życiu?

W ciągu dnia pisałam artykuły, spotykałam się z autorami nietypowych projektów architektonicznych, szaleńcami zakochanymi w swojej pracy, wynalazcami i marzycielami, czasem jadłam obiad z Derekiem, a po pracy śpieszyłam do notesu, do zawartych tam wymysłów i marzeń.

Pewnego wieczoru nagle poczułam, że moja historia nie ma już władzy nade mną. Ona naprawdę się skończyła. Przeżyłam ją ponownie i odpuściłam. A teraz w jego notatniku widziałam już nie swoją historię, ale jego. Czytałam jego notatnik jak książkę, jako cudze tajemne przeszywające wyznanie, które przypadkowo wpadło mi w ręce. To wyznanie należało potraktować bardzo ostrożnie, a ja łąpczywie zanurzałam się w obcy świat

nieznajomego mężczyzny. A im więcej się o nim dowiadywałam, tym bardziej mnie to pociągało, fascynowało i ekscytowało. Owładnęło mną. Tak więc, zaskoczenie zastąpiła czułość, ciekawość – pożądanie, a zakłopotanie – ciepło. Nagle przyłapałam się na tym, że czuję się dziwnie. Nagle zapragnęłam, żeby wszystko, co napisał, było prawdą. W końcu jego słowa powodowały szczęście i gorąc, które jakby mnie dotykały, obejmowały przez strony, pieściły i delikatnie otulały.

Rzecz jasna, to wszystko było naiwne i głupie, ale czy może być coś sensownego w czytaniu czyjegoś pamiętnika? Czy mogłam szukać logiki w moich działaniach lub uczuciach? One się skończyły w chwili, gdy zajrzałam do jego notatnika, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Od czasu do czasu kusiło mnie, żeby znaleźć go na portalach społecznościowych, żeby dowiedzieć się, jak wygląda, dowiedzieć się o nim więcej. Ale potem uznałam, że to niesprawiedliwe. Jeśli on nie wiedział tego o mnie, to i ja nie mogłam. A czy nie wiedziałem najważniejszego? Szczerego i prawdziwego. Tego, co było zapisane w jego pamiętniku. Jego myśli, pragnień, uczuć i marzeń. Wiedziałam też, że jest doradcą podatkowym. I nawet na początku w to nie uwierzyłam. Pisał tak zmysłowo, melodyjnie i wzruszająco, jakby robił to przez całe życie. Urzekął swoimi słowami, wabił i uwodził.

Jednakże bliżej końca jego linijki napelniły się zagubieniem, ledwo wyczuwalną tęsknotą, a nawet goryczą. Delikatnie dotykałam kartek, jakby dotykając jego palców, które z



nieokielznaną czułością pisały o miłości. Ostatnie kartki zostały zapisane wersjami naszego spotkania. On chciał mnie odnaleźć, a kiedy dowiedział się, że wyjechałam, zaczął wymyślać różne wersje tego, jak może się odbyć nasze spotkanie. Aż dwadzieścia cztery historie. Romantyczne, piękne, optymistyczne lub nie bardzo. W niektórych spotykał mnie na ulicach i w parkach, w kawiarniach, galeriach i barach. Przedstawiał mi się lub nie miał na to odwagi. Zagadywał lub przechodził obok. Nie bardzo mi się one podobały, bo nie mogły się spełnić. Były trochę mało realistyczne i niewykonalne, bo on nawet nie wiedział, jak wyglądam. Myślał, że serce mu podpowie, jak tylko mnie zobaczy, ale moje mi mówiło, że czasami serce potrzebuje pomocy.

Przewróciłam ostatnią stronę i zamarłam nad opcją 24:

*Nigdy żeśmy się nie spotkali. Nie znalazłem Natalie.*

Moje serce zatrzepotało. Ta opcja najbardziej mi się nie podobała, chociaż była najbardziej prawdopodobna i realistyczna. Ale nie chciałam, żeby się spełniła. Chciałam, żeby ten mężczyzna wiedział: są inne opcje, których on po prostu nie odgadł. Obiecałam nie patrzeć na jego zdjęcie, a tylko dowiedzieć się, gdzie go znaleźć.

Wzięłam jego notatnik i na ostatniej stronie pod opcją 24 napisałam:

*Opcja 25. Spotkaliśmy się. Ona mnie znalazła.*

## Prawda czy kłamstwo?

*Tłumaczenie: Stanisław Ulaszek*

– Czy zauważył Pan, że ludzie prawie nigdy nie mówią prawdy? – spojrzała na ekran swojego telefonu, nerwowo odłożyła go, wypła łyk kawy i ciężko westchnęła.

– O czym Pani mówi? – zapytał zaskoczony nagłym wtargnięciem nieznajomej do jego sennego porannego świata, w którym spoglądając przez okno, powoli jadł kanapkę.

– O tym, że wszyscy kłamią. Ciągłe kłamią – przygarbiła się. – Nie znoszę tego.

– Rozumiem – skinął głową, kontynuując jedzenie – Kłamstwo to bardzo nieprzyjemne zjawisko.

– Nieprzyjemne? Wręcz wstrętne!

– A Pani zawsze mówi prawdę? – spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Staram się.

– I jak? – To niezła heca, powiem Panu. Ludzie często mnie unikają. Ale wie Pan, to lepsze niż kłamać i słuchać wiecznych kłamstw. Nikt nawet uczciwie nie powie, że masz w zębach listek pietruszki. I będą się uśmiechać i patrzeć, jakby nic się nie stało. A potem idziesz do łazienki i prawie mdlejesz ze wstydu. Ludzie, bądźcież poważni! Przynajmniej podpowiedzcie! Tak, poczuje się

trochę nieswojo, ale tylko przez kilka minut. To lepsze, niż gdybym pod koniec wieczoru dowiedziała się, że przez cały ten czas byłam kompletną idiotką z pietruszką w zębach.

– Czy ja mam pietruszkę w zębach? – zapytał zaskoczony. – Czy to sposób poinformowania o tym – zakrył usta dłonią. – Ale, zdaje mi się, że jej nie jadłem...

– Przy czym tu Pan? – zdziwiła się.

– No nie wiem, zaczęła Pani opowiadać mi o pietruszce, więc zdecydowałem...

Roześmiała się.

– Przepraszam, mówiłam zupełnie o czymś innym. O wiecznym kłamstwie. I nie miałam na myśli Pana, przecież Pana nie znam. Chociaż – zmierzyła go surowym spojrzeniem – jestem pewna, że Pan też ciągle kłamie.

Uśmiechnął się, patrząc na nią uważnie.

– Skąd taka pewność?

– No cóż, wszyscy kłamią, prawdopodobnie Pan też.

– Tak, kłamię – powiedział nagle, niespodziewanie dla samego siebie. – Cały czas kłamię. Oto jedyna prawda mojego życia: „cały czas kłamię”. Powiem więcej, moje śniadanie w tej kawiarni to kompletne kłamstwo. I to nie pierwszy raz w tym miesiącu. I nawet nie po raz drugi. W tej chwili muszę przecież być w biurze. A dla klientów właśnie tam jestem tylko, że jestem bardzo zajęty

dokumentami. Dla mojego szefa – stoję w korku, a dla mojego brata, który chce pożyczyć pieniądze, nie mam nawet odrobiny pieniędzy na śniadanie w kawiarni. Dla kobiety, która prosiła o zjedzenie z nią śniadania, nie jem śniadania. W ogóle nie jem śniadania. Nie uznaję śniadania jako takiego.

– Bardzo interesujące! – powiedziała z zadowoleniem. – I jak się Pan z tym ma? Ulżyło?

– A wie Pani co, że tak! Nawet bardzo.

– I co, jest Pan gotów zadzwonić do klienta, szefa, brata i tej kobiety?

Potrząsnął głową.

– Cóż, nie tak bardzo. Ta kobieta, szczerze mówiąc, już dwa tygodnie temu przyłapała mnie na śniadaniu i od razu wszystko zrozumiała. Wstyd, ale jest tak, jak jest. Ale teraz z Panią – uśmiechnął się – oczywiście, Pani nie uwierzy, bo wie, że ciągle kłamię, z wielką przyjemnością zjadłbym śniadanie. Zaryzykowałbym nawet wzięcie czegoś z pietruszką. Przecież Pani by mi powiedziała, gdyby ona mi utknęła w zębach.

– Niech Pan nawet w to nie wątpi, ale ja nie zgodziłabym się – odpowiedziała stanowczo.

– Tak? Dlaczego?

– Cóż, po pierwsze, nie jest Pan do końca w moim guście – spojrzała na niego badawczo. – To znaczy, oczywiście, podobają

mi się Pana szare oczy i blond włosy, trochę falujące, prawie do ramion. Takie miał chłopak, w którym byłam zakochana dawno temu. Co tu kryć, to mi się podoba, ale Pana skłonność do kłamstwa absolutnie mi się nie podoba.

– No cóż, dziękuję za szczerść, ale wie Pani, wszystkiego można się nauczyć, jak sądzę, mówić prawdę też. Przecież Pani jakoś się nauczyła.

– Całe życie wołałam prawdę. Chociaż często za nią obrywałam. Nie umiałam kłamać. Dzieci kradły ze sklepu czekoladki, a ja od razu mówiłam o tym sprzedawcy.

– To Pani jest kablarą?

– Serio? Nic dziwnego, że ta kobieta tak szybko Pana rozgryzła. Żadnych zasad! Sądzę, że niedługo Pana klienci nie będą chcieli mieć z Panem nic wspólnego, i szef Pana zwolni, i brat przestanie Panu ufać.

Prawie zakrztusił się kanapką.

– Dlaczego Pani tak się do mnie odnosi? Skąd w ogóle takie okrutne nastawienie?

– A stąd, że ludzie nie mogą być prawdziwi. Albo nie chcą.

– Cóż, wszyscy oprócz Pani – uśmiechnął się.

– Zazwyczaj tak – odparła z powagą. – Szczerze mówiąc, myślę, że Dalajlama również nieźle sobie radzi. Chociaż, może ktoś jeszcze, nie wiem.

Znów się uśmiechnął.

– Prawie nigdy nie kłamałam, wie Pan. Nawet w dzieciństwie. Zła ocena to znaczy, że zła ocena. Tydzień bez telewizji i gier komputerowych jako kara – trudno, niech tak będzie. Nie chcę iść do kina z chłopakiem, więc mówię, nie wymyślam, że jesteśmy przyjaciółmi, że nie chodzi o niego i tak dalej...

– Ale rozumie Pani, że czasem kłamstwo to pewien mechanizm samozachowawczy?

– Przed czym? – zdziwiła się.

– Przed kłopotami.

– A mnie się wydaje, że kłamstwo akurat je tworzy. Kłamstwo tylko przykrywa poprzednie kłamstwo, robiąc tę kulę nieskończonej nieprawdy coraz większą.

– No, czasami tak się dzieje, ale częściej kłamstwo pomaga wyjść z niezbyt przyjemnej sytuacji.

– I bardzo Panu to pomogło z tą kobietą?

– Och, ale Pani ma długi język!

– Wcale nie. Po prostu nie podoba mi się sposób, w jaki uszlachetnia Pan kłamstwo, Pan o nim mówi prawie z szacunkiem.

– Och, gdybym tylko mógł powiedzieć wszystko, o czym myślę, Pani by się przeraziła.

– Proszę bardzo – w jej zielonych oczach błysnęło chytre światełko. – Niech Pan spróbuje! Proszę poćwiczyć na mnie. Zobaczy Pan, to proste.

–Do diabła, ale Pani daje ognia! – wykrzyknął.

– Niech i Pan daje!

– No dobrze – powiedział, uważnie zerkając na nią. – Pani jest męczyduszą. Nie daje Pani człowiekowi spokojne zjeść śniadania, dojeść kanapki i dopić kawy.

– Tak, dalej – uśmiechnęła się.

– Jestem pewien, że jest Pani z siebie bardzo dumna, ze swojej prawdomówności i otwartości. Chociaż nie będę kłamał, nie wierzę Pani. Po prostu jestem przekonany, że Pani też często kłamie. Niech nawet przez przypadek, jak każdy z nas. Mówi Pani, że nie jestem w Pani guście, ale w tej całej kawiarni Pani usiadła właśnie obok mnie, chociaż proszę spojrzeć – skinął głową w bok – w kącie jest wolny stolik.

– A ja nie zauważyłam – jej policzki zarumieniły się. – Prawda...

– Tak, oczywiście – mrugnął.

– Naprawdę nie widziałam. Może ktoś tam siedział, kiedy przyszłam.

– Nie, nikt nie siedział – nadal patrzył na nią z ciekawością. – Nawet się zdziwiłem, dlaczego ta kobieta siada obok mnie, kiedy w kącie jest wolny stolik.

–Przepraszam, nie zauważyłam go...

Spojrzał na nią triumfalnie.

– Więc może nieświadomie pociągnęło Panią do mężczyzny o kolorze oczu i włosach, jak u tego, którego kiedyś Pani kochała? Więc, może jestem całkowicie w Pani guście? Co Pani powie, miłośniczko prawdy?

– Tak, nie zaprzeczam, – odpowiedziała, odwracając wzrok na chwilę i biorąc łyk kawy. – Lubię szare oczy i blond włosy u mężczyzn, ale strasznej chęci do kłamstwa – nie – pokręciła głową. – Za nic w świecie. To mnie odpycha.

–Tak? A jednocześnie siedzi Pani obok mnie i patrzy mi prosto w oczy. Ale to nieważne, idźmy dalej. Jest Pani za prawdą, bo myśli Pani, że tak jest łatwiej. Ale moim zdaniem ostentacyjna zadufana prawda jest taką samą reakcją obronną jak kłamstwo. Po prostu druga strona tej samej monety, rozumie Pani? Czasami prawda jest równie obrzydliwa jak kłamstwo. I wydaje mi się, że tak naprawdę trzeba umieć między nimi manewrować. Wyczuwać kiedy i na co nadchodzi czas. Czy gdybym powiedział tej kobiecie, że nie chcę z nią jeść śniadania, bo nie bardzo mi się spodobała, byłoby lepiej?



– Myślę, że tak.

– To by ją zabolalo.

– I tak ją zabolalo, kiedy dowiedziala sie, ze Pan klamie.

– Tak, ale nie tak bardzo, jak wóczas, gdybym powiedzial jej prawde, ze po prostu wypilem za duzo i zamiast wrócic do domu, pojechal do niej.

– Och, jest Pan okropny – pokręcila glowa.

– Widzi Pani, tak jest prawda, a Pani mówi...

– Nie, nie chodzi o to, ze to prawda, ale o to, ze jest Pan okropny. Pije bez umiaru, spi z pierwsza lepsza, oklamuje wszystkich – skrzywila sie. – Nie, wcale Pan nie jest w moim guście.

– Tak, ale wie Pani, ze nie jestem taki jeden i jestem gotow powiedziec Pani prawde.

– To wcale nie przynosi Panu chluby. Jest Pan bez zasad, niewybredny... Tak, jest Pan okropny!

– Nie chce Pani rozczarowywac, ale przynajmniej nie mam pietruszki w zebach – usmiechnal sie.

– A ja mam? – zapytala zdenerwowana, zakrywajac usta dlonia.

Roześmiał się.

– Nie! Nie, powiedziałbym... prawdopodobnie... – spojrzał na nią uważnie. – Ma Pani cudowny uśmiech i zęby są w porządku, ale powiem Pani szczerze, raczej nie chciałbym związku z Panią.

– Cóż – odpowiedziała – dziękuję za prawdę, o którą nie prosiłam.

– No, jest jak jest. Jest Pani bardzo kategoryczna i emocjonalna. Jest Pani jak meteoryt pędzący z kosmosu na Ziemię. Zmiażdży Pani wszystko w pobliżu. Natychmiast...

– Tak nie jest.

– Naprawdę? Jestem dla Pani zupełnie obcy, Pani w ogóle mnie nie zna, ale w piętnaście minut zrobiła Pani ze mnie potwora. Nic Pani nie wie o sytuacji z tą kobietą, ale kilka razy nazwała mnie okropnym. A między nami nawet nie zaszło. Zasnąłem na jej kanapie, zanim dotarłem do sypialni. Lecz nie o to chodzi. Uważa Pani, że Pani prawdomówność rozgrzesza Panią i pozwala mówić wszystko, co Pani myśli, mówić obrzydliwe rzeczy i prawdę prosto w oczy.

Zamarła na chwilę, zacisnąwszy usta. Spojrzał na nią uważnie.

– Tak, ma Pan rację – powiedziała cicho – zawsze wydawało mi się, że prawda daje przywileje, przewagę, zielone światło na wszystko.

– Tak nie jest. Wie Pani, nie powiedziec o pietruszce w zębach to jedno, a nie powiedziec bratu o pieniądzach, wiedząc, że i tak

wyda je na gry karciane, to drugie. Nie powiedziec komuś, że jest ci obojętny, to trzecie. Prawda nie daje prawa na obrażanie ludzi. Wytykać ich wady i wywyższać się samemu, poniżając innych.

– Ma Pan rację – powtórzyła cicho znowu.

– Wiem, że ludzie kłamią. Jestem jednym z nich. Czasami mogę zranić swoimi kłamstwami, czasami mogę zabić, a czasami mogę uratować. Różnie się dzieje. I szczerze mówiąc cieszę się, że okłamałem dziesiątki osób na temat tego śniadania, bo teraz cieszę się kawą, pyszną kanapką i dość szczerą rozmową z Panią. Nie zdarzyło mi się to od dawna.

Uśmiechnęła się.

– Mówię prawdę – odwzajemnił uśmiech.

– No cóż, to i ja powiem.

– Tak? – zdziwił się.

– Zauważyłam Pana, kiedy zamawiałam kawę i pomyślałam, że Pan jest tym chłopakiem, którego kiedyś kochałam. Byłam nawet zdziwiona, że nadal nosi fryzurę, która kiedyś sprawiła, że straciłam rozum. „No nieźle – pomyślałam –u niektórych nic się nie zmienia”. Ale póki czekałam na moje zamówienie, udało mi się Pana uważnie obejrzeć i zdałam sobie sprawę, że się pomyliłam. Ale skoro już wypatrzyłam to miejsce, po prostu usiadłam obok Pana. W tym samym czasie otrzymałam wiadomość od swojej przyjaciółki Michelle. Dziś wieczorem

miałymy się napić po kieliszku wina, lecz ona napisała, że niestety nie może. Praca. Okazało się – zawahała się – że darzymy sympatią jednego mężczyznę. To się czasem zdarza.

– On też ma blond włosy i szare oczy?

– Nie, wcale – uśmiechnęła się.

– On też jest kłamcą?

– O, tak! On, wie Pan, rzekomo nie mógł się zdecydować. Spotkaliśmy się na przyjęciu u naszych wspólnych przyjaciół, a on dawał znaki uwagi zarówno mnie, jak i Michelle. Ale wczoraj napisał dość szczerą wiadomość, że chyba jednak nie jest nam po drodze. I zapytał, czy nie miałabym nic przeciwko, gdyby on zaprosił dziś Michelle na randkę.

– Całkiem szczerze z jego strony.

– Jasne! Nie wyobrażam sobie, ile go to kosztowało. Ale szczerze powiedziawszy oczekiwałam takiej samej uczciwości od mojej najlepszej przyjaciółki.

– Bardzo mi przykro, że tak się stało.

– Mi również.

Spojrzał na zegarek i potem na nią ze zdenerwowaniem.

– O kurczę! Przepraszam! Wygląda na to, że śniadanie się przeciągnęło. Muszę bieć. Chyba że, rzecz jasna, jak Pani powiedziała, nie zostałem jeszcze zwolniony. Co by Pani powiedziała na wspólną kolację?

– Raczej się nie uda – odparła, wzruszając ramionami. – Jestem dziś zajęta. Mam spotkanie z przyjaciółką. Mamy się napić po kieliszku wina.

Skinął głową zdezorientowany, ale zauważył jej figlarne spojrzenie i roześmiał się.

– Kurczę! I prawie mnie Pani przyłapała! Uwierzyłem, że jest Pani kłamczuchą, której nigdy wcześniej nie spotkałem. Więc co Pani na to, by kontynuować naszą rozmowę o prawdzie?

– Nawet nie wiem... Takich rzeczy Pan o mnie naopowiadał!

– Ale nie powiedziałem najważniejszej rzeczy. Jest Pani bardzo atrakcyjna. W stu procentach w moim guście. Nawet nie może Pani sobie wyobrazić, jak chciałbym kiedyś zjeść z Panią śniadanie – uśmiechnął się z zadowoleniem. – Och, nie sądziłem, że prawda może być aż tak przyjemna.

– Ale z Pana kłamczuch! – uśmiechnęła się.

– No, a poważnie?

– Możemy spróbować.

Podał jej serwetkę, ona wyjęła z torebki długopis, napisała swój numer i podpisała „Jane”.

– Czekam z niecierpliwością!

– Mam nadzieję, że Pan jak zawsze kłamie.

– Proszę nawet nie mieć nadziei.

– Niech Pan zaczeka – powiedziała szybko.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Coś jeszcze... – uśmiechnęła się lekko.

– Przed spotkaniem z klientami koniecznie Pan musi spojrzeć w lustro... Ma Pan w zębach pietruszkę.

## Cudze listy

*Tłumaczenie z ukraińskiego: Mariya Bracka*

Pomyliłem się tego ranka. Okropnie się pomyliłem. Na swoją obronę powiem, że nie wyspałem się i nawet nie zdążyłem napić się kawy. Ponadto źle spałem w nocy. Kręciłem się i kręciłem. Śniłem kompletny bezsens. O błękitnych wielorybach, które zgubiły się w wodach Atlantyku, odłączyły się od stada i po kilku tygodniach odnalazły swoją rodzinę po pewnych sygnałach i znakach. Po czymś takim łatwo pomylić skrzynki pocztowe 23 i 25. Tym bardziej, że czekałem na list. Bardzo czekałem. A moja ręka, która wciąż była zaspana i nie do końca świadoma własnych działań, sięgnęła do skrzynki nr 25 i po prostu ją otworzyła. W tym samym momencie musiałem się domyśleć, że to nie jest moja skrzynka, bo ja swoją zamykam. Mówię, bardzo czekałem na list i nie chciałem, żeby się zgubił.

Ale się nie domyśliłem. Cała wina leży po stronie tego snu o wielorybach, niech go diabli wezmą. Automatycznie sięgnąłem po białą kartkę. Tak, nawet bez koperty. Pewnie to miałyby mnie zaniepokoić, ale przyznaję, że bez porannej kawy nie jestem zbyt domyślny. Tak bardzo czekałem na list, że z nadzieją w sercu chwyciłem dosłownie każdą kartkę białego papieru.

Rozłożyłem złożony na pół arkusz i przeczytałem:

*„Katarino, Kocham Cię”.*

Wydaje mi się, że oddałbym wszystko, aby w tym momencie zostać Katariną. Tak bardzo czekałem na list, że byłem gotów zostać kimkolwiek, tylko po to, żeby dostać takie wyznanie. W moim, oczywiście, nie warto było liczyć na wyznanie, ale dwóch lub trzech linijek wdzięczności za wspólnie spędzoną noc, życzeń miłego dnia lub czegoś innego można było się spodziewać.

Prawda jest taka, że ja sam wymyśliłem, że powinienem otrzymać list. Nikt mi tego nie obiecał. Ale wydało mi się, że ona mnie polubiła. Kobieta, z którą spędziłem cudowną noc pięć dni temu.

Spotkaliśmy się na seansie nocnym w kinie. Siedzieliśmy obok siebie, dotykając się łokciami. I piętnaście minut po rozpoczęciu filmu zgodziliśmy się, że nie jesteśmy gotowi marnować kolejnej godziny naszego życia na coś niezrozumiałego. Więc poszliśmy do mojego domu. Nie traciliśmy tam czasu na próżno. Miałem butelkę doskonałego czerwonego wina. No i siebie samego, oczywiście. Pewnie, nie jestem najlepszy na świecie, ale jako rozmówca jestem dość znośny, nie jestem pozbawiony poczucia humoru i, jak mówią, dobrze całuję. Przynajmniej tak ona powiedziała, wychodząc rano z mojego mieszkania. Niestety, jestem palantem (nie potrafię być perfekcyjny we wszystkim),



więc nie przyszło mi do głowy, żeby wziąć jej numer telefonu, imię na portalach społecznościowych albo chociaż zapytać o nazwisko. O adresie mailowym nawet nie wspomnę. Cóż, byłoby to całkowicie niemądre, a nawet najprawdopodobniej niewłaściwe. Wszystko, co wiedziałem, to jej imię – Diana. I że czasami chodzi do kina na nocne seanse.

Ona, w przeciwieństwie do mnie, coś o mnie wiedziała. Na przykład mój adres. Przecież go wskazała, zamawiając taksówkę. Chyba mogła go zapamiętać. Dlatego właśnie czekałem na list.

Powiem tak, że gdybyśmy spędzili noc u niej, na pewno bym do niej napisał. Podziękowałbym za wino, pocałunki, no i wszystko inne. Chociaż nie wiem, czy wymieniłbym wszystko inne w liście, może zostawiłbym małą tajemnicę i trochę bym namącił, żeby ona się zastanowiła, dlaczego dziękuję tylko za pocałunki i wino. A na koniec napisałbym coś w stylu „...nie mogę się doczekać spotkania z Tobą”. I zostawiłbym swój numer telefonu, adres i e-mail, imię w mediach społecznościowych i miejsce pracy – wszystko, żeby ona nie miała szansy mnie nie znaleźć. Gdyby, oczywiście, chciała.

Ale najwyraźniej całkiem wystarczyło jej wina, pocałunków i wszystkiego innego, bo listu w mojej skrzynce wciąż nie było. Za to już trzykrotnie przeczytałem cudze wyznanie „Katarino,

kocham Cię” i odłożyłem je z powrotem do skrzynki numer 25. „Jesteś szczęściarą, Katarino” – pomyślałem i poszedłem do pracy.

Następnego ranka zająłem do mojej skrzynki nr 23 i rzecz jasna nic tam nie było. „Diano – szepnąłem – jeśli chcesz do mnie napisać, to teraz jest czas, pókim nie zwariował”. Naprawdę ją polubiłem.

I wtedy moja ręka, jakby nigdy nic, wsunęła się do skrzynki nr 25. O czym właśnie myślałem? Szczerze mówiąc, o niczym. Byłem po prostu ciekawy, czy będzie tam coś jeszcze.

I ku mojej wielkiej radości tak było. Tam leżała biała kartka znowu bez koperty. Szybko ją wyjąłem i przeczytałem:

*„Kto to jest?”*

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Jak to: „Kto to jest?”. Katarino, co się z tobą dzieje? Wyznaje ci ktoś miłość, a ty nie wiesz, kto to jest? Och, Katarino, ale z ciebie ziółko!

Po pracy postanowiłem znów zajrzeć do skrzynki, rzecz jasna, nie do swojej, w mojej mogłem się spodziewać tylko ziejącej pustki i gorzkiego rozczarowania. Od razu sięgnąłem do skrzynki nr 25. Z zachwytu prawie klaskałem w dłonie. Nowy list.

*„Jak to: kto to jest? Masz jakieś opcje?”*

No właśnie! Autor listu solidaryzował się ze mną i też bardzo się zdziwił. Cóż, wkrótce się dowiemy. Przynajmniej miałem nadzieję, że się dowiem. Kiedy w moim życiu nic się nie dzieje, może choć nieznanego zakochanego w Katarinie czeka szczęście.

Rano w pierwszej kolejności zszedłem do skrzynek pocztowych. Nie chciałem przegapić odpowiedzi i zostałem nagrodzony białą kartką:

*„Dlaczego uznałeś, że tylko jeden może mnie kochać?”*

Oto odpowiedź! Cóż, Katarino, nieźle! W tym momencie przypomniałem sobie o kawie. Cholera, chyba zaraz znowu zaleje mi kuchenkę! Zapach przypalonej kawy potwierdził moje przypuszczenia. Odłożyłem list do skrzynki i wszedłem do siebie.

Nie mogłem się doczekać wieczoru, aby zobaczyć odpowiedź. Cóż, byli warci siebie nawzajem.

*„Wiele osób może Cię kochać, ponieważ jesteś piękna. Miałem tylko nadzieję, że twoje serce jest oddane tylko jednemu. I ten jeden to ja”.*

Ta powieść w listach zaczynała mi się coraz bardziej podobać.

Rano po wcześniejszym zdjęciu kawy z kuchenki zbiegłem na parter po nową partię listów, ale ku mojemu zdziwieniu i, co tu kryć, wielkiemu rozżaleniu, nic nie znalazłem.

Albo ja wszystko przeoczyłem, i list dotarł wcześniej, albo jeszcze go nie było, więc go przeoczę, gdy będę w pracy. Nie chciałem tego. Zadzwoiłem do mojego szefa i przy okazji mojej najlepszejprzyjaciółki, Janei powiedziałem, że się pochorowałem i będę dzisiaj pracował w domu.

Kilka razy w ciągu dnia schodziłem do skrzynek pocztowych z nadzieją, że list jednak dotrze i dowiem się, jak ma na imię tajemniczy zakochany w Katarinie. Niech ono mi nic nie mówi, ale w moim sercu zagości uczucie skończoności. Przynajmniej ktoś odnajdzie swoją miłość.

Ale listów nie było. Ani wieczorem. Ani następnego poranka. Ani za dwa dni. I ja nie wytrzymałem. Już nawet nie wiem, co mną kierowało, kiedy to robiłem – czy była to ciekawość, czy nuda, czy ucieczka od myśli, że w moim życiu znowu nic się nie dzieje. Więc napisałem swój i umieściłem go wieczorem w skrzynce nr 25:

*„To jak to wszystko się skończyło?”*

Rano wlażłem tam bez żadnych wyrzutów sumienia, że czytam cudzą korespondencję i znalazłem tam list, a nawet dwa. Pierwszy, sądząc z charakteru pisma, od Katariny:

*„Kto to jest?”*

Cóż, ona lubiła zadawać to pytanie.

A drugi najprawdopodobniej od jej adoratora:

*„A kto ty taki jesteś?”*

Najwyraźniej oni nie szukali prostych rozwiązań i nigdy nie udzielali bezpośrednich odpowiedzi. Ja też tak umiem. Wziąłem kartkę z teczki i napisałem:

*„Przypadkowy przechodzień. Chcę tylko wiedzieć, jak to wszystko się skończyło”.*

Oczywiście ryzykowałem, że pozostanę bez odpowiedzi, ale nie miałem pojęcia, co jeszcze wymyślić. I nie chciałem kłamać.

Wieczorem otrzymałem odpowiedź od Katariny:

*„Ale jeszcze nic się nie zaczęło”.*

Wydało mi się, że w tym liście wybrzmiała nuta smutku.  
I drugą, w której smutek został zawoalowany gniewem:

*„Wydaje mi się, że to nie twoja sprawa”.*

Natychmiast wyjąłem kartkę i napisałem:

*„Sprawa, rzecz jasna, nie jest moja, ale bardzo mnie interesuje,  
jak to wszystko się skończy. Mam nadzieję, że miłość zwycięży”.*

Byłem naprawdę bardzo ciekawy. Przystawienie się na los Katariny i jej tajemniczego amanta pomogło mi nie myśleć o pustce własnego życia. I o Dianie, która najwyraźniej zapomniała o mnie, moim winie i moich pocałunkach.

Następnego dnia listów znowu nie było. Tak, musiałem przekroczyć granicę. To było do przewidzenia. A cała wina w mojej nadmiernej ciekawości.

Skrzynka nr 25, zdaje się, teraz będzie pusta dla mnie, podobnie jak i moja 23, do której nie zaglądałem od tygodnia.

Póki o tym myślałem, do skrzynek pocztowych zeszła urocza dziewczyna z długimi brązowymi włosami w ramionach blondyna. Całowali się i śmiali głośno. Obaj mieli po 18 lat i nie więcej. Ona spojrzała na mnie swoimi brązowymi oczami, a na jej twarzy

pojawił się uśmiech. Zatrzymali się na chwilę. A dziewczyna mrugnęła i wrzuciła białą kartkę do skrzynki nr 25.

Poczekalem, aż wyjdą za drzwi i natychmiast rzuciłem się do listu jak drapieźnik na zdobycz.

*„Wszystko dobrze się skończyło. Miłość wygrała. Aleks i ja jesteśmy teraz razem”.*

Rozpłynąłem się w uśmiechu zadowolenia. To tak, jakbym był jednocześnie tą Katariną i tym Aleksem, którzy osiągnęli swoje długo wyczekiwane szczęście i teraz kąpią się w miłości.

Wieczorem wróciłem do domu z butelką czerwonego wina. Cóż, zadowolę się nią. Zrzuciłem płaszcz i usiadłem na kanapie. Szkoda, oczywiście, że przygoda z listami się skończyła, a tajemnica została ujawniona. Ale najważniejsze jest to, że miłość zwyciężyła, a kochankowie się odnaleźli. Cieszyłem się z ich powodu, ale trochę mi było przykro, że teraz nie mam nie tylko życia osobistego, ale także życia osobistego Katariny. „Może pójść do kina na seans wieczorny? Może jest szansa, żeby ją tam znowu spotkać – zastanawiałem się. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Kiedy je otworzyłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W drzwiach stała Diana.

– Cześć – uśmiechnęła się.

– Cześć – odpowiedziałem zagubiony.

– Tydzień temu myślałam o wysłaniu ci listu – powiedziała ze wzruszeniem. – Chciałam ci podziękować za pocałunki i wino, ale nagle pomyślałam, a co jeśli ty nie sprawdzasz swojej skrzynki pocztowej?



## Koniec świata

*Tłumaczenie: Stanisław Ułaszek*

Tamtego dnia koniec świata jednak nie nadszedł. Chociaż uparcie przepowiadały go kolejne starożytne kalendarze szamanów, znalezione i zawzięcie rozszyfrowane przez wróżbitów, a również ponure znaki, narysowane na planetach i gwiazdach, umiejętnie tłumaczone przez astrologów. Do tych uczonych niezwłocznie dołączyli wszelkiego rodzaju kabalarze i jasnowidzący tudzież co poniektórzy religijni fanatycy.

Choć wskazówki zegarów przesunęły się z godziny 00:00 na 00:01, to jednak zapowiadanej gigantycznej eksplozji, która winna była w owym momencie wszystko unicestwić i zarazem stworzyć jednocześnie coś absolutnie nowego, niestety, nie było. Świat nie runął. A ja, prawdę mówiąc, bardzo liczyłem na ten koniec świata. Można powiedzieć, że wiązałem z nim bowiem nadzieje. Czekałem. Nawet z jeszcze większym utęsknieniem niż swego czasu końca lekcji języka francuskiego, na którą przyszedłem zupełnie nieprzygotowany. A *miss* Anabelle, jak gdyby wiedząc o tym, z góry mnie uprzedziła, że na lekcji będę pytany i dodała, że od stopnia, jaki uzyskam, będzie zależała moja ocena roczna. Siedziałem i denerwowałem się, ale zamiast otworzyć podręcznik i spróbować choć trochę się poduczyć, usiłowałem jedynie hipnotyzować wskazówki zegarka. „No dawaj, dawaj! Skończ się już”. Wtedy mi się nie udało. Ale teraz bardzo się tego spodziewałem. Ten koniec świata był mi wręcz niezbędny.

Był to już drugi, zachowany w mojej pamięci, koniec świata zapowiadany przez gwiazdy i wszelakie przepowiednie. Pierwszy został odwołany bez podania jakichkolwiek sensownych wyjaśnień czy przyczyn. Z wyjątkiem jednego, nieprzyzwoicie prymitywnego: „Wybaczcie, pomyliliśmy się”. No cóż, bywa – każdy się może pomylić. A zresztą jeden koniec świata mniej, jeden więcej...

Jednak przyznaję, ostatnim razem cichuteńko błagałem świat, żeby na ten swój koniec jeszcze trochę zaczekał, przebywałem bowiem akurat w najwspanialszym związku miłosnym w swoim życiu. Ale już po pół roku, gdy to się skończyło – i to bez końca świata! – żałowałem, iż nie zginęliśmy jednak oboje pod szczątkami ginącego globu, trwając niewzruszenie w słodkich, namiętnych objęciach. Tym razem o żadnych objęciach – a zwłaszcza słodkich – nie mogłem nawet marzyć, no chyba, że odważyłbym się wejść do nowego kościoła, niedawno wzniesionego naprzeciw mojego domu. Przechodziłem kiedyś obok niego, spojrzałem w okno i zobaczyłem, że w środku wszyscy się obejmowali. Tłum stojących tam ludzi trwał zastygły w bezruchu, przemieniony niejako w jedno gigantyczne objęcie. A może oni tak się właśnie szykowali na przyjście końca świata, kto wie? Ja w każdym razie byłem zdecydowany powitać go w dumnej samotności i z kieliszkiem czerwonego wina.

To wcale nie znaczy, że chciałbym zostać starty z powierzchni ziemi, ale z przyjemnością zacząłbym wszystko od nowa. Wszak moje życie i tak całkiem przypominało koniec świata. Mój własny,

osobisty koniec świata, który nie obchodził nikogo innego na całym świecie.

Wszystko zaczęło się od tego, że straciłem pracę. Widocznie mój szef postanowił nie czekać na apokalipsę i nie chciał składać w ręce jakiejś nieznanej siły tego, co jeszcze mógł spokojnie zrobić sam – kogokolwiek wyrzucić, zwolnić pod pozorem redukcji etatów, czy pozbawić premii. A gdyby poczekał tylko jeden dzień, wszystko by się samo przecież idealnie załatwiło. To jednak nie w jego stylu, on taki nie jest. Szef woli za wszystko sam ponosić odpowiedzialność.

A *miss* Anabelle niejednokrotnie nas przestrzegała: jeśli nie będziecie się uczyć francuskiego, skończycie jako bezrobotni nieudacznicy. Niczego, biedacy, w życiu nie osiągniecie. Wspomnicie kiedyś moje słowa.

I nie wiadomo dlaczego, kiedy już z kartonowym pudłem pod pachą – z kaktusem, klawiaturą i filiżanką z napisem „Kochanemu synowi”, nawet nie moją, bo od rodziców za nic w świecie nie dostałbym czegoś podobnego – wyszedłem z gabinetu, w którym przepracowałem ostatnie siedem lat jako pomocnik głównego redaktora – od razu przyszła mi na myśl *miss* Anabelle.

Gdyby w tamtej chwili mnie zobaczyła, z pewnością mogłaby rzucić z satysfakcją: „A nie mówiłam?”

Tak, z językiem francuskim nie zaprzyjaźniliśmy się, niestety.

– Język to wasz bilet do szczęśliwego dorosłego życia – powtarzała *miss* Anabelle, poprawiając okulary w kolorowej oprawie o wielu dioptriach.

Przyglądałem się jej i z powątpiewaniem myślałem: „Czy aby na pewno?” A ona wciąż nas przekonywała, że dzięki kilku zaledwie francuskim zdaniom wypowiedzianym w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie można zawojować serce dowolnej kobiety bądź mężczyzny, albowiem to najpiękniejszy, najbardziej romantyczny i najbardziej seksowny (och, gdyby dyrektor szkoły to słyszał!) język na świecie. Tak, z całą pewnością *miss* Anabelle motywowała nas jak mogła. I przyszli lowelasi ochoczo jej wierzyli.

Ja zaś postawiłem na sobie krzyżyk – i to nie w samej tylko kwestii języka francuskiego. Byłem nieśmiały, wstydlivy, niezgrabny. Wszystkie moje kończyny wydawały mi się o wiele za długie, aby tworzyć harmonijną całość z resztą ciała. Całkiem możliwe, że powinienem był raczej urodzić się jako żyrafa, wtedy język francuski pomógłby mi z uwodzeniem. Przecież niekiedy dziewczyny na mnie spoglądały. Obawiam się jednak, że robiły to głównie powodowane ciekawością, jak taka dziwaczna konstrukcja w kształcie przypominającym człowieka utrzymuje równowagę, nie upadnie i nie rozwali się, a nawet potrafi grać w piłkę, dość szybko biegać, a na lekcjach gospodarstwa domowego udowodniać, że nawet zna się trochę na uprawie roślin. Oczywiście, z upływem czasu wszystko we mnie powoli stawało się coraz bardziej zwyczajne i zacząłem wyglądać mniej więcej znośnie, ale nieśmiałość i wstydlivość pozostały na zawsze. Ech, do diabła, warto było staranniej się uczyć francuskiego!

Kiedy współ z kaktusem i cudzą filiżanką jechaliśmy do domu, zadzwoniła moja siostra Katarina. I z właściwym sobie zwyczajem „nigdy się nie witać ani nie żegnać” bez wstępów zaszcebiotała, że pilnie potrzebuje pieniędzy i że wieczorem po nie wpadnie. Próbowałem jej opowiedzieć o utracie pracy i o zbliżającym się końcu świata, ale skwitowała moje słowa stwierdzeniem, że jestem jej ostatnią nadzieją. *Miss Anabelle*, czy pani to słyszy? Oto nawet bezrobotny nieudacznik może się okazać czyjąś ostatnią nadzieją!

Jednak siostra nie wpadła. Doszedłem do wniosku, że widocznie się rozmyśliła. Może, jak wszyscy przyzwoici ludzie, również i ona zajęła się przygotowaniem do końca świata? Na przykład moi koledzy – aktualnie już byli, zamierzali z tej okazji udać się wspólnie do jakiegoś baru i całą noc tam pić na umór, dopóki ze świata kamień na kamieniu nie zostanie i nawet ślad po nim przypadnie. To w gruncie rzeczy był świetny plan. Dla mnie wszelako nazbyt radykalny. Uważam, że koniec świata to bądź, co bądź osobiste doświadczenie, można nawet powiedzieć – intymne. Dlatego warto je dzielić jedynie z najbliższymi albo wyłącznie z samym sobą. Proponowałem nawet rodzinie, żeby się zebrać tego wieczora przy kolacji i spokojnie po raz ostatni ze sobą wspólnie porozmawiać. Nikt z moich bliskich nie wierzył jednak w koniec świata; poza tym, jak stwierdził tata, wszyscy byli za bardzo zajęci dla niego.

Zamiast siostry zjawił się u mnie Aleks, jej chłopak. Udałem, że o niczym nie wiem, że nikt do mnie nie dzwonił. Pamiętałem

bowiem, że w ciągu trzech ostatnich miesięcy już cztery razy remontował swój motocykl. Siostra mówiła, że zamierzają oboje jechać tym strasznym potworem nad morze. Nie, pieniędzy nie było mi żal, mimo że aktualnie jestem bezrobotny. Ale motocykl to, statystycznie rzecz biorąc, najniebezpieczniejszy rodzaj transportu. Również najwięcej zgonów odnotowuje się podczas wypadków z udziałem motocyklistów. I wcale nie chodzi o to, że głupio by było przejmować się tym w obliczu końca świata, ale nie chciałem sponsorować zagrażającej życiu przygody.

Nie minęło jednak nawet pół godziny, kiedy siostra znowu zaczęła do mnie wydzwaniać. Jąłem dopingować ów wytęskniony koniec świata, przyspieszać jego nadejście, jak niegdyś dopingowałem dzwonek na zakończenie lekcji języka francuskiego. Rzecz w tym, iż bardziej natrętne i nieustępliwe niż Katarina mogą być tylko chyba warany z Komodo – no, te jaszczury, które po ukąszeniu swojej ofiary uparcie snują się za nią godzinami, dopóki biedaczka nie padnie. Postanowiłem nie odbierać telefonów, nie odpowiadać. W końcu dziś ma być koniec świata. Że też nie dadzą nawet człowiekowi spokojnie umrzeć!

Zaczęły przychodzić wiadomości w stylu „to niesprawiedliwe, oszukałeś mnie”, chociaż w ogóle niczego jej nie obiecywałem, naprawdę. „Jak mogłeś? Nie masz sumienia! Przecież jesteś moim bratem!”

“*C`est la vie*, siostruniu” – pomyślałem i zdumiałem się. A to dopiero, pod koniec świata francuski mi się przypomniał! O, kiedy jeszcze mógłby mi się przydać!

Tymczasem siostra wciąż nie dawała za wygraną. Zaiste prawdziwy waran z Komodo! I oczywiście, jakżeby inaczej, skwapliwie uczepliła się tego, co dla mnie było zawsze najbardziej bolesne: „przecież jestem twoją jedyną siostrą, nie masz nikogo bliższego ode mnie – ani dziewczyny, ani przyjaciół – i pewnie już nigdy nie będziesz miał”.

Ciekawe, jak waran zdołałby wytrzymać podobną tyradę?

Siadłem na kanapie i otworzyłem butelkę wina kupioną specjalnie z okazji końca świata. Napełniając kieliszek, dokonywałem w myśli bilansu: minus praca, minus siostra, minus rodzice, bo ich też można umieścić w tym rejestrze. Oni zawsze trzymali stronę siostry. Za chwilę Katarina do nich zatelefonuje, po czym do mnie zacznie wydzwaniać mama – trzecia na liście najbardziej uprzykrzonych zrzęd po waranie i siostrze. Chociaż tych dwoje owa zacna kobieta z łatwością mogłaby zakasować jednym prostym pytaniem: „Sądzisz, że twoja matka naprawdę sobie na to zasłużyła?” Mówię szczerze, w dzieciństwie, zawsze, kiedy słyszałem od niej to pytanie, momentalnie nastawał dla mnie koniec świata. Mogło ono dotyczyć czegokolwiek: niezmytych naczyń, złej oceny, nieodrobionej pracy domowej z języka francuskiego, rozerwanej kurtki.

Owo pytanie nie wymagało odpowiedzi. Miało na celu jedynie: wywołać u pechowca, do którego było skierowane, poczucie dręczącej moralnej winy. Oj, gdyby zadano je waranowi, to na pewno zwiewałby po tej swojej pustyni, dokąd oczy poniosą! A może nawet dalej! I też by pewnie z utęsknieniem marzył o końcu

świata. Dlatego wyłączyłem telefon, udałem się do łazienki i odkręciłem kurek, żeby napełnić wannę ciepłą wodą. Może to dziwne, ale gorąca kąpiel zawsze mnie rozluźnia i uspokaja. I właśnie tak chciałem powitać zapowiadany koniec świata.

Wydaje mi się, że to całkiem przyjemny sposób. Oczywiście, nie aż tak miły, jak ten niedoszły ostatnim razem (w czułych i ciepłych objęciach mojej ukochanej), ale i niewiele gorszy. Niektórzy planują witać koniec świata hucznie i wesoło, na głównym placu miasta. Inni – cicho i kameralnie, w bunkrze. A jeszcze inni, jak moja siostra – obrażając się śmiertelnie na rodzzonego brata. A ja tak.

Wlałem do wody trochę olejków eterycznych. Przeczytałem bowiem w jakimś czasopiśmie (artykuł był zatytułowany „Całkowite rozluźnienie organizmu po dziesięciu minutach”), że olejki z szyszek jodłowych, eukaliptusa i mięty pieprzowej posiadają właściwości nasenne i uspokajające. I że oprócz nich dobrze jest też wsypać do wanny nieco soli. Autor artykułu twierdził, że „sól absorbuje wszystko, co dla organizmu szkodliwe i niepotrzebne, pochłania wszelki negatyw i stres”. A stres odczuwałem ogromny – toż to wkrótce bądź, co bądź koniec świata!

Wróciłem do pokoju, rozsiadłem się wygodnie w ulubionym fotelu przy oknie, wziąłem niedoczytaną książkę. Byłem pewien, że nim wanna się napełni, zdążę poznać zakończenie opisywanej w niej historii. Być może, że to już nie miało znaczenia, ale nie chciałem zostawiać nieskończonej sprawy.



Pasjonujące przygody głównego bohatera tak mnie pochłonęły, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że ktoś energicznie puka do moich drzwi. Czyżby siostra? Albo znowu jej chłopak? A może Katarina nasłała na mnie mamę? Tylko tego brakowało!

Poirytowany otworzyłem drzwi, zamierzając rychło pozbyć się nieproszonego gościa, i zamarłem – na progu stała bardzo piękna kobieta!

Milczałem w zamieszaniu. Ona wydawała się zdenerwowana i wystraszona.

– Pan mnie zalewa... – zdołała wreszcie wykrztusić.

– Ja?

– Tak – skinęła głową. – Z sufitu w mojej łazience kapie. Może u pana rura pękła?

– Niech to diabli! – wrzasnąłem przerażony. – Wanna!

Rzuciłem się do łazienki – a tam już wody po kostki! Momentalnie zakręciłem kran. A niechby szlag trafił tę diabelską książkę i jej głównego bohatera razem z jego zdumiewająco ciekawym życiem!

– O, czuję aromat jodły i eukaliptusa!

Odrzuciłem się, kobieta stała obok mnie i łagodnie się uśmiechała.

– Szczerze mówiąc, bałam się, że nie zastanę pana w domu. Dziś prawie wszyscy wybierają się na plac centralny z szampanem i fajerwerkami witać koniec świata. Ale na szczęście, pan jest.

I ona znów się uśmiechnęła.

Skinąłem w milczeniu, patrząc na pływający żałośnie pośrodku łazienki włochaty i puszysty niegdyś dywanik.

– Rzućmy na posadzkę ręczniki – zaproponowała kobieta. – Potem trzeba je będzie, oczywiście, porządnie wyprać, ale one świetnie zbierają wodę. Ja też nieraz zapominam zakręcić kran – i ręczniki zawsze się wtedy sprawdzają.

Ponownie skinąłem w milczeniu i rzuciłem ręcznik na posadzkę. Piękna kobieta obok mnie okazywała zdenerwowanie. „Tylko tego mi brakowało – mówiłem w myślach do siebie. – Tylko tego! A wszystko przez Ciebie, koniec świata!”

– O, wyczuwam też miętę pieprzową! – Kobieta westchnęła, wciągnęła nosem ciepłe, pachnące powietrze i przymknęła powieki. – Ależ by była cudownie aromatyczna kąpiel!

– Z pewnością – rzuciłem roztargniony, odzyskawszy wreszcie dar mowy. – Dodałem też soli.

– Tym bardziej szkoda... – rzekła współczująco.

Dopóki wycierałem posadzkę, kobieta zeszła do siebie sprawdzić, czy w jej łazience przestało już kapać i czy sufit zanadto nie ucierpiał.

Stałem na środku pokoju w mokrych džinsach i w koszuli z zakasany po łokcie rękawami. Opanowałem sytuację, zapobiegłem powodzi. „To może koniec świata powinien się zacząć właśnie od potopu? – przyszło mi nagle do głowy. – A czemu nie? Potop – to całkiem niezły sposób. W dodatku sprawdzony! I z pewnością nie tak bolesny jak gigantyczny wybuch”.

– U mnie wszystko w porządku – oznajmiła, powróciwszy i uśmiechnęła się, widząc mnie przemoczonego, zdyszanego i rozczochranego. – Zostanie kilka zacieków, ale to drobiazg. Wszystko już wytarłam. U mnie nie wygląda to tak groźnie, jak u pana.

– Proszę wybaczyć – zdołałem wykrztusić.

Spojrzała na zegarek.

– Oj, chyba niepotrzebnie tyle czasu straciliśmy. Już za pięć minut nastąpi koniec świata.

– A może z tej okazji zechciałaby pani wypić kieliszek wina? – spytałem, zaczynając powątpiewać w pilną potrzebę śmierci tego świata.

– Owszem, z przyjemnością – odparła uśmiechnięta sąsiadka.

Bardzo, ale to bardzo podobał mi się jej uśmiech. Napełniłem kieliszki.

– Za koniec świata! – uroczyście oświadczyła ona.

– *Oui!* – uśmiechnąłem się.

– Mówi pan po francusku! – skonstatowała mile zaskoczona.

– Tylko troszeczkę...

– O, to bardzo piękne i seksowne!

Wskazówka zegarka przeskoczyła z godziny 23:59 na godzinę 00:00.

Uświadomiłem sobie, że nawet nie znam imienia tej sympatycznej osoby, z którą właśnie witam koniec naszego świata.

– *Á propos*, jak pani na imię?

– Michelle. A pan?

– Martin – parsknąłem w odpowiedzi nieco spięty.

Wskazówka zegarka przesunęła się z 00:00 na 00:01. Nie musiałem już wstrzymywać oddechu i z ulgą odetchnąłem. Twarz Michelle również zajaśniała szczęśliwym uśmiechem.

– Albo za nowy początek!

Ach, droga *miss* Anabelle, gdziekolwiek pani obecnie przebywa – dziękuję!

## Obca ręka

*Tłumaczenie: Stanisław Ułaszek*

W dusznym wagonie metra czuła się jak rybka – maleńka, zagubiona, bezradna. Bez cienia nadziei zamknięta w metalowej puszcze. I czemu ona zapomniała o tym idiotycznym spotkaniu na drugim końcu miasta? Nie znosiła publicznego transportu, więc całe swoje życie starała się urządzić tak, aby zawsze i wszędzie mogła dotrzeć piechotą albo w ostateczności dojechać taksówką. Sama bowiem, po tym, jak dziesięć lat temu omal nie przejechała miniaturowego pieska, który nie wiadomo skąd wyskoczył raptem na drogę – samochodu nie prowadziła.

Niejednokrotnie próbowała wprawdzie usiąść ponownie za kierownicą, ale za każdym razem ten rozdziawiony pyszczek przeraźliwie ujadającego psiaka nie wychodził jej z głowy. Zwierzę cudem ocalało, kiedy jego pan odwrócił wzrok od telefonu i gwałtownie szarpnął za smycz. Pan był, oczywiście, niewinny. To jedynie ona wtedy zawiniła, tylko ona! Nie zmniejszyła prędkości na zakręcie, a tam akurat wyskoczył na jezdnię ów nieszczęsny kundel. Ostro nacisnęła hamulec, samochód zarzuciło, wpadł w poślizg i uderzył w hydrant przeciwpożarowy. Odtąd w swoim życiu wszystko organizowała tak, by nie korzystać z transportu zarówno indywidualnego, jak i publicznego.

Jednakże to dzisiejsze spotkanie na przeciwległym końcu miasta zupełnie wyleciało jej z głowy. Gdyby, choć w przeddzień sobie o nim przypomniała, to najprawdopodobniej by je odwołała.

Jechać metrem w piątek, po południu, w dodatku tak daleko – nie, czegoś takiego na pewno nie chciała. Poza tym miała nadzieję, że do domu uda jej się wrócić taksówką, ale korki w wielkim mieście – tym bardziej w piątkowy wieczór – były równie nieuniknione jak sama śmierć. Dlatego musiała skorzystać z metra. Mimo że nie cierpiała go jeszcze bardziej niż prowadzenia samochodu. A zwłaszcza w godzinach szczytu. Wokół wszędzie ludzkie ciała, stłoczone, przylegające mimowolnie do siebie; twarze najczęściej ponure i niezadowolone.

Dzisiaj i ona jest taka sama. Spotkanie było całkiem nieudane. I przebiegało zupełnie inaczej niż oczekiwała. Tak, nie warto było spotykać się z mężem, lecz on bardzo nalegał. Prosił, żeby koniecznie przyjechać. A ona miała nadzieję, że uczucia, które wygasły w ostatnich latach ich małżeństwa, rozgorzeją może z nową siłą. Niektóre intonacje w jego głosie wydały jej się tak znajome, tak bliskie i drogie, jakimi były przed laty.

Dawno już do niej nie dzwonił. Od ich ostatniej rozmowy telefonicznej minęło, co najmniej pół roku. Nigdzie nie mógł wtedy znaleźć karty pamięci z bazą danych swoich biznesowych klientów i zapisem prezentacji, toteż nie wiedzieć czemu uznał, że karta pewnie gdzieś się zapodziała w ich domu. A ona dokładnie wszystko sprawdziła, obszukała, przetrząsnęła, lecz żadnej karty, oczywiście, nie znalazła. Nie znalazła też jego ulubionej koszulki z autografem jakiegoś słynnego futbolisty ani pucharu za zwycięstwo w tenisowych mistrzostwach uniwersyteckich.

W głębi duszy żywiła przekonanie, iż nie były to telefony całkiem przypadkowe. Może dawał pretekst, by usłyszeć jej głos, a może sygnalizował potrzebę, aby zacząć wszystko od nowa albo kontynuować od owego fatalnego letniego wieczora, w którym nagle oznajmił, że wątpi w swoje uczucia. I że niczego nie jest pewny i nie wie, co dalej robić. To mu się niekiedy zdarzało. Co jakiś czas ogarniał go podobny nastrój i mówił wtedy, że chyba nazbyt się pospieszyli. Że trzeba było jeszcze poczekać rok albo dwa, jeśli nie trzy czy nawet cztery lata, sprawdzić swoje uczucia i dopiero potem podjąć decyzję. Z upływem czasu podobne nastroje ogarniały go coraz częściej. Jego niepewność i wahanie wciąż rosły. To się zdarzały raz na miesiąc, to raz na dwa tygodnie. Aż w którymś momencie sprzykrzyło jej się być tą, która niezmiennie wyjaśnia, tłumaczy, przekonuje. Która uporczywie zapewnia, że się nie pomylili. Oto, dlaczego owego ciepłego letniego wieczora zaproponowała, żeby się na jakiś czas rozstali, pomieszkali oddzielnie, dopóki on nie zdecyduje.

Po jego odejściu, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, poczuła się tak lekka i swobodna, jaką już dawno nie była. Kiedyś bardzo go kochała, lecz teraz konieczność kochania za dwoje wydała jej się ciężarem nie do udźwignięcia i nie wiedziała, jak się z nim uporać, jak właściwie postąpić. Jednak nie chciała już więcej rozwiewać cudzych obaw czy wątpliwości. Tym razem również wolałaby rozmawiać przez telefon, lecz on nalegał, twierdził, że sprawa jest poważna i że lepiej się spotkać i porozmawiać osobiście.

Przez to w jej sercu zbudziła się owa złudna nadzieja, że on pewnie już sprawę przemyślał i się określił, i postanowił, żeby wszystko przywrócić na swoje miejsca. Wszelako, kiedy zeszli do kawiarni obok jego biura (tego roku pracował jak konsultant podatkowy, zajmował miejsce jej przyjaciela Nika, który otrzymał awans i został naczelnikiem oddziału; stąd też piętnaście minut na kawę i czterdzieści na obiad było wszystkim, na co mógł sobie pozwolić w czasie trwającego właśnie okresu sprawozdawczego), ujął ją za rękę i wyznał: „Rebeko, zacząłem się spotykać z inną kobietą, czas podjąć decyzję o rozwodzie”. Ostatecznie i nieodwołalnie. Była tak oszołomiona, że gwałtownie wyszarpnęła rękę z jego dłoni, jedynie rzuciła w odpowiedzi: „Gdzie mam podpisać?”. A on ją przepraszać.

Teraz, wdychając nieświeże, duszne powietrze w przepełnionym wagonie metra, żałowała i pluła sobie w brodę, że w ogóle pojechała na to spotkanie. O czym myślała, czego po nim oczekiwała? Gdyby nie zwiody jej owe ciepłe nutki w jego głosie, byłaby już w domu. W swoim przytulnym gniazdku, z którego ponad rok temu on wywiózł swoje rzeczy. Uniosła głowę, zrobiła głęboki wdech, przez co istotnie upodobniła się do wyrzuconej na gorący piasek ryby łapczywie chwytającej powietrze.

Stacja. Drzwi się otworzyły. Pasażerowie, tłocząc się, zdążali do wyjścia. Jeszcze mocniej przywarła do przeciwległych drzwi, aby zajmować jak najmniej miejsca. Kiedy czasem musiała jechać metrem, zawsze wołała stać przy drzwiach. Jedynie tam można było z trudem wywalczyć sobie nieco indywidualnej przestrzeni.



Choćby za plecami. Nie czuć cudzych łokci, ramion, oddechów. Kilka razy ją popchnęli, otarli się, nadepnęli. Tego najbardziej nie lubiła. Krótkotrwałych, mimowolnych dotknięć obcych ludzi. Prawie niezauważalne, przypadkowe, ale zostawiały jednak na długo swój ślad. Ledwie jeden potok pasażerów opuścił wagon, już kolejny zaczynał atakować wejście.

W drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna w szarym palcie. Nieposłuszne kasztanowe kędziory włosów spadały mu na twarz, szybko odrzucił, odsłaniając przy tym szerokie czoło i szare oczy. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy nie wiedzieć czemu wydały jej się smutne. Może dlatego, że sama też takie miała. Mężczyzna przeszedł w głąb wagonu i stanął obok niej. Poczula zapach jego wody kolońskiej. Jak gdyby znajomy. Nieco słodkawy, ale jednocześnie świeży, orzeźwiający niczym letnia bryza na brzegu oceanu albo wiosenny wiatr w gałęziach kwitnącej wiśni.

W kieszeni jej płaszcza zawibrował telefon. Wyjęła go. Na ekranie widniała wiadomość od męża: „Wybacz, że tak wyszło”. Westchnęła głęboko i schowała telefon. Opuszczając go poczuła, że dotknęła ręki stojącego obok mężczyzny. Tego samego wysokiego mężczyzny o smutnych oczach i pachnącego słodką oceaniczną bryzą. Całkiem przypadkowo. Musnęła ledwie swoim małym palcem jego mały palec. Odruchowo chciała zabrać rękę, ale z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu nie uczyniła tego. Czowała jak ciepło jej ręki zlewa się z jego ciepłem. On również swojej ręki nie cofnął. „Może po prostu nie czuje mego dotyku” –

pomyślała Rebeka, ale w tej samej chwili poczuła, jak jego palce lekko się poruszyły – i zrozumiała, że on z pewnością jest świadom tego, iż obca kobieca ręka dotyka go. Zainteresowała się, czym się skończy ta gra. Które z nich pierwsze zabierze rękę? Uniesie, wsunie do kieszeni. Zmierzy innego srogim, osądzającym spojrzeniem, czy może raczej łagodnym, wyrozumiałym? Już nie dyszała jak wyrzucona na brzeg przez zdradziecką falę ryba, ale jak czająca się dzika kotka – głęboko i bezszelestnie.

Tymczasem ich ręce wciąż się stykały. Przez chwilę dręczył ją lęk, że mężczyzna pierwszy zabierze swoją. A wtedy ona poczuje się jeszcze bardziej samotna niż do tego momentu i całkowicie porzucona w wagonie pełnym ludzi. I będzie to całkiem logiczne zakończenie tego jałowego dnia i tego spotkania, które raptem podarowało jej ostateczną swobodę i całkowitą samotność. Ale pierwsza cofnąć swojej ręki nie chciała.

Ciepło jego palców i ich delikatna pulsacja wywoływały w niej jakieś dziwne uczucia, które wydawały się być dawno już zapomniane – ciekawość i pociąg. Rebeka uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak inny mężczyzna dzisiaj już dotykał jej ręki. Kiedyś jego ręce były kochane. Znała każdą przecinającą je bruzdę, każdy wzgórek, a nawet każdy odcisk od tenisowej rakiety. A dzisiaj ta jego ręka, która setki razy pieściła ją, dotykała i obejmowała, wydała się jej nieskończenie obca i okropnie zimna. Odepchnęła ją jak coś nieprzyjemnego, coś dziwnie nieznanego. I oto teraz, ledwie godzinę później, jej palce dotykają palców kogoś naprawdę całkiem obcego, nieznanego, a ona nie ma

najmniejszej ochoty, żeby je odepchnąć. Wręcz przeciwnie, chciałyby dotknąć ich jeszcze mocniej, pogłaskać, bliżej poznać.

Nagle poczuła, że mały palec mężczyzny objął jej mały palec. Zamarła. Prawie przestała oddychać i poczuła, że cała drży z podniecenia i rozlewającego się po jej ciele miłego ciepła. I palce Rebeki jęły bezwiednie badać jego palce. Najpierw kciuk, potem palec wskazujący, serdeczny. Jego palce były szczupłe. Na środkowym wyczuła dobrze jej znane zgrubienie od częstego korzystania z długopisu bądź ołówka. Na swoim środkowym miała takie samo. Palce Rebeki nadal żyły swoim własnym, niezależnym życiem, muskając cudzą rękę, która odwzajemniała ową zdumiewającą czynność. Poczuła na swojej dłoni i nadgarstku ostrożne dotyki poduszek jego palców. Jej nadgarstki były niezwykle wrażliwe na dotyk. I on to prawdopodobnie rozumiał, gdyż muśnięcia jego palców stały się bardziej łagodne i wolniejsze. Domyślił się, że właśnie takie sprawiają jej przyjemność. Przez cały ten czas w ogóle nie patrzyli na siebie. Ona kilkakrotnie miała ochotę spojrzeć, ujrzeć go choćby kątem oka, ale się powstrzymała z obawy, że zaprzepaści tę cudowną chwilę, spłoszy ów magiczny czar, dzięki któremu dwie obce ręce żyły własnym życiem, wykonywały swój potajemny zmysłowy taniec. W wagonie pełnym zmęczonych, spieszących do domu pasażerów, dwie obce ręce wzajemnie siebie odnalazły.

Kolejna stacja. Drzwi się otworzyły. Rebeka uniosła głowę, spojrzała na elektroniczną tablicę informacyjną nad wyjściem – jej stacja. Musi wysiadać. Puściła jego rękę, zrobiła krok do przodu –

i zwarty potok ludzi poniósł ją do wyjścia. Na peronie obejrzała się, szukając go wzrokiem. Pragnęła ujrzeć szare oczy, machnąć mu ręką na pożegnanie. Napierający ludzki potok odepchnął ją – i nie zdołała odnaleźć mężczyzny w tłumie.

Zmieszana stanęła nieruchomo pośrodku peronu, a gęstniejący mrok spływający z bezgwiezdnego zimowego nieba spowijał ją mroźnym chłodem. Obok niej w różne strony przebiegali ludzie. Odeszła na bok, żeby im nie stać na drodze i, z lubością wdychając świeże powietrze, oparła się o automat do sprzedaży biletów. Zawibrował jej telefon. Wiadomość. Znowu od męża. Już prawie było: „Wybacz. Nie chciałem cię urazić”.

Gorzko się uśmiechnęła. Wsunęła komórkę do kieszeni i zaczęła szukać strzałek kierujących do wyjścia z peronu. Tak rzadko jeździła metrem, że nie mogła sobie przypomnieć, z której strony peronu znajduje się właściwe wyjście. Na stację wjechały jednocześnie dwa pociągi. Potok pasażerów – rozdzielony na dwa nurty płynące w dwu przeciwnych kierunkach – omal jej nie przewrócił.

– Witam! – usłyszała raptem za plecami.

Rebeka obejrzała się. Znajome smukłe palce delikatnie ujęły ją za rękę.

## Życie trwa

*Przetłumaczyła: Dorota Piasecka*

– A pani jest ze strony narzeczonego czy narzeczonej? – przyjemny męski głos przywrócił jej do rzeczywistości.

Kobieta obejrzała się i z zakłopotaniem spojrzała na mężczyznę. Wysoki. W szarych spodniach i białej koszuli, na którą założona była kamizelka koloru morskiej fali. Jak i u wszystkich drużbów pana młodego, na ile mogła zauważyć. Jasne faliste włosy sięgały ramion. Mężczyzna popatrzył na nią badawczo.

Rozmarzyła się, zachwycając się panną młodą w białej koronkowej sukni i nie zauważyła, kiedy on podszedł do niej. A przecież specjalnie wybrała to miejsce przy żywołocie, jak najdalej od świątecznego zgiełku, żeby obserwować radość weselną nowożeńców i ich gości, pozostając niezauważoną.

Kobieta przez chwilę zawahała się, myśląc, co odpowiedzieć, i nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, z zażenowaniem uśmiechnąwszy się, powiedziała:

– Wpadłam.

Patrząc w jego przenikliwe ciemnoszare oczy, zrozumiała, że zupełnie nie chce kłamać i mówiła dalej:

– Muszę przyznać się, że nikogo tutaj nie znam. Jestem tutaj przypadkiem.

– Z jakiegoś powodu tak mi się wydawało – powiedział uprzejmie mężczyzna.

– Co mnie wydało?

– Wesele jest w morskiej stylistyce, a pani ma na sobie elegancką bordową sukienkę.

– To jest burgundzka czerwień – uśmiechnęła się. – Byłam pewna, że ona nadaje się na każde wesele. Klasyczny krój, długość do połowy łydki, niezbyt jaskrawa i absolutnie nie rzucająca się w oczy.

– Ale nie na weselu, gdzie wszyscy goście ubrani są w odcieniach szafiru – mężczyzna w odpowiedzi uśmiechnął się. – Powiedziała pani na „każde wesele”, jeśli dobrze usłyszałem – ponownie uważnie popatrzył na nią. – A więc, to nie pierwsze, na której znalazła się pani przypadkiem.

– I znowu wpadłam – policzki kobiety pokryły pąsowe rumieńce.

Spojrzała na nieznajomego. Było w nim coś, co w niewyjaśniony sposób skłaniało do szczerości. Zrobiła głęboki wdech i nieśmiało powiedziała:

– Już od dwóch miesięcy przychodzę na wszystkie śluby, które odbywają się w zabytkowym luterańskim kościele na placu. Mieszkam niedaleko...

Mężczyznę niepomierne to zdziwiło. Zapanowała niezręczna cisza.

– Proszę, niech pani mówi dalej – powiedział łagodnie. – To jest, sądząc po wszystkim, niezwykle ciekawa historia.

– Nie za bardzo... – zacięła się. – Ja po prostu śledzę ogłoszenia parafialne. Przychodzę, mieszam się z tłumem, a potem jadę za wszystkimi na uroczystość. Ale na swoją obronę powiem:

ja zawsze przynoszę prezent. Poza tym staram się czegośkolwiek dowiedzieć o narzeczonych. Zawsze w kościelnych zapowiedziach podane są imiona i nazwiska. Szukam ich stron internetowych i studiuje ich hobby i zainteresowania, oglądam fotografie i obmyślam, kim mogłabym być. To na taki wypadek – ukradkiem spojrzę na mężczyznę, – gdybym nagle została zapytana. Zdarzyło mi się, że byłam koleżanką z warsztatów rzemiosła cukierniczego. Gdyby pan widział, jaki wyśmienity tort upiekliśmy kiedyś razem z narzeczoną. – Miałam nawet zdjęcie. Zrobiłam screenshot. A kiedyś byłam dobrą znajomą z zajęć jogi. A z pewnym narzeczonym uczyłam się garniarstwa. Och, ile garnków nalepiliśmy! I jeszcze wspólnie zajmowaliśmy się ich wypalaniem. Ale tym razem, przyznaję się, zupełnie się nie przygotowałam. Nawet nie poznałam imion narzeczonych. Jeszcze i na sam ślub się spóźniłam. Musiałam pilnie ukończyć artykuł. Podjechałam pod kościół, kiedy już wszyscy wsiadali do samochodów, dlatego pojechałam po prostu za nimi. I oto znalazłam się tutaj, w tym sympatycznym przytulnym miejscu, wypiliśmy kieliszek szampana i odeszłam jak najdalej od epicentrum wydarzeń. Myślałam, że w pełnym toku zabawy pozostanę tutaj niezauważona. W żaden sposób nie spodziewałam się, że znajdę się w tak niezręcznej sytuacji.

– No cóż, to bardzo ciekawe! Ale po co pani to robi? – z nieudawaną ciekawością zapytał mężczyzna.

Ona ciężko westchnęła, poprawiła kasztanowy loczek i ze zdenerwowaniem popatrzyła na niego.

– Można powiedzieć, że za radą swojego terapeuty.

– Pani terapeuta poradził pani potajemnie brać udział w cudzych weselach? – nie mógł uwierzyć.

– No, nie całkiem tak. Poradził mi robić to, co pozwoli mi czuć, że żyję. W granicach prawa, rozumie się.

Spuściła wzrok i noskiem czarnego zamszowego pantofla dotknęła dębowego listka, który złożył się na zielonej trawie.

– Robić to – cicho ciągnęła dalej – co pomoże mi uwierzyć, że życie wciąż trwa.

– I cudze wesela pomagają pani w tym? – przymilnie spytał mężczyzna.

– Tak – odpowiedziała. – Trzy lata temu przeżyłam bardzo bolesny rozwód. Taki, po którym nie pozostaje kamień na kamieniu. Wtedy wydawało mi się, że życie skończyło się, że dalej nie będzie już niczego. Że wszystko co najlepsze już było. I mój terapeuta poradził, żeby zacząć wychodzić do ludzi, kontaktować się, obserwować i zauważać, że życie jednak, mimo wszystko, toczy się dalej.

Mężczyzna milczał, ale nie spuszczał z niej wzroku.

– I w pewien niedzielny poranek przypadkiem trafiłam na ceremonię ślubną – uśmiechnęła się. – Nie jestem człowiekiem religijnym, ale w tym momencie rozpaczliwie potrzebowałam wsparcia. Dlatego nie wymyśliłam niczego lepszego od zajrzenia do kościoła. Nie uwierzy pan, ale przepłakałam całą ceremonię. Wyobraża pan sobie? Na ślubie absolutnie obcych mi ludzi. Ale nie wiedzieć czemu, te proste symbole – obrączki, przysięgi,



pocałunki – podarowały mi poczucie, że życie istotnie toczy się dalej. Że wszystko jeszcze może się zdarzyć. Para, przy tym, była dosyć dojrzała. Obydwoje byli, co najmniej po pięćdziesiątce. I pomyślałam, że jeśli mając pięćdziesiątkę wszystko jeszcze jest możliwe, to może i moje życie jeszcze się nie skończyło. I w ten poranek pojawiło się moje hobby. Kupiłam sukienkę, pantofle i tę oto bransoletkę – kobieta z elegancją zademonstrowała swój nadgarstek. – Zdecydowałam, że będzie pasowała.

– Ona pani rzeczywiście bardzo pasuje. I sukienka także.

– Dziękuję – zmieszała się. – Nawet nie wiem, dlaczego panu to wszystko opowiadam. To wszystko, oczywiście, jest strasznie głupie, ale taka oto jest moja gra. Jem na weselach niewiele i prawie nie piję. Tylko kieliszek szampana z jakąś tarteletką lub ciastem. Tak więc, wydatki na mnie są minimalne. Ale i prezent przynoszę. Trzymam się jak najdalej od wszystkich, żeby nie wpaść, nikomu nie przeszkadzać i unikać podobnych sytuacji – uśmiechnęła się, podniósłszy na mężczyznę spojrzenie swych bursztynowych oczu. – Ja po prostu delectuję się atmosferą radości, miłości i ciepła. Sądziłam, że jest to zupełnie nieszkodliwe.

– I tak jest – mężczyzna także uśmiechnął się. – Moim zdaniem, pani znalazła niezły sposób by poczuć, że się żyje, przekonać się, że życie toczy się dalej i wszystko jest jeszcze możliwe. Ale i każdy inny sposób jest dobry, żeby powrócić do swojego życia. Pokochać je i być za nie wdzięcznym. Czyż nie tak? Mam dobrego przyjaciela Garry’ego. Garry’ego Daniela

Morgana. Pół roku temu dowiedział się, że zostało mu około dwóch miesięcy życia. I to, jeśli będzie miał szczęście...

Mężczyzna wziął głęboki oddech i kontynuował:

– Wszystko zaczęło się od tego, że Garry nagle zaczął odczuwać ciągłe osłabienie, zmęczenie i jakieś ogólne niedomaganie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, przecież przez ostatnie dziesięć lat pracował w dość dużej spółce jako konsultant finansowy. Praktycznie bez odpoczynku, bez wolnych dni. Ale kiedy do zmęczenia dołączyła się bezsenność, uznał, że czas z tym coś zrobić. Dlatego postanowił pójść do lekarza i poddać się badaniom lekarskim. A właściwie przede wszystkim chciał otrzymać receptę na lek nasenny, żeby znowu normalnie spać i odzyskać dawną wydajność w pracy. Ale kiedy za dwa dni otrzymał wyniki badań przesiewowych, to zrozumiał, że całkiem niedługo środek nasenny nie będzie mu już potrzebny. Jakies dwa miesiące i czeka go sen wieczny. Stanowczo mu polecono, aby pilnie skontaktował się z kliniką i poddał dodatkowym badaniom, powtórzył też diagnostyczne badania laboratoryjne i poszukał lekarza specjalisty, który mógłby mu pomóc. Ale Garry niczego takiego nie chciał: ani badań, ani złudnych nadziei, ani pustych obietnic lekarzy. Garry chciał jednego – żyć. Po raz pierwszy jego logiczny i zdyscyplinowany rozum ustąpił miejsce sercu. Garry postanowił przeżyć te dwa miesiące tak, jak zawsze chciał.

Pierwszą rzeczą było odejście z pracy, której poświęcił znaczną część swojego życia, potem rozstał się z kobietą, którą, jak się okazało, kochał nie tak mocno, aby spędzić z nią swoje ostatnie

dni. I nieoczekiwanie zaczął wszystkim i wszędzie mówić prawdę. Niespodziewanie dla samego siebie uświadomił sobie, jak często w swoim życiu kłamał. Kłamał o wszystkim. O tym, że odczuwa coś, że kocha i nawet kogo, czym chce się zajmować, co się jemu podoba i jak on w ogóle chce żyć. A za tydzień, pobrawszy z konta część swoich oszczędności (drugą zamierzał ofiarować szpitalowi dziecięcemu), poleciał nad ocean. Nagle przypomniał sobie, że od kiedy skończył osiemnaście lat, marzył o surfingu, ale cały czas coś innego było ważniejsze. Nauka. Praca (niekończąca się, choć dobrze opłacana). Próby nawiązania kontaktów, a nawet założenia rodziny. Przyjaźń, która wygasła wiele lat temu i stała się zbędnym ciężarem. Puste relacje z kolegami i jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które go w ogóle nie cieszyły. A wiele z nich już od dawien dawna nie miało żadnej wartości i znaczenia. I dowiedziawszy się, że zostało mu tak mało, rozpaczliwie zapragnął żyć. Żyć! Po swojemu, jak zawsze chciał, a nie jak przywykł.

I na brzegu oceanu w końcu poczuł się całkowicie wolny, szczęśliwy i beztroski. Wziął parę lekcji surfingu, wypożyczył deskę i już za tydzień ujarzmił fale oceanu. Garry zamieszkał w niewielkim ośrodku dla miłośników sportów wodnych. Zasypiał przy szumie fal i wstawał o świcie. Ale w głębi duszy czekał. Czekał, kiedy przyjdzie po niego śmierć. A po dwóch miesiącach i setkach pokonanych fal zdziwił się. Czuł się, bowiem bardzo dobrze. Tam, na brzegu oceanu, nie zostało ni śladu po jego zmęczeniu i bezsenności. Przeciwnie, takim zdrowym i silnym nie

czuł się już dawno. „Czyżby słone powietrze i woda oceaniczna czyniły cuda?” – dziwił się Garry.

Mężczyzna na chwilę zamilkł, spojrzął na kobietę i uśmiechnął się. Słuchała go, wstrzymując oddech i nie odwracając wzroku od jego oczu.

– On, z pewnością, zostałby tam, gdyby pewnego pięknego dnia nie rozległ się dzwonek. Dzwoniono z tej samej kliniki, w której dwa miesiące temu przechodził badania. Kobięcy, pełen skruchy głos poinformował go, że zaszła fatalna pomyłka. Nagle odkryto, że wysłano mu wyniki badań innego pacjenta. Garry nie wierzył swoim uszom. Okazało się, że Garry Daniel Morgan otrzymał wyniki Gregory’ego Duncana Morgana. I odwrotnie. Administratorka kliniki gorąco przeproszała za tak poważne nieporozumienie i zapewniała Garry’ego, że jest zupełnie zdrowy. Z wyjątkiem hemoglobiny, która była poniżej normy. Z powodu złej łączności i silnego wiatru nie mógł zrozumieć, czyja to była pomyłka: recepcjonisty, wypełniającego kartę pacjenta, pielęgniarki, która pobierała mu krew lub tego, kto odpowiadał za rozesłanie wyników pocztą elektroniczną. Pomylić się było łatwo – dopiero teraz przypomniał sobie, że na formularzu były tylko inicjały „G. D.”... G. D. Morgan. I teraz także nie mógł uwierzyć, że po raz pierwszy w życiu niczego nie sprawdził, nie uściślił. A jest przecież konsultantem finansowym! Czytał w dokumencie każdą linijkę dziesiątki razy, żeby wszystkie litery i cyfry stały na swoich miejscach. I nagle do niego doszło: on tak zmęczył się tym

swoim życiem, że był zadowolony – chociaż przez dwa miesiące może mieć inne.

– A co z tym drugim, Gregorym? – spytała zmieszana kobieta.

– Zaraz dojdziemy i do niego. Kiedy tylko Garry położył słuchawkę, poczuł się obrzydliwie. Dowiedziawszy się, że jego wyniki pomyłono z wynikami innego mężczyzny, potwornie się przestraszył – a jeśli Gregory Duncan Morgan jest już martwy? I nawet nie wiedział, że zostały mu tylko jakieś dwa miesiące. Garry nagle poczuł się okropnie winnym. Jak gdyby to on zabrał mu ostatnie miesiące życia, które ten mógł przeżyć inaczej. Tak, jak chciał. Tak, jak w tych minionych miesiącach żył Garry. Uwolniwszy się od wszystkiego, co zbędne, fałszywe i zniechęcające. I w końcu oddać się temu, co jest prawdziwe, temu, co ma i pociąga. Tego dnia kupił bilet na samolot, aby wrócić do domu. Chciał odnaleźć tego mężczyznę i poprosić, by mu wybaczył. On cały czas utwierdzał się w tym, że gdyby sprawdził wtedy wszystko dokładnie, przeszedł powtórne badania, pojawił się u lekarza, ten mężczyzna miałby szansę na szczęśliwe ostatnie dni.

W książce telefonicznej odszukał Gregory'ego Duncana Morgana, ale nie dodzwonił się i pojechał do niego prosto do domu. Bardzo bał się, że jest już za późno. Oczywiście, zdawał sobie sprawę z tego, że również i do tamtego dzwono z kliniki i poinformowano go o całym zamieszaniu z wynikami. Ale dla Garry'ego ważne było, by osobiście spotkać się z nim i przeprosić za to, że – jak sądził – właśnie on zabrał mu ostatnie miesiące

życia. Przyjechał do domu Gregory'ego, ale go nie zastał. Spotkał tam jego siostrę Amelię, której opowiedział swoją historię. Amelia rewanżując się, opowiedziała historię brata.

Gregory przechodził zaplanowane badanie lekarskie, żeby dowiedzieć się, czy zastosowana kuracja zadziałała, czy trzeba na nowo zmieniać jej kierunek. Otrzymawszy wyniki i dowiedziawszy się, że jest zdrow, mężczyzna po raz pierwszy poczuł, że kocha swoje życie i chce je przeżywać. Przedtem był malkontentem, wiecznie niezadowolonym i całkowicie niewdzięcznym. Ani innym, ani samemu życiu, ani choćby sobie. A kiedy pięć lat temu postawiono mu nierokującą dobrze diagnozę, wszystko całkiem przeklął. I siebie, i Boga, i świat. Porzucił pracę (wykładał rzeźbę w Akademii Sztuk Pięknych), zerwał ze wszystkimi przyjaciółmi, nawet z krewnymi prawie się nie kontaktował. Świat wydawał mu się niesprawiedliwy i okrutny. Dlatego po prostu oczekiwał końca. Ale otrzymawszy tego dnia wyniki i dowiedziawszy się, że jest zdrow, jak gdyby narodził się na nowo. Płakał jak dziecko i dziękował, klęcząc, Bogu i niebiosom. W tym samym zabytkowym kościele luterańskim na placu. Choć nigdy nie był człowiekiem religijnym. Jak i pani. Dziękował za drugą szansę, za możliwość życia. I obiecał samemu sobie i światu, że od tego dnia wszystko będzie inne. Przestanie się uskarżać, wypominać i obwiniać wszystkich o niesprawiedliwość. I wreszcie zacznie żyć. I oto, co za zbieg okoliczności – również pojechał nad ocean. Zawsze marzył o nurkowaniu z akwalungiem. I wiadomość o swoim wyzdrowieniu

odebrał jako znak. Więc postanowił od razu urzeczywistnić swoje marzenie.

Garry nie mógł w to uwierzyć. Przyznał się Amelii, że odczuwał straszną winę, ale ta przekonała go, że nigdy nie widziała brata takiego szczęśliwego i pełnego energii. I że ten głupi błąd podarował mu życie. Nowe, radosne, szczęśliwe. Niech nawet krótkie. zaproponowała zadzwonić do niego, by samemu przekonać się o tym. Zrozumiała, że dla Garry'ego bardzo ważne jest skontaktowanie się z Gregorym i dowiedzenie się, że nie jest niczemu winien. Jakie było jego zdziwienie, kiedy wykręciwszy numer, dowiedział się, że Gregory mieszka teraz w tej samej wsi nad brzegiem oceanu, skąd Garry kilka dni temu wyjechał. Gregory potwierdził, że i do niego dzwonili z kliniki. I że pomimo wyników badań czuje się tak dobrze, jak nigdy przedtem. Ten błąd darował mu dwa miesiące wolności i szczęścia. Zrealizował swoje marzenie – swobodne zanurzenie się bez akwalungu w głębinę. Garry'emu zrobiło się lżej. Głos nieznanego rzeczywiście brzmiał tak, jak głos absolutnie szczęśliwego człowieka. Garry zaproponował spotkanie, jak tylko ten wróci. I za dwa tygodnie siedzieli w pubie w śródmieściu. Gregory w tym czasie odwiedził swojego lekarza, który strasznie się zdziwił – przecież Gregory był całkowicie zdrow. Jeszcze jedną dobrą nowiną było to, że Garry i Amelia zaczęli się spotykać. Tego dnia, kiedy Garry stanął na progu domu Gregory'ego, żeby prosić o przebaczenie, pomiędzy nim i Amelią przebiegła jakby iskra. I zamiast poczucia winy zyskał miłość. Tak przynajmniej opowiadają wszystkim. A

Gregory powrócił do rzeźby. Teraz nie tylko wykłada, ale otworzył też wreszcie swoją pracownię, o czym, jak wspomniał, też od dawna marzył – mężczyzna dotknął swoich pofalowanych włosów i uśmiechnął się.

– Pan to Gregory? – niepewnie zapytała kobieta.

– Tak. To ja – odpowiedział z radosnym uśmiechem.

– A Garry? – jej bursztynowe oczy płonęły dociekliwym ogniem.

– A Garry dzisiaj ożenił się z moją siostrą.

– To jest to! – zakrzyknęła i głośno roześmiała się z zachwyty.

– To ci historia – skonkludował Gregory. – Mój lekarz nie uwierzył, kiedy po powrocie przedstawiłem powtórnie badania. Jakby w ogóle nic nie było. Pragnienie życia, wdzięczność i szczęście zaprawdę tworzą cuda. Gdyby ktoś inny opowiedział mi o tym, to bym za żadne skarby nie uwierzył. Ale ja sam to przeżyłem – na chwilę zamilkł i uważnie popatrzył na nią. – A pani i tak nie zdradziła swojego imienia.

– Isabelle.

– Miło mi panią poznać, Isabelle. Z pewnością każdy znajduje swoje. Ktoś surfing, ktoś nurkowanie, a ktoś cudze wesela. Każdy znajduje swój sposób na przedłużanie życia. A co pani sprezentowała nowożeńcom? – zapytał mężczyzna, badawczo patrząc na nią. – Bardzo jestem ciekaw.

– Kieliszki do wina i sól do kąpieli – odpowiedziała ze zmieszaniem.

– Cudowny wybór.



– Czy niezbyt skromny?

– Nie, bynajmniej! Ja na swoje nieszczęście podarowałem obraz kolegi artysty Milesa Rodda „Złoty zachód słońca nad oceanem”. Amelia, wie pani, chciałaby jakąś abstrakcję. Z prezentami nie zawsze udaje się dogodzić. A czy mogę poprosić panią o jeden prezent i dla siebie?

Isabelle zarumieniła się.

– W zamian za moją tajemnicę?

– O nie, co pani! Pani tajemnica na zawsze pozostanie ze mną. Po prostu taniec – uśmiechnął się. – Tylko jeden taniec.

– Wie pan, Gregory – z zakłopotaniem opuściła wzrok. – Czegoś takiego na cudzych weselach jeszcze nie robiłam.

– Widzi pani, tym razem pani posunęła się zbyt daleko.

– Obawiam się, że w bordowej sukni na weselu, gdzie wszystkie kobiety są w niebieskich i błękitnych strojach, tańcząc z bratem narzeczonej, nie pozostanę niezauważoną.

– O ile pamiętam, była to burgundzka czerwień – uśmiechnął się – i powinienem powiedzieć pani, że ani przez chwilę nie była pani tutaj niezauważona. Zwróciłem na panią uwagę, gdy tylko pani przyszła. I mogę zapewnić – rzecz nie tylko w kolorze sukni.

Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. Przenikliwie spojrzała na rozmówcę.

– Nie gniewa się pan, że potajemnie przekradłam się na wesele pańskiej siostry?

– Wręcz odwrotnie. Bardzo się cieszę, że pani tutaj jest – powiedział z czułością – jeśli wesele mojej siostry podaruje pani poczucie, iż życie trwa, to cóż może być lepsze?

Z głośników popłynęła przyjemna melodia. Aksamitny głos obiecywał wieczną miłość.

– Moja ulubiona piosenka. Nie ma pani nic przeciwko temu – podał jej rękę, czule uśmiechając się i patrząc jej w oczy.

Isabelle w odpowiedzi uśmiechnęła się i włożyła swoją dłoń w jego.

– Ja też ją bardzo lubię.

## Czułość

*Tłumaczenie z ukraińskiego: Mariya Bracka*

Ona była zakochana w nim od pół roku. Bolesne i piękne. Słuchała jego przyjemnego, niskiego głosu, czule spoglądała w jego zielone oczy, wdychała jego zapach. Cierpkie drzewo sandałowe z ostrymi nutami gałki muszkatołowej. Jednocześnie dobrze wiedziała, że nic jej nie świeci. Nic i nigdy, bo to jest mężczyzna jej najlepszej przyjaciółki. Tej, którą poznała dwanaście lat temu na uniwersytecie. Samanta, podobnie jak ona, uwielbiała hiszpańskojęzyczną literaturę XX wieku. Spotkały się na zebraniach klubu czytelniczego, gdzie godzinami dyskutowały o znakach i symbolach w dziełach Marqueza i Lorki.

Nie, ona nie chciała tego. Nigdy nie chciała zakochać się w cudzym mężczyźnie. Zwłaszcza w mężczyźnie Samanty. Ona dobrze wiedziała, że jej przyjaciółce, jak i jej samej, nieczęsto szczęściło się w miłości. A Samanta namiętnie pragnęła poznać kogoś, z kim czułaby się bezpiecznie, komfortowo i ciepło.

Ależ jej się trafiło! Nie, nie życzysz tego najgorszemu wrogowi. I sobie ona, oczywiście, nie życzyła. Zakochać się w kimś, w kim nie wolno się zakochać. Z kim nigdy nie będziesz razem. A czasem wydawało jej się, że samo myślenie o tym jest równoznaczne ze zbrodnią i zdradą. Tej, która zawsze była obok. W najgorsze czasy. Zwłaszcza wtedy, kiedy zostawała sama, zupełnie sama. Tylko Samanta i jej ramię, miękkie i ciepłe, były poduszką, tarczą, wsparciem i ochroną przed całym światem.

Pewnego dnia, wyczerpana wstydem i poczuciem winy, nagle chciała się do wszystkiego przyznać. Ale jeszcze bardziej chciała go dalej widzieć. Spoglądać w jego oczy i uśmiechać się w odpowiedzi na jego uśmiech. Słuchać jego aksamitnego głosu i zawsze odpowiednich subtelnych żartów. I być z nim przynajmniej raz w tygodniu na wyciągnięcie ręki, a czasem nawet bliżej. Dotykać policzkiem jego policzka, zawsze idealnie wygolonego i gładkiego podczas każdego spotkania i rozstania. A gdzieś w głębi duszy marzyć, że to mogła być ona. Ona. Z nim. Z takim mężczyzną. Poważnym. Śmiałym. Silnym.

Zakochała się tego samego wieczoru, kiedy Samanta przyprowadziła go do włoskiej restauracji, gdzie one od czasu do czasu jadały obiad, dyskutując o tym, co nowego i ciekawego zdarzyło się w ich życiu od momentu ostatniego spotkania. Samanta, żeby nie opowiadać, postanowiła pokazać. Jego. Właśnie to nowe i interesujące, co przydarzyło się jej zaledwie kilka tygodni temu. Poznała go na konferencji naukowej. Polubili się nawzajem. A po wszystkich referatach, przemówieniach i prezentacjach przyznali się, że nie mieliby nic przeciwko wypiciu kieliszka wina lub filiżanki kawy. Ale w innym miejscu i w innych okolicznościach. Jedną filiżanką się nie obeszło. I jednym kieliszkiem też. Zaczęli się spotykać.

– Joe – podał jej rękę na powitanie.

– Emily – odpowiedziała, popatrzyła w jego zielone oczy i od razu się zakochała.

Nie wiedziała, że czasem tak się dzieje. Myślała, że to jest możliwe tylko w książkach i filmach. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Miłość od pierwszego wejrzenia. I do tego jeszcze nie z tym.

A teraz, prawie co piątek, patrzyła na niego, kiedy ich odwiedzała. Podczas gdy wszyscy gadali bzdury, śmiali się z głupich żartów lub po prostu milczeli, całkiem pijani od wina. Ona sama piła z przyjemnością. Z winem było łatwiej. Zawsze można było sobie wmówić, że to nie ona, to wino. To ono popycha ją, by darzyć go czułymi spojrzeniami. Wino sprawia, że przychodzi. Znowu i znowu. Wiedząc, że to coraz bardziej ją zatruwa. Ale jednocześnie przypomina, że potrafi kochać. Że żyje. A czego jeszcze potrzeba?

Joe i Samanta wynajmowali mały domek w oddalonej od centrum dzielnicy miasta. W każdy piątek Samanta organizowała, jak je nazywała, wieczory gier. Mafia, monopol, karty, scrabble. I te spotkania nagle stały się regularne. Emily nie od razu zorientowała się, że wszystko to zostało zrobione dla niej. Żeby nie była smutna, bo Samanta myślała, że jej przyjaciółka tego potrzebuje. Bo przecież znowu jest zupełnie sama. Emily samej wydawało się, że potrzebowała tych spotkań, chociaż czasami były one prawie nie do zniesienia. Joe zawsze siedział na kanapie, a Emily naprzeciwko niego. Zazwyczaj przychodzili jeszcze koledzy Samanty, Martin i Rebeka, ich wspólne przyjaciółki, Anna i Isabelle oraz stary przyjaciel Rob, którego one obie znały, zdaje się, od zawsze. I jeszcze Max, najlepszy przyjaciel Joego.

Niektórzy przychodzili w parze, inni, jak Emily, byli sami. Kogoś znała od dawna, kogoś poznała bardzo niedawno.

Martin zaproponował jej kiedyś wspólne wyjście do kina, ale ona odmówiła. Nie żeby nie był w jej guście, po prostu był „nie Joe”. Nie miał tego czaru i uroku. Więc po prostu nadal patrzyła na tego, kto zajmował jej serce.

On, oczywiście, niczego nie zauważał. Właśnie o tym przekonywała samą siebie. Chociaż czasami wydawało jej się, że wiedział od dawna. A może nawet od tego pierwszego spotkania, kiedy musiała się powstrzymać, żeby nie zatrzymywać na nim spojrzenia, zbyt długiego i zbyt czułego.

Czasami wydawało jej się, że wie nie tylko on, ale w ogóle wszyscy. Wszyscy, którzy się zbierają u Samanty. A najgorsze to, że Samanta też. Często martwiła się, że jeszcze trochę i jej tajemnica, którą tak starannie ukrywała, stanie się własnością całej paczki i wypłynie w jakiejś głupiej grze typu „Prawda czy wyzwanie”, kiedy zostanie zapytana: „Jak odważyłaś się zakochać w mężczyźnie swojej najlepszej przyjaciółki?”. Ale na szczęście w tę grę nigdy nie grano. Wszyscy woleli pokera.

I ten piątek nie był wyjątkiem. Miała, jak zwykle, w ręku kieliszek wina i czułość w oczach do cudzego mężczyzny. Przestronną salę oświetlały liczne girlandy. Samanta mówiła, że w grudniu chce wypełnić każdy dzień poczuciem świętowania. Od tego przyćmionego światła, wina i ciepła Emily poczuła, że rozpaczliwie pragnie miłości. Nawet bardziej niż zwykle.

– Joe, kocham cię – natychmiast zakryła usta dłonią i rozejrzała się.

Czy powiedziała to na głos lub szeptem, czy w ogóle jej się wydało?

„Cholera – przemknęło jej w głowie – trzeba kończyć z tym winem”.

Wpatrywała się w twarze obecnych. Czy ktoś ją słyszał?

Samanta beztrąsko napełniała czyjeś kieliszki. Joe czarująco uśmiechając się tasował karty. Martin i Rebeka śmiali się z żartu, który lekko przegapiła, mimo że siedziała obok nich. Anna pisała wiadomość w telefonie. Z głośników płynęła przyjemna melodia. Samanta miała świetny gust muzyczny. A na grudzień przygotowano specjalną świąteczną playlistę. Odstawiwszy kieliszek na stole, Emily wsłuchiwała się w słowa. Oczywiście, Sinatra. I, rzecz jasna, z obietnicą wiecznej miłości. Odetchnęła z ulgą, że nikt nie słyszał jej strasznego wyznania, po czym napotkała spojrzenie Maxa. Siedział w fotelu po jej lewej stronie.

Max pojawił się prawie w tym samym czasie co Joe. Joe przyprowadził go pewnego razu na wspólną kolację i wyjście do kina. A potem on zaczął pojawiać się prawie zawsze i wszędzie. Wiecznie rozczochrany i nieogolony. Max wydawał się być przeciwieństwem Joe. Trochę hałaśliwy, otwarty i bardzo emocjonalny. W ogóle nie umiał przegrywać. Ale nikt nie blefował w pokerze lepiej niż on. Żartobliwie nazwał ją Niebieskooka. Ona za każdym razem go poprawiała: „Jestem

Emily”. On figlarnie odzęgnywał się: „Brzmi niewystarczająco barwnie dla twoich szafirowych oczu”.

Ona kilka razy łapała na sobie jego spojrzenie, którego nie potrafiła dokładnie wyjaśnić. Dlatego zwykle uśmiechała się niezręcznie i pospiesznie się odwracała. Mówiła sobie, że on chyba próbuje zrozumieć, czy ona blefuje, czy nie. A może sam blefował.

Ale teraz, wpatrując się w jego oczy o kolorze czarnej kawy, nagle zobaczyła coś zupełnie innego. Nie miało to nic wspólnego z kartami czy blefem. Było to coś bardzo znajomego. Tak samo bolesne i beznadziejne jak u niej samej. Czułość. Czułość! Której nie można wyrazić. Której nie można oddać. Którą trzeba ukrywać. Powściągać, bo ona nie jest potrzebna. Bo nie ma na nią miejsca.

Jej serce zaczęło walić głośno i bardzo szybko. On nie spuszczał swego przenikliwego spojrzenia i ona zrozumiała, że Max słyszał. Tylko on wśród tych wszystkich ludzi.

Od tej myśli coś skurczyło się w jej splocie słonecznym, co utrudniło oddychanie. Próbowwała wziąć oddech, ale nie mogła. Szybko wstała, chwyciła płaszcz, który wisiał na haczyku przy drzwiach i wyszła na zewnątrz.

Owiało ją zimnem, a świeże, mroźne powietrze wypełniło jej płuca. Wzięła głęboki oddech. Głowa zakręciła się, a serce zaczęło bić jeszcze szybciej.

– Czas skończyć z winem i piątkowymi wieczorami. Czas to wszystko zakończyć – szepnęła do siebie.– Już dawno czas...



– Emily! – zawołał ją męski głos.

Odwróciła się. Max.

– Wzięłaś mój płaszcz – uśmiechnął się. – Nie mam nic przeciwko, jeśli ci się spodoba, ale nie zmieszczę się w twoim, a nie chcę w takim mrozie wracać rozebrany do domu.

Dopiero teraz, patrząc na siebie, zorientowała się, że pospiesznie wzięła jego płaszcz. Wydawał się jej tak zwyczajny i znajomy, ponieważ dziesiątki razy on narzucał go na jej ramiona, gdy wychodzili zaczerpnąć świeżego powietrza po szczególnie burzliwej grze w pokera lub w przerwie w „Monopolu”, która trwała w nieskończoność. Miał teraz na sobie czującą kurtkę.

– W kieszeniach mam rękawiczki – powiedział. – Załóż, bo zamarzną ci ręce.

Skinęła posłusznie głową.

Podszedł do niej bliżej, starannie zapiął guziki i podniósł kołnierzyk.

– Jest zimno. Wiatr jest mroźny. Rozchorujesz się.

Patrzyła na niego bez słowa. On też milczał. A potem wziął jej ręce w swoje. Nawet w rękawiczkach one drżały. I zaczął je ogrzewać swoim oddechem. W tym momencie wydało jej się, że próbuje ogrzać nie tylko ręce, ale i serce. Wówczas zrobiła to samo. Mocno zacisnęła swoje palce wokół jego.

– Wiem – powiedział cicho – wiem, Emily.

Wciąż wpatrywała się w jego ciemne oczy, które jarzyły się gorącą miedzią w świetle ulicznej latarni. I widziała w nich tę całą czułość, co kilka minut wcześniej.

– Nie wrócę tam – powiedziała nagle twardo, kiwając głową w stronę okna, za którym w ciepłym świetle girland przyjazne towarzystwo piło wino i śmiało się z czegoś bez zahamowania. – Już nic mnie tam nie trzyma.

– Emily...– powiedział ledwie słyszalnie.

I czułość, która tak długo tkwiła w jego oczach, znalazła ujście. Troskliwie przycisnął jej ręce do swoich piersi.

– Podoba mi się Niebieskooka – uśmiechnęła się.

## Dwaj przyjaciele

*Tłumaczenie z ukraińskiego: Mariya Bracka*

Opalone uda tancerek poruszały się płynnie w takt rytmicznej muzyki. Spojrzał na nie leniwie, pociągnął łyk whisky, zapalił papierosa i odwrócił się do swojego przyjaciela siedzącego obok niego. Ten podziwiał kobiety w jaskrawych strojach kąpielowych i asymetrycznych spódnicach, które z przodu prawie nic nie zakrywały a sięgały do łydek od tyłu. Kobiety wykonywały szybki, namiętny taniec do motywów latynoamerykańskich. Ich piersi, oprócz dość otwartych dekoltów, zdobiły naszyjniki z tropikalnych kwiatów, a na głowach dziwaczne ozdoby z pawich piór, jedwabnych tkanin i sztucznych owoców.

On znowu zaciągnął się papierosem i wypuścił kółka dymu. Było to prawie jedyne miejsce w mieście, w którym można było palić w środku. Sala była jednak niewielka, więc warunkowo podział na miejsca dla palaczy i tych, którzy nie palą, nikogo nie chronił przed gęstą zasłoną dymu. Jednak wieczorami trzy razy w tygodniu tutaj można było zobaczyć najlepsze i najbardziej wyraziste występy – pokazy taneczne, zespoły jazzowe, przedstawienia teatralne, a czasem nawet stand-upy.

– Dawidzie, dlaczego mnie tu przyciągnąłeś? – zapytał ostro.

Dawid, nie odrywając wzroku od ciał malujących ósemki udami, skinął mu głową w kierunku sceny.

– Jak to dlaczego? Sam zobacz. Żebyś się trochę wyluzował.

Skrzywił się.

– Naprawdę myślisz, że mi to pomoże?

– Jasne! Spójrz tylko! – wykrzyknął Dawid.

Spojrzał przelotnie na scenę. Tancerki nadal się wyginały. Ręce i ramiona łączyły się z udami. I nawet pawie pióra niby zaczęły żyć własnym życiem.

Znowu się zaciągnął i cicho potrząsnął głową.

– Posłuchaj, Robie – Dawid w końcu odwrócił wzrok od smukłych kobiecych ciał, spoglądając surowo na swojego przyjaciela – ile można? Ile minęło od twojego rozvodu z Carrie? Trzy lata? Cztery?

– Trzy i pół – odpowiedział spokojnie.

– No, skoro tak dokładnie pamiętasz, to znaczy, że jeszcze tego nie przetrawiłeś.

– Nic mi nie jest, Dawidzie.

Zgaślił papierosa i odpił trochę wody ze szklanki.

– Naprawdę? – Dawid zerknął na swojego przyjaciela spojrzeniem lekko skrzywionym od alkoholu. – Ile kobiet miałeś po niej?

– Żadnej – odpowiedział równie spokojnie Rob.

–No właśnie, widzisz? Chcę tylko, żebyś wrócił do normalności, przyjacielu. Chcę, żebyś sobie przypomniał, że jesteś mężczyzną i mimo wszystko żyjesz.

Rob odchrząknął.

– Skąd wiesz, że mam z tym problem, i jak półnagie tancerki mogą mi w tym pomóc?

– Cóż, jeśli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, to najwyraźniej z tobą nie wszystko w porządku. Występują tu najpiękniejsze

kobiety w mieście, a ty patrzysz tak słabo, jakbyś miał już ponad osiemdziesiąt lat. Chociaż jestem pewien, że nawet osiemdziesięciolatek byłby bardziej entuzjastyczny – uśmiechnął się i potrząsnął głową, przyglądając się słabo oświetlonej sali w poszukiwaniu dowodów.

– O! – Dawid w końcu znalazł to, czego szukał, i skinął głową Robowi – To właśnie oznacza bycie mężczyzną. Żywym - lekkim gestem ręki wskazał gdzieś na lewo w głąb sali – Tylko spójrz! To ja rozumiem.

Dwóch starszych panów gorliwie oklaskiwało tancerki.

– Mają po nie mniej niż siedemdziesiąt lat i cieszą się pięknymi kobietami jak chłopcy w okresie dojrzewania. Nie to co ty.

Rob obojętnie spojrział na starców i nagle zobaczył ją. Kobieta siedziała przy stoliku pod ścianą obok sceny. Dzieliło ich pięć metrów i gęsty dym papierosowy.

– Och, ona jest po prostu kobietą moich marzeń. – Dawid patrzył zafascynowany na scenę. Wypuścił głośno powietrze, nie kryjąc zachwyty, pociągnął łyk whisky i mlasnął z przyjemności.

– Piękna – powiedział Rob bez emocji.

– Przecież ty nawet nie patrzysz! – powiedział Dawid z wyrzutem. – Gdzie ty w ogóle patrzysz?

– Nigdzie – Rob zerknął szybko na scenę. – Więc która kobieta jest twoim marzeniem?

– Za późno, już jej nie ma – powiedział obrażony przyjaciel.

Rob wzruszył ramionami.

– Więc, nie jest twoim przeznaczeniem.

–Wiesz co, a ja ją poznam! – Dawid uśmiechnął się nagle.

– Na serio? – Rob nie uwierzył.

– Dlaczego nie? Spodobała mi się.

– A ponadto jeszcze dwóm dziesiątkom mężczyzn na tej sali.

Staniesz w kolejce?

– Jaki ty jesteś marudny – skrzywił się Dawid. – Kiedy stałeś się taki?

Sięgnął po paczkę papierosów, spojrzał na przyjaciela i powiedział wyzywająco.

– I poznam ją! Ma niesamowicie piękne zielone oczy. Jak dwa szmaragdy.

– Ach, spodobały ci się jej oczy – uśmiechnął się Rob.

– Nie wierzysz?

– No wiesz, dość trudno je zobaczyć w całym tym blichtrze, efektach świetlnych, dymie...

– Dlatego nie masz nikogo – warknął Dawid. – Jesteś strasznie nudny. Zachowujesz się jak stary dziad. Chociaż nie – skinął głową w stronę starców. – Są znacznie szczęśliwsi. Poznam ją, mówię ci.

– Do przodu – powiedział Rob, ponownie zerkając na kobietę przy stoliku pod ścianą. Pisała szybko coś w telefonie.

„Pewnie na kogoś czeka” – zdecydował Rob, przyglądając się jej. Miała na sobie niepozorną czarną sukienkę. Jej jasnobrązowe włosy opadały małymi falami na ramiona. Spojrzenie mężczyzny powoli przesunęło się na jej usta z czerwoną szminką, zatrzymało się na nich przez chwilę i dalej ją studiowało. Nagle ich oczy się

spotkały. Zaskoczony tym chciał się odwrócić, ale nie mógł przestać błędzić po niej wzrokiem. Kobieta położyła telefon na stole, dotknęła ręką kieliszka białego wina i też nie odwracała od niego wzroku.

– Ciekawe, jakiego koloru są jej oczy – powiedział w zamyśleniu Rob.

W blasku kolorowych lamp, które oświetlały scenę, nie mógł ich zobaczyć. Szary zastąpił niebieski. I odwrotnie. Przez chwilę wydawało mu się, że są fioletowe. Uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech i szybko spuściła wzrok.

– Czyje? – zapytał zaskoczony Dawid. – Mówię ci, szmaragdowe.

– Ale nie twojej tancerki – uśmiechnął się Rob.

– A kogo wtedy? Czy ty też kogoś wypatrzyłeś? – Dawid mrugnął do swojego przyjaciela. – Tylko potajemnie, żebym nic nie wiedział, tak? Żeby nie okazało się jak wtedy.

– Dawidzie, to było sto lat temu.

– Nie sto, a piętnaście.

– No, niech będzie piętnaście – Rob rozłożył ręce i ponownie spojrzał na nieznaną.

Do jej stolika podeszła para: kobieta w czarnych spodniach i czerwonej jedwabnej bluzce oraz mężczyzna w dżinsach i białej koszuli. Wstała i przytuliła każdego z nich. „Chyba na nich musiała czekać” – powiedział sobie Rob.

– A tak przy okazji – przerwał jego myśli Dawid – zdarzyło się to więcej niż raz. I dlaczego zawsze podobały się nam te same kobiety?

Rob wzruszył w milczeniu ramionami, wciąż obserwując kobietę w czarnej sukience. Kelner podszedł do jej stolika z kolejnym kieliszkiem wina i piwem.

– Nawet Carrie – powiedział od niechcienia Dawid.

– A co z Carrie? – Rob spojrzał surowo na swojego przyjaciela.

– No, nawet ona. To miała być nasza pierwsza randka, a ty przylazłeś. Niby zapomniałeś gdzieś kluczyków od samochodu i pilnie potrzebowałeś mojego.

– No tak, naprawdę potrzebowałem samochodu. Odebrać twoją siostrę z lotniska, póki miałaś randkę.

Dawid prychnął.

– Tak, tylko tego wieczoru nikt jej nie odebrał z lotniska. Jak zobaczyłeś Carrie, to się zawiesiłeś.

– No widzisz. A ty mówisz, że ja mam problemy. Ale nie, mam bardzo dobre układy z kobietami.

Ponownie spojrzał na nieznajomą. Rozmawiała ze swoimi przyjaciółmi, lecz kilka razy złapał na sobie jej spojrzenie.

Dawid uśmiechnął się.

– Ale z ciebie łajdak! Ukradłeś kobietę tuż sprzed mojego nosa.

– Dawidzie, to nie moja wina, że bardziej jej się spodobałem.

– Nie twoja wina? – zdziwił się Dawid. – Twoje usta się nie zamykały. W żaden sposób nie mogłeś sobie pójść, wziąć te diabelskie klucze i pojechać po Samantę na lotnisko. Nawiasem



mówiąc, ona odczekała tam dwie godziny i nikt nawet do niej nie zadzwonił. Byliśmy zbyt zajęci uwodzeniem Carrie.

Rob roześmiał się. Dawid spojrział na niego niezadowolony.

– I wygrałeś.

Rob spojrział na scenę. Młoda kobieta w długiej zielonej sukni śpiewała smutną miłosną piosenkę. Spojrział na nieznajomą. W tym momencie mężczyzna i kobieta wstali. Uściskała ich ponownie, pomachała na pożegnanie, wróciła do stołu i popatrzyła wprost na niego. Uśmiechnął się.

– Wyglądają na niebieskie – powiedział cicho.

– Co niebieskie? – Dawid spojrział nie rozumiejąc i dopijając whisky. – Zamówimy jeszcze po szklance?

Rob skinął głową, a Dawid dał znak barmanowi.

– Oczy. Piękne niebieskie oczy.

– Piosenkarki? – Dawid spojrział na kobietę przy mikrofonie. – Przecież ona śpiewa z zamkniętymi oczami – spojrział na Roba. – Co ty, zupełnie oszalałeś?

– A może podejść do niej i spróbuję się z nią zapoznać – powiedział Rob, zdezorientowany, czując lekkie podniecenie ogarniające całe jego ciało.

– Do piosenkarki? Spodobała ci się?

– Przy czym tu piosenkarka? – zdziwił się Rob.

– A kto? Tylko nie mów, że miałeś zamiar odbić mi moją tancerkę! – Dawid podniósł palec wskazujący i szybko kiwnął nim z boku na bok. – Nigdy w życiu! Nie pozwolę ci tego zrobić! Nie tym razem!

– Przy czym tu ta tancerka? – Rob uśmiechnął się. – Odbić ci? Przecież jeszcze jej nie poznałeś.

– Niepotrzebnie to mówisz – Dawid potrząsnął głową. – Po występie podejść do niej, zobaczysz.

– Dobrze. Twoja sprawa – odpowiedział Rob, nie odrywając wzroku od kobiety przy stole pod ścianą.

Do niej właśnie podszedł kelner. Powiedziała coś do niego i lekko się uśmiechnęła.

– Żeby tylko nie rachunek – powiedział Rob automatycznie. – Tylko nie rachunek. Nie idź jeszcze. Proszę nie odchodzić.

– O kim, do diabła, mówisz? – Dawid nie wytrzymał i zaczął kręcić głową na różne strony. Złapawszy spojrzenie Roba, uśmiechnął się z satysfakcją. – A, śliczna. Powiedziałbym nawet, że piękna. Ale moim zdaniem nie do końca w twoim guście. Wydaje się, że bardziej lubisz blondynki. Jak ja.

Rob wzruszył ramionami.

– Nie zawsze – i nagle się uśmiechnął, widząc, jak kelner przyniósł jej kieliszek białego wina. – Ona jeszcze nie wychodzi – powiedział radośnie.

– I co, będziesz dalej siedział i czekał, aż odejdzie, czy jednak podejdziesz do niej, jeśli ci się spodobała?

– Nie wiem, jeszcze nie zdecydowałem – odpowiedział Rob, czując, jak emocje rosną w nim coraz bardziej.

– Ale dajesz ognia! Kiedy stałeś się taki?

Rob zmarszczył brwi, jakby sobie przypominał.

– Prawdopodobnie po Carrie. Przecież tak bardzo ją kochałem. I nie wiem, czy jestem gotów zaryzykować ponownie...

Dawid skinął głową ze zrozumieniem i nagle głośno zaklął. Obok kobiety przy stole usiadł mężczyzna w garniturze i wyciągnął rękę, by się przedstawić.

Rob nie spuszczał z niej oczu.

– Cóż – powiedział Dawid. – Są mężczyźni bardziej zdeterminowani niż ty.

– Może to nie przeznaczenie – odpowiedział cicho Rob.

Nadal na nią patrzył, mając nadzieję, że ona również rzuci na niego spojrzenie. Niech będzie krótkie, chwilowe, ale przynajmniej spojrzy na niego jeszcze raz.

Dawid wybuchnął śmiechem.

– Nie poznaję cię! Uprowadziłeś kobietę spod nosa swojego najlepszego przyjaciela!

– Może, wiek?

Dawid znów się roześmiał.

– Ile masz lat, osiemdziesiąt? Chociaż starców już omówiliśmy. Jestem pewien, że ci dwaj pobiliby się o moją tancerkę.

I ona spojrzała na niego. Otwarcie, długo i bardzo przeszywająco. I nagle podniecenie, które wypełniło całe jego ciało, zmieniło się w ciepło. Przyjemne i delikatne. W piersiach ścisnęło.

– Nie wątpię – uśmiechnął się Rob i niespodziewanie sam wstał od stołu. – Powodzenia z twoją tancerką i nie pozwól tym staruszkom ci jej zabrać.

Mrugnął do przyjaciela, poklepał go po ramieniu i skierował się do stolika przy ścianie.

– Cześć – spojrzał uważnie w jej oczy. – A jednak niebieskie, tak jak myślałem. Jestem Rob.

– Megan – odpowiedziała.

Mężczyzna w garniturze spojrzał na nich obu z zakłopotaniem.

– Chciałabyś się przejść? – zapytał.

– Tak – skinęła głową.

Eleganckie biodra tancerek znowu tworzyły płynne wzory. Teraz dziewczyny miały na sobie obcisłe czarne stroje. Jednak Dawid szukał na scenie tylko szmaragdowych oczu i za każdym razem, gdy je odnajdywał, uśmiechał się radośnie. A oczy odwzajemniały mu uśmiech.

Jego Helena była dziś niezwykle piękna. Poznali się półtora miesiąca temu. Tej nocy chwalił się Robowi swoją odwagą, ale wówczas, stojąc przed drzwiami jej garderoby, wzruszał się jak chłopiec. Mimo to po drugim kieliszku whisky odważył się podejść. A ona, ku jego wielkiemu zaskoczeniu i szczęściu, zgodziła się napić kawy.

Oczywiście, on wiedział, że Rob nie będzie zainteresowany, jak on to ujął, półnagimi tancerkami, ale dobrze pamiętał, jakie kobiety podobają się jego najlepszemu przyjacielowi. Cały wieczór nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy twarz Roba

wykrzywioną ze zdziwienia, kiedy pojawi się w ramionach Heleny. Oczywiście, pragnął triumfu: przecież powiedział, że pozna ją! Właśnie tak! Ale szczęście przyjaciela było ważniejsze. Sam Dawid tego wieczoru był szczęśliwszy niż kiedykolwiek: jego kobieta błyszczała na scenie i udało mu się złapać kilka iskrzących się spojrzeń jej zielonych oczu, a jego najlepszy przyjaciel po trudnym czasie w końcu zaczął dochodzić do siebie.

## **Pięcioro nieznajomych na wyspie**

*Tłumaczenie z ukraińskiego: Mariya Bracka*

– Co byście zrobili, gdybyście się dowiedzieli, że jutro jest ostatni dzień waszego życia? – czterdziestoletni mężczyzna rzucił dociekliwe, entuzjastyczne spojrzenie na siedzących przy stole ludzi.

Zmierzch już dotknął ziemi swoim ciemnym chodem, a łagodna gęsta cisza ogarnęła całą wyspę, zastępując zgiełk i pośpiech dnia. Stół oświetlała ażurowa lampa na małym kamiennym łuku, prowadzącym z hotelu na taras, i setki małych ogni-girland rozwieszonych na ciemnych krzakach posadzonych chaotycznie po obwodzie.

Twarze obecnych stopniowo tonęły w ponurej mgle, mieszały się z wieczornym błękitem, zamieniając się w ciemne, ostro zarysowane sylwetki.

Mężczyzna mierzył wszystkich po kolei zainteresowanym i wyzywającym spojrzeniem. W jego płonących oczach i uśmiechu, który ledwo dotykał ust, było jasne, że mężczyzna rzucił pytanie, oczekując ciekawej gry lub przynajmniej przyjemnej rozmowy.

Ale jego słodkie przeczucie ciekawego wieczoru zderzyło się z surowym spojrzeniem starszej kobiety.

– Nie mam zamiaru w to grać – prychnęła i szybkim ruchem dołała do swego kieliszka czerwonego wina z butelki, która stała na środku stołu. – Kto jeszcze ma ochotę na wino? – rozejrzała się po obecnych zimnym spojrzeniem.

Jej falujące siwe włosy były starannie zaczesane do tyłu. Naprzeciw niej młoda kobieta skinęła głową:

– Ja poproszę.

– Daj mi swój kieliszek, Emilio – rozkazała starsza kobieta.

– Czemu? – mężczyzna nie mógł się uspokoić. – Bo przecież i tak będziemy jeszcze długo tutaj sterczeć. Siedzimy na tej wyspie już od pięciu dni, czekając na wylot i naiwnie licząc, że coś po nas zostanie wysłane i że linia lotnicza, która zbankrutowała tydzień temu, będzie mogła nam jakoś pomóc. Dobrze też, że biuro turystyczne zdołało zorganizować transfer z pięciogwiazdkowego hotelu do nieco skromniejszego miejsca. I tak samo dobrze, że nas tu życzliwie zakwaterowano za grosze. Oliwio, ja też poproszę – uśmiechnął się do starszej pani i wyciągnął kieliszek. – Danie, pasujesz dzisiaj? – spojrzał na trzydziestoletniego mężczyznę siedzącego na lewo od Emilii.

Ten pokiwał przecząco głową:

– Kompletnie nie mam ochoty dzisiaj, Jerry.

– Na próżno – uśmiechnął się mężczyzna, popijając wino. – Dziś jest cudowne! – cmoknął i z przyjemności zamknął oczy. – Jeszcze dzień lub dwa i spróbujemy tutaj wszystkiego. Tak więc – kontynuował, przypominając sobie swoją propozycję. – Przecież my już graliśmy we wszystko. Czyż nie? Nawet w karty. Nie grałem w nie ze sto lat. Dlaczego więc nie zagrać w coś nowego? Pofantazjować, pomarzyć. Tak, tylko dla zabawy. Kolejnego nudnego wieczoru sam na sam ze sobą już nie wytrzymam –

powiedział żartobliwie. – Mam ogromne szczęście, że utknęliście tu razem ze mną – mrugnął do starszej kobiety.

– Rozmowa o śmierci – powiedziała gorzko, rzucając Jerry'emu przeszywające spojrzenie – to nie zabawa. To pan żartuje sobie, a ja mam siedemdziesiąt pięć lat i każdy dzień może być moim ostatnim.

– Tak samo jak dla nas wszystkich – powiedziała dwudziestoletnia dziewczyna.

Znudzona, nawijała sobie ciemny lok na palec.

Starsza pani parsknęła:

– Nie rozśmieszaj mnie! Ile masz lat? Masz przed sobą całe życie.

– Możliwe – odpowiedziała dziewczyna. – Ale wiek nie daje żadnych gwarancji. W zeszłym roku zmarła moja przyjaciółka, która miała zaledwie siedemnaście lat. Niewydolność serca. I naprawdę wierzyła, że ma przed sobą całe życie. Tak jej obiecali lekarze.

– Ale czysto statystycznie... – ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy starszej kobiety.

– Śmierć nie ma nic wspólnego ze statystyką, zwłaszcza jeśli nie dotyczy ciebie osobiście – odpowiedziała dziewczyna. – Ale proszę powiedzieć o statystyce mojej przyjaciółce. Ach, nie uda się, przecież ona nie żyje – głos dziewczyny brzmiał metalicznie, co kłóciło się z jej łagodnym, a nawet powabnym wyglądem, z gęstwiną ciemnobrązowych włosów sięgających do połowy jej



pleców i dużymi niebieskimi oczami. – Jerry, proszę mi też nalać wina – zwróciła się uprzejmie do mężczyzny.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem:

– Jesteś pewna, Leslie? Nie, oczywiście wierzę, że już możesz pić alkohol, ale nie chciałbym być tym, który rozpija młodą dziewczynę z daleka od domu.

– Jerry – powiedziała cierpliwie i delikatnie, zbierając włosy w wysoki kucyk – wymyślił pan nową ciekawą grę. Jak widać, wcale nie jest ona łatwa. Obawiam się, że wino jest przy niej po prostu niezbędne.

Jerry potrząsnął głową, podniósł butelkę i napełnił naczynie Leslie do jednej trzeciej.

Leslie uśmiechnęła się i podniosła kieliszek.

– Abyśmy wszyscy jak najszybciej wrócili do domu. Jeszcze przed naszym ostatnim dniem.

– Amen – uśmiechnął się Jerry i opróżnił kieliszek.

Oliwia spojrzała na niego pogardliwie.

– No cóż, zacznę od siebie – powiedział stanowczo Jerry – sam to wymyśliłem, więc muszę odpokutować za wszystkich. Gdybym wiedział, że jutro będzie ostatni dzień mojego życia, najpierw zadzwoniłbym do byłej żony z prośbą o przebaczenie.

Starsza pani prychnęła głośno:

– No, oczywiście, poczekać do końca, żeby szybko za wszystko przeprosić i przynajmniej tak wyjść zwycięsko. Zostawić ostatnie słowo za sobą.

– Tak, Oliwio, wiem – Jerry spojrział na nią ze smutkiem. – Prośba o przebaczenie przed śmiercią jest nieco obłudna, ale lepiej późno niż wcale. Kiedyś źle się wobec niej zachowałem. Rozwód był dla nas obu trudnym i traumatycznym wydarzeniem. Jednak we wszystkim obwiniałem ją. I dopiero teraz, po trzech latach, zdałem sobie sprawę, że sam byłem nie lepszy... Sam przeoczyłem moment, w którym wszystko poszło na wspak. Legło w gruzach, przestało być drogim i cennym. Aż nadszedł moment, w którym niczego nie da się uratować. Tak myślałem wtedy. Teraz pewnie bym spróbował, ale wtedy byłem zły na nią i na siebie. Straciłem coś ważnego. Pograżony w sprawach, pracy, spotkaniach z przyjaciółmi, dziesiątkach hobby i jeszcze nie wiadomo czym. Wydawało mi się wtedy, że to, co mamy, będzie zawsze. Jakoś samo z siebie. Pewnie ona też tak myślała. Wydaje się jednak, że tak się nie dzieje. I oddaliliśmy się od siebie. Każdego dnia oddalaliśmy się coraz dalej, aż zrobiło się tak zimno, że nie chciało się wracać do domu. A łoża małżeńskie zamieniło się z łoża miłości w miejsce nienawiści i obrzydzenia. I dlatego na spotkaniach z prawnikami bardzo siebie nawzajem krzywdziliśmy. Walczyliśmy o każdy dywan i każdy ręcznik, których tak naprawdę nikt z nas nie potrzebował. Teraz rozumiem, że przynajmniej coś czuliśmy. Bardzo ją kochałem... i ona kochała... Posłuchajcie – przyjrzał się uważnie Leslie, Danowi i Emilii – nie powtarzajcie moich błędów. Choć kim ja jestem, aby udzielać rad? Nieudacznikiem, który nie uratował własnego małżeństwa. Ale wiecie, przeszedłem przez to. I powiem wam

szczerze: śmierć miłości to najstraszniejszy obraz ze wszystkich, które kiedykolwiek widziałem w życiu. Wtedy liczy się każda chwila. I każdy krok jest ważny, ale niezwykle trudno go zrobić.

– Jerry – powiedziała cicho Leslie z czułością i troską w głosie – niech pan zadzwoni do niej.

– Ale przecież jutro nie jest ostatnim dniem mojego życia – zażartował mężczyzna, poprawiając blond włosy, które opadały mu na czoło.

– Cóż... pan nie wie tego na pewno – uśmiechnęła się dziewczyna – nikt nie wie.

– Po co czekać na ostatni dzień? – wsparła ją Emilia.

– A po co dzwonić? – wycodziła przez zęby Oliwia, krzywiąc się. – Jeśli, jak pan zapewnia, nic nie da się uratować, że jest już za późno i pan wszystko zniszczył. Po co rozdrapywać stare rany? Komu będzie lepiej? Chce pan złagodzić własny ból, ale nawet nie myśli o niej, że tym telefonem pan zakłóci jej teraźniejszość, przypominając jej o przeszłości. Po co? Aby zadowolić własne ego? Pokaż swoją hojność? – chrząknęła i odpiła wina.

– Może, ma Pani rację, Oliwio, i to będzie zbędne dla niej i jej nowego życia. Ale z jakiegoś powodu wydaje mi się, że usłyszenie głosu osoby, z którą nie udało się uratować relacji, może być uzdrawiające...

– Wiesz co, Jerry – powiedział cicho Dan, uważnie przyglądając się rozmówcy. – Prawdopodobnie to ją zdezorientuje. Telefony z przeszłości często dezorientują. Ale bardzo dobrze rozumiem, o czym mówisz. I gdybym wiedział, że jutro mnie nie

będzie, od razu zadzwoniłbym do swojego brata. Zniknęliśmy ze swojego życia trzy lata temu, po śmierci naszych rodziców. A oni mówili nam przez całe dzieciństwo: nikt nie jest i nie będzie wam bliższy niż wy sami sobie nawzajem. A kiedy odejdziemy, pozostaniecie najbliższymi ludźmi na całym świecie – przez chwilę milczał.

Wszystkie oczy przy stole były zwrócone na niego. Nabrał jak najwięcej powietrza do płuc i kontynuował.

– Obwinialiśmy siebie nawzajem i każdy sam siebie za ich śmierć. Markus, mój brat, zorganizował im dwutygodniową wycieczkę nad ocean z okazji ich trzydziestej rocznicy ślubu. Wprawdzie obiecałem wybrać prezent, ale jak prawie ze wszystkim, co jest związane z rodziną, nie zdążyłem z powodu pracy. Mieli lecieć na wyspę – uśmiechnął się smutno – tę. Ale w drodze na lotnisko w ich taksówkę wjechała ciężarówka. Mama zmarła na miejscu, a tata dzień później w szpitalu. Nawet nie odzyskał zmysłów. Markus przeklinał siebie i swój prezent, a ja przeklinałem siebie, że nie zdążyłem opłacić certyfikatu na tydzień w uzdrowisku sto kilometrów od domu. On nienawidził siebie za to, że tego ranka jego samochód zgasł na środku drogi i nie mógł ich zawieźć na lotnisko, a ja nienawidziłam siebie za to, że nie byłem w domu, ale na kolejnej idiotycznej konferencji. I że musieli jechać taksówką. I każdy z nas obwinił siebie i drugiego. I zamiast przeżywać ten ból razem, przejść przez to razem, postanowiliśmy wymazać się nawzajem z naszego życia. Żeby patrząc na siebie nie widzieć cichego wyrzutu i oskarżenia o to, co

się stało. W końcu mieliśmy dość własnej winy. Z jej powodu czasami nie można było oddychać. Nagromadziłem tyle złości i wściekłości, że nie sposób opisać. Ciągłe przewijałem w głowie, jak mogłoby być inaczej? Co mogłem zmienić? Jak mogłem do tego nie dopuścić? A potem wyruszyłem w podróż ze światem i sobą. Jeździłem do klasztorów, aśramów, na naukę do wszystkich możliwych guru i lam. Musiałem usłyszeć, że nikt nie jest winny. Że nikt nie mógł tego zmienić i nie mogło być inaczej. Że śmierć jest poza zasięgiem. Jest dla nas niedostępna. I zdałem sobie sprawę, że Markus i ja jako małe dzieci bawimy się w bohaterów, bogów, wierząc, że wskutek jakiegoś naszego kroku, działania, słowa wszystko mogło się potoczyć inaczej. Musiałem poradzić sobie z tym życiem. I ze śmiercią. Dlatego kupiłem bilety na tę wyspę. Postanowiłem, że powinienem polecieć zamiast nich. Zamieszkałem w tym samym hotelu, w którym mieli mieszkać. Chciałem zobaczyć to, co by oni zobaczyli, gdyby tego lipcowego poranka nie wsiedli do taksówki. I mieszkałem tam przez dwa tygodnie. Robiłem to, co by oni robili. Ojciec miał przyjemne przecucie. Z zachwytem czytał mi oferty z broszury reklamowej. „Danie, czy możesz sobie wyobrazić, że pakiet zawiera darmowy windsurfing. Trzy lekcje z instruktorem!”. I ja wziąłem te trzy lekcje zamiast niego. Bez sensu, prawda? – zapytał, ciężko wydychając powietrze.

– Nie bez sensu – odpowiedziała cicho Emilia. – Danie, to nie jest bez sensu – na chwilę delikatnie dotknęła jego ramienia.

Z wdzięcznością skinął głową.

– A moja mama ćwierkała: „Będę chodziła rano na jogę. Oczywiście, trzeba będzie wstawać o szóstej, ale cóż zrobić, to joga na brzegu oceanu!”. Ona nigdy w życiu nie ćwiczyła jogi, ale naprawdę chciała spróbować. I ja nie opuściłem ani jednej lekcji. W bufecie na śniadanie i lunch brałem to, co oni lubili. A po obiedzie siedziałem przy basenie z książką. Tato marzył o tym. „Leżeć na leżaku i nic nie robić”. On całe życie ciężko pracował. Rzadko pozwalał sobie na rozrywkę lub wakacje. Tak, kilka razy w roku weekendowy wypad w góry lub nad jezioro. Zawsze uważał, że jego fabryka mebli nie da rady bez niego się obejść. I rzeczywiście ona zaczęła podupadać, gdy tylko on odszedł. Za to też Markus się obwiniał. Zarzucał sobie, że nie stał się wystarczająco dobrym menedżerem. Po śmierci rodziców ja w ogóle zrezygnowałem ze wszystkiego. Z pracy w wydawnictwie i obowiązków wobec uczelni, na której wykładałem. I wyruszyłem w swoje podróże. W ten sposób znalazłem się tutaj z wami – uśmiechnął się lekko i powoli rzucił na każdego spokojne spojrzenie. – Zadzwońbym do niego. Powiedziałbym, że nie jest niczego winny. I nikt z nas. Zapewniłbym go, że rodzicom tu by się spodobało. I gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, byłby to najlepszy prezent w ich życiu.

Przy stole zapadła gęsta, prawie namacalna cisza. Nawet docinki Oliwii ucichły. Wszyscy patrzyli na Dana ze współczuciem, bezgłośnie wyrażając swoje poparcie.

I Dan nagle się uśmiechnął:

– Wiecie co, a ja zadzwonię do niego. Po co czekać na ostatni dzień życia? – spojrzął na zegarek, kierując go w stronę bladego światła girland. – Jutro o świcie. U niego będzie dokładnie siódma rano. W tymczasie on idzie pobiegać. W czasie pobytu na wyspie i podczas długich poszukiwań z wielu rzeczy zdałem sobie sprawę. Z nieuchronności wszystkiego, co się dzieje, z niemożności zmiany tego, co, jak nam się wydaje, moglibyśmy zmienić. Z bezużyteczności poczucia winy i maglowania wiecznego „a co jeśli?”. Dlatego samolot, do którego my nie wsiedliśmy, utknąwszy na tej wyspie, o ironio losu, to dla mnie oczywiste błogosławieństwo. I możliwość zobaczenia i zrozumienia wszystkiego jeszcze wyraźniej.

– Cóż, oczywiście – Oliwia wróciła do swojego zwykłego stanu. – Jak się was posłucha, to wszyscy chcieliście tu utknąć.

Przyzwyczajwszy się do Oliwii podczas tych dni na wyspie, wszyscy po prostu zignorowali jej uwagi.

– Dzięki za to, że się podzieliłeś, Danie – Jerry uważnie przyjrzał się młodzieńcowi. – A ja zadzwonię do Isabelle. Niech to i nie będzie ostatni dzień.

– No, nie wiecie, może, to będzie wasz ostatni dzień – wesoło powiedziała Leslie. – Mam dość powtarzania wam tego.

Jerry uśmiechnął się.

– No, dość już straszenia nas – żartobliwie spojrzął na Leslie, po czym zwrócił wzrok na Emilię.

Prawą ręką chwyciła cienką nóżkę kieliszka. Jej białe loki lśniły metalicznym złotem w świetle lamp elektrycznych, a wzrok

błądził po powierzchni stołu. Kiedy usłyszała swoje imię, podniosła na Jerry'ego oczy koloru palonej umbry i lekko się uśmiechnęła.

– Jesteście pewni, że chcecie usłyszeć moją historię? Jest banalna jak...

– Jesteśmy pewni – powiedział szybko Dan, zerkając na nią ukradkiem.

– A jakże – odpowiedział Jerry – ten ciepły wieczór prosi o historie. Banalne, smutne, dziwne, każde.

– No cóż – Emilia w zamyśleniu poruszyła ramieniem i schowała za ucho złoty kosmyk. – Gdybym dowiedziała się, że jutro jest mój ostatni dzień, z jednej strony bardzo bym się zasmuciła, bo dosłownie dopiero co wróciłam do życia – lekki uśmiech znów dotknął jej cienkich ust – a z drugiej strony, ucieszyłabym się, bo teraz można wszystko. Wiedząc, że śmierć już stoi w progu, możesz pozwolić sobie stać się żywą. Naprawdę żywą. Choćby nie na długo...

Oczy Jerry'ego rozbłyły ciekawskim ogniem, a on, nie ukrywając własnych uczuć, uśmiechnął się szeroko.

– Jerry, co się z panem dzieje? – Oliwia była zdziwiona. –Pan wygląda na opętanego! Po co panu te wszystkie historie? Co wieczór wymyśla pan nam gry i wciąga w nie, abyśmy opowiadali panu o naszym życiu.

– No, jak na razie nie udało mi się rozgadać pani – powiedział pewnie Jerry. – Emilio, przepraszam, jeśli zareagowałem zbyt gwałtownie. Nie pamiętam, czy to mówiłem, ale wiele lat temu



byłem scenarzystą, a potem wypaliłem się i odszedłem z tego biznesu. A teraz za każdym razem, gdy słyszę ciekawą historię, całe moje wnętrze płonie i krzyczy „Mogłem to napisać! Z niej można coś nakręcić. Mogłaby mi przynieść pieniądze i sławę”.

– Jerry, wszystko w porządku – Emilia uśmiechnęła się delikatnie. – Boję się tylko, że cię zawiodę. Historia jest naprawdę bardzo prosta, a nawet naiwna.

– Ale i tak chcielibyśmy ją usłyszeć – skinął Jerry.

A Leslie krótkim „aha” potwierdziła jego słowa.

– No cóż – kontynuowała spokojnie Emilia – kiedy mówię, że ucieszyłabym się z tego ostatniego dnia, to w istocie dlatego, że i tak długo uważałam siebie za martwą.

Przy stole znów zrobiło się bardzo cicho. I tylko zwykłe pomrukiwanie Oliwii i ostre krzyki mew nieustannie zakłócały przyjemną ciszę.

– Od kilku lat nie miałam powodu, by czekać na ostatni dzień. W środku mnie samej to było tak, jakbym nie żyła. Po prostu wędrowałam przez życie jak duch tkwiący między światami. Stało się to dwa lata temu – powiedziała z ciężkim westchnieniem – tego ranka Stephen, mój były mąż, spakował swoje rzeczy. Na progu naszego domu zatrzymał się i nagle powiedział, że wszystko, co było między nami, okazało się błędem. Że nigdy mnie nie kochał, a nasze małżeństwo było tylko wyjściem z jego kłopotów. Miał nadzieję, że życie rodzinne przynajmniej trochę go uratuje. Złagodzi jego ból. Pomoże się przełączyć. Ale nie uratowało, nie złagodziło, nie pomogło, bo przez cały ten czas kochał Lily.

Dziewczynę, którą poznał jeszcze w koledżu na samym początku nauki. Jego pierwsza miłość. Kilka razy o niej słyszałam. No, kto nie mówi o swoich byłych, zwłaszcza na początku znajomości? I najwyraźniej, po zebraniu swoich rzeczy, znalazł dziką i zaciekłą determinację, by powiedzieć mi całą prawdę. O którą, przyznaję się, nie prosiłam go – uśmiechnęła się gorzko. – Wszyscy mówią, że prawda oczyszcza i leczy. Nic podobnego. Gdyby tego dnia po cichu wyszedł z walizką, byłoby mi o wiele łatwiej. Ale on z jakiegoś powodu postanowił, że powinien opowiedzieć mi swoją historię, pokajając się we wszystkim, wyznać, a może po prostu podzielić się długo oczekiwaną radością. Tak, najprawdopodobniej to ostatnie. Nie mógł powstrzymać swojej radości.

„Pamiętasz tę imprezę z okazji otwarcia nowej restauracji w naszym domu?” – zapytał, stojąc z walizką w ręku.

Drzwi wejściowe były otwarte, a ja po prysznicu zdążyłam tylko włożyć jedwabny szlafrok.

„Tak” – skinęłam głową, nie rozumiejąc, co się dzieje.

„Ona była tam” – powiedział z dumą.

„Kto ona?”

Byłam zmieszana. Rok wcześniej nagabywała go jego asystentka. Odbyliśmy wtedy bardzo nieprzyjemną rozmowę, ale wiedziałam, że dawno temu zwolniła się i nic między nimi nie zaszło.

„Lily” – odpowiedział metalicznym głosem.

„Lily? – zapytałam ponownie. – Dziewczyna, w której byłeś zakochany w koledżu?”

Pokiwał głową.

„Byłem zakochany. I nadal Kocham. I zawsze kochałem. Tylko ją. Tylko ją jedną”.

Po tych słowach coś we mnie pękło. „Zawsze kochałem tylko ją!”. Ale byliśmy małżeństwem przez cztery lata i razem przez prawie sześć. Spojrzałam na niego zdezorientowana, po prostu nie wierząc w rzeczywistość tego, co się dzieje.

„Szukałem jej od dawna – powiedział. – Wszystkie te lata. Ale była mężatką. Zmieniła nazwisko. Przeprowadziła się do innego kraju. I nie mogłem jej w żaden sposób i nigdzie znaleźć. Jednak wróciła. A ja nigdy o niej nie zapomniałem i nigdy nie przestałem jej kochać. I wierzyłem, że pewnego dnia znowu ją zobaczę”.

Moje nogi ugięły się. Stałam na środku korytarza iw ostatniej chwili chwyciłam się szafki na buty. Inaczej pewnie upadłabym na podłogę – znów uśmiechnęła się gorzko.

Milczenie obecnych przy stole brzmiało jak wsparcie.

„Ożeniłem się z tobą, żeby o niej zapomnieć – powiedział nagle łamiącym się głosem – nawet nie wyobrażasz sobie, ile razy w łóżku bałem się nazwać ciebie jej imieniem”.

Milczałam i zadawałam sobie pytanie: „Dlaczego on mi to mówi?”. To jest bardzo bolesne. Czy on nie rozumie, że to wszystko jest niepotrzebne? Nie potrzebuje żadnych wymówek, żeby odejść. I nikt ich nigdy nie potrzebuje. Jakże może być wyjaśnienie, jeśli człowiek odchodzi?

„Spóźniłaś się wtedy – kontynuował chłodno – pamiętasz? Poszedłem na otwarcie bez ciebie i tam ją spotkałem. To ona

promowała tę restaurację. Stała przy barze z kieliszkiem czerwonego wina w dłoniach. Natychmiast ją rozpoznałem. Po wygięciu szyi, pochyleniu głowy, jedwabistych czarnych włosach. Ruszyłem w jej stronę. W chwili, gdy ją zobaczyłem, zapomniałem o wszystkim. O tobie, o naszych wspólnych latach. Wtedy widziałem tylko ją. Dziewczynę, którą zawsze kochałem. Rozmówiliśmy się. Okazało się, że od kilku lat jest rozwiedziona i często wspomina mnie i to, jak bezsensownie zerwaliśmy ze sobą. Odpowiedziałem, że mamy szansę. Nigdy nie jest za późno. Wskazała na obrączkę na serdecznym palcu, a ja powiedziałem, że to nic nie znaczy. Przepraszam, Emilio, ale to naprawdę nic nie znaczy. Miłość jest silniejsza niż obrączki i małżeństwa. Miłość nie zna przeszkód. Miłość to szczęście. I mam do tego prawo”.

I spojrzał na mnie jak ofiara, która nagle pozbyła się kata. Jakbym go trzymała, utrudniając mu szczęście. A teraz w końcu się mnie pozbył. Potem wyszedł triumfalnie. Po tygodniu otrzymałam papiery rozwodowe i natychmiast je podpisałam. Tego właśnie dnia, przy drzwiach wejściowych naszego domu, wydawało mi się, że umarłam. Prawie sześć lat mojego życia okazało się oszustwem. Mężczyzna, z którym mieszkalam, widział we mnie tylko niegodne zastępstwo, które nie spełniało jego oczekiwań. I przez cały ten czas nadzieja na znalezienie jej, jego prawdziwej miłości, kobiety jego życia, płonęła w jego sercu.

Głośno westchnęła, jej ramiona zadrżały.

– „Co jest ze mną nie tak? – myślałam wtedy. – Czy nie jestem godna miłości? Czy wszystko, co mi dano, to być drobnostką,

tymczasowym zastępstwem?” – w jej głosie słycać było wzruszenie i łzy podchodzące do gardła. – „Czy nie mogę być kochana, pożądana, cenna?” Te dwa lata nie były dla mnie łatwe. Wszystko przeżyłam bardzo boleśnie. Zamknęłam się na cały świat. Zerwałam wszelkie kontakty. Nie mogłam nikomu ufać. Zresztą nie chciałam. A trzy tygodnie temu zdecydowałam, że już dość – czas się odrodzić. Przynajmniej spróbować. I udałam się na tę wyspę. Więc gdybym dowiedziała się, że jutro jest ostatni dzień mojego życia, przypomniałoby mi to, że wciąż żyję. Pomimo tego, że przez długi czas wydawałam się sobie martwa.

– Cóż, wygląda na to, że udało się Pani wrócić do życia – powiedziała niespodziewanie przymilnie Oliwia. – Widziałam, jak Pani wczoraj wieczorem wyszła z jęgo pokoju – i rzuciła ostre spojrzenie Emilii, a potem Danowi.

– Ma Pani coś przeciwko, Oliwio? – Dan posłał starszej pani przenikliwe spojrzenie.

Nawet w zapadającym zmierzchu nie pozostało nie zauważalne, jak delikatnie dotknął dłoni Emilii pod stołem.

Leslie i Jerry spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Tak w ogóle to nie Pani sprawa – odpowiedziała cicho Emilia, zerkając ukradkiem na Dana. – Pocałowaliśmy się tylko raz, ale po wszystkim... o, cholera – wypaliła – w tym ośmiopokojowym hotelu niczego przed nikim nie da się ukryć... Nagle zapragnęłam znów poczuć, że żyję. I wiesz – jej głos drżał, teraz ona uważnie wpatrywała się w Dana, zwracając się tylko do niego – tak naprawdę, gdybym wiedziała, że jutro jest ostatni

dzień mojego życia, zaprosiłabym cię do siebie. Na pewno tylko w tym przypadku bym się nie bała – i uśmiechnęła się do niego czule, a jego oczy rozświetlił ciepły, delikatny ogień.

– Moim zdaniem wychodzi wspaniała nowa historia – powiedziała radośnie Leslie. – A ty mówiłaś, że banalna.

Spojrzała życzliwie na Dana, który uśmiechnął się nieśmiało, po czym zwróciła wzrok na Emilię. I nawet noc, która opadła na wyspę, nie mogła ukryć rumieńca, który pojawił się na policzkach młodej kobiety.

– No, a ja – ciągnęła żartobliwie dziewczyna, uśmiechając się chytrze – gdybym wiedziała, że jutro będzie ostatni dzień mojego życia...

Nagły dźwięk szlochów, szybko zastąpiony rzęśistym łkaniem, sprawił, że wszyscy zapomnieli o Leslie i spojrzeli ze zdziwieniem na Oliwię. Starsza kobieta wsunęła głowę w dłonie, przez co dźwięk płaczu został przytłumiony i tym bardziej przerażający. Przez prawie minutę nikt się nie ruszał, patrząc na nią w milczeniu. Emilia jako pierwsza nabrała odwagi:

– Oliwio, co się Pani stało? – zapytała wzruszona.

Tamta na chwilę się uspokoiła. Wzięła głęboki oddech i ciężko wypuściła powietrze. Zdjęła ręce z twarzy i rozejrzała się po wszystkich zalanym łzami spojrzeniem.

– Zasługuję na śmierć – powiedziała nagle w przyпіływie emocji. – I tak żyję nie własnym życiem. Zawsze żyłam. Macie do kogo dzwonić, kogo opłakiwać, czego żałować – nagle spojrzała na Emilię bardzo czule, prawie po matczynemu – kogo kochać i za

kim tęsknić. Macie przed sobą tak dużo wszystkiego. Proszę się ze mną nie kłócić, Leslie, choć teraz proszę się nie kłócić – spojrzała łagodnie na dziewczynę. – Ja mam już 75 lat i odkąd pamiętam, nie żyję, w ogóle nie żyję. Ja – kobieta znów wzięła głęboki oddech, powstrzymując łzy – dawno temu zabroniłam sobie żyć. Zabroniłam sobie czuć. Kochać. Zabroniłam wszystkiego. Czy wiecie, jak to jest żyć na złość? Z gniewu? Z bólu? Nie dla szczęścia, ale na złość. Na złość samej sobie. Całe życie na złość.

– Och, Oliwio – Emilia ostrożnie dotknęła pomarszczonej dłoni starszej kobiety.

– Miałam około dwudziestu lat. Byłam taka jak ty, Leslie – posłała dziewczynie łagodne spojrzenie – i kiedy myślałam, że mam wszystko przed sobą i mnie świeci wspaniałe szczęśliwe życie, spotkałam Nicholasa. Latem codziennie odwiedzał nas w naszym letnim domku nad jeziorem. Syn najlepszego przyjaciela taty. Kręcone czarne włosy, niebieskie oczy. Chłopiec jak z marzeń. Ale, jak się okazało, nie tylko moich – zadrzał głos Oliwii – ale także mojej kochanej siostry Annie. Nicholas był uprzejmy i nie faworyzował żadnej z nas, poświęcając czas każdej. Chociaż widziałam, że podobam mu się. I on mi się niesamowicie podobał. Zawsze mieliśmy o czym porozmawiać. Zawsze dużo się śmialiśmy. Jednak Annie zawsze dostawała to, czego chciała. Zawsze. I zawsze jej ulegałam. Tak było przyjęte. Jeśli Annie czegoś chciała, to w oczach rodziców chciał tego sam Pan Bóg. Była bardzo utalentowana. I była szczególnie dobra w grze na

pianinie. Wygrane konkursowe, występy, nagrody i wyróżnienia. Duma rodziny, duma miasta.

„Zrezygnuj z niego – szepnęła mi moja matka pewnej niedzieli. Miałam nieostrożność przyznać się jej, że naprawdę lubię Nicholasa. – Nie widzisz, jak Annie jest w nim zakochana? Nie dbasz o szczęście swojej siostry?” – Oliwia nagle zaśmiała się nerwowo. – Szczęście Annie było w naszym domu priorytetem. Nie miało znaczenia, o co chodziło. Ale tylko jej uśmiech zapalał gwiazdy na kopule nieba. Tylko jej radość była pieśnią aniołów w raju. A najgorsze jest to, że sama ją tak traktowałam. Jak bóstwo. I sama byłam gotowa na wszystko dla jej miłego słowa, dźwięcznego śmiechu i uznania mnie za godną siostrę. I ja wycofałam się. Zdradziłam siebie. Ot tak łatwo. Stawką przecież było szczęście Annie. Ona zawsze była odważniejsza, niż ja, mądrzejsza, bardziej komunikatywna. Ja tylko nieśmiało strzelałam oczami i rozmawiałam o ulubionych książkach podczas popołudniowej herbaty na dużej, miękkiej sofie. Natomiast Annie nie powstrzymywała się i następnego dnia po tym, jak powiedziałam jej, że Nicholas jest dla mnie tylko przyjacielem, a oni będą świetną parą, całowała go w altanie na podwórku. Ona zawsze dostawała to, czego chciała. Wabiąc, kusząc. Annie... – starsza pani uśmiechnęła się krzywo. – I nie potrafiłam wybaczyć ani sobie, ani jej, ani Nicholasowi, a zwłaszcza moim rodzicom, którzy nawet w kwestiach miłości byli po stronie mojej siostry, jakby Nicholas był kolejną naszą lalką, której nie mogliśmy podzielić.



A jesienią wyjechałam. Jak najdalej od nich wszystkich. I już nigdy nie wróciłam. Nie przyjechałam na pogrzeby rodziców. Nawet prawie nie odpowiadałam na telefony. I na złość wszystkim poślubiłam pierwszego lepszego, którego spotkałam, rzadkiego łajdaka. Pogardzałam nim. Nienawidziłam każdy dzień spędzony z nim. Tak ukarałam siebie za swoją słabość, niezdecydowanie, za własny brak talentu. Za to, że nie byłam światłem niebios dla własnych rodziców. Że moje życzenia nigdy nic dla nikogo nie znaczyły. Nawet dla mnie samej. Po trzech latach zostawiłam go, ale nie przestałam się torturować.

I wszystko, co robiłam w tym życiu, było na złość. Annie, rodzicom, którzy spoczywają w grobach, i Nicholasowi, którego tak łatwo uwiodła ładna buzia i czułe słowa. Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwa. Od tamtego lata, od tej ostatniej herbatki na dużej, miękkiej sofie... – łzy spływały po policzkach Oliwii, a Emilia chwyciła ręce starszej kobiety. – Dziękuję, kochanie – powiedziała stara kobieta łagodnym, ciepłym tonem, którego nikt od niej w tych dniach ani razu nie słyszał. – Moim nieszczęściem tak jakby chciałam odcisnąć wielkie czarne piętno na nienagannej anielskiej reputacji Annie. To było tak, jakbym mówiła niebiosom: „Spójrzcie, co ona zrobiła. Jak mnie zniszczyła”. A rok temu znaleźli mnie. Siostrzeńcy. Nie wiem, skąd wzięli mój numer. – „Ciociu Oliwio – powiedziała dziewczyna, której nie znałam – niech ciocia przyjedzie, proszę. Mama jest bardzo chora. Nie wiadomo, ile jej zostało. A ona tak chce zobaczyć ciocię po raz ostatni. Tęskni za ciocią przez całe życie i bardzo ciocię kocha”.

„Nie przyjadę” – odpowiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Kobieta rozpaczliwie potrząsnęła głową. – Nie, powiedziałam sobie, to się nie stanie. Nie, Annie, nie dostaniesz tego. I tak zawsze wszystko miałaś. Nie tym razem! Nie będzie już tak, jak chcesz – głos Oliwii drżał, sięgnęła po kieliszek wina, ale jej ręka, jakby wyczerpana, opadła na stół.

Jerry podniósł jej kieliszek. W milczeniu wzięła naczynie i opróżniła je za jednym zamachem.

– Oliwio – powiedział cicho Dan – jeszcze nie jest za późno.

– Już późno, chłopcze, słyszysz, już późno! Nie mam do kogo dzwonić. Nie mam kogo kochać. Przegrałam tę walkę z życiem. Jeszcze na początku.

– Oliwio, moja droga – Jerry uśmiechnął się łagodnie, napełniając kieliszek starszej pani świeżym winem. – Możemy ich znaleźć. Pani siostrzeńców. A kto wie, może Annie wciąż żyje? Może nie jest za późno? Przecież to jest pani siostra.

– Za późno, Jerry – odpowiedziała gorzko – za późno. Przeżyłam całe swoje życie na złość jej. Tak bardzo chciałam kiedyś wyrzucić jej to w twarz. Masz, Annie, spójrz, co mi zrobiłaś! Zadowolona z siebie? A tak bardzo ją kochałam, Jerry, tak bardzo ją kochałam! A czasami nawet chciałam, żeby mnie znalazła. I pewnego słonecznego poranka pojawiła się na moim progu. I przeprosiła. Za wszystko. Za Nicholasa, za rodziców. Za te wszystkie wypadki, kiedy odbierała moje. Tak łatwo i bez ceremonii. Ale ja jestem sama wszystkiemu winna. Mogłabym przeżyć życie szczęśliwie. Mogłabym, ale zawsze wybierałam

najgorsze wszystkim na złość. Aby, dowiedziawszy się o moim bólu i cierpieniu, poczuli się jak najgorzej. Aby i oni nie byli szczęśliwi, wiedząc, że zniszczyli czyjeś życie. Jakie to wszystko było bez sensu... Dlatego, Jerry – spojrzała na mężczyznę z głęboką tęsknotą w oczach – kiedy mówi pan „a co jeśli jutro jest ostatni dzień twojego życia”, wewnątrz się wzdrygam. Z przerażenia i strachu. W końcu w ogóle nie żyłam. Widzicie, jestem samotną, nieprzyjemną staruchą – skrzywiła się. – Śmierć takich ludzi to ulga dla całego świata.

– Proszę tak nie mówić, Oliwio, – powiedział łagodnie Dan. – Wie Pani, przez te lata, kiedy żyłem w ciągłym oskarżaniu siebie i mojego brata, rzucając się od jednej nauki do drugiej, zdałem sobie sprawę, że nic nie można zmienić. Przeszłość zdarzyła się tak, jak miała się zdarzyć. I Pani nie mogła zrobić inaczej. I ja nie mogłem. Ale teraz Pani może. My możemy. Nigdy nie jest za późno, dopóki Pani oddycha, a serce bije. Jeśli Pani chce, znajdziemy Pani siostrzeńców w sieciach społecznościowych, czy może ma Pani ich numer? A jak tylko dotrzemy na stały ląd, uda się Pani do swojej siostry. Pomożemy Pani. Zrobimy wszystko, o co Pani poprosi.

Nagle uśmiechnęła się przez łzy:

– Czy to prawda?

– Oczywiście – Dan uśmiechnął się uprzejmie.

– Oczywiście, Oliwio – potwierdził Jerry.

– Dobrze. Dobrze – skinęła głową. – Można spróbować – jej głos stał się spokojniejszy. Wytarła twarz i przyjrzała się

wszystkim uważnie. – Nie uwierzycie, ale przez wiele lat nie byłam z nikim tak blisko jak z wami. Przypadkowymi nieznajomymi, którzy utknęli na wyspie z winy linii lotniczej. I wiecie, czasami marzę, że samolot długo jeszcze nie przyleci. Tak, ciągle narzekam, burczę, pryham i pouczam, ale po prostu nie umiem inaczej. Ale ja spróbuję. Obiecuję. I muszę przyznać, że was lubię. Bardzo was lubię. I Pana, Jerry, z Pana głupimi gramami. I ciebie, Leslie, która wiecznie się kłócisz. I Panią, Emilio, – taką pełną wdzięku, bardzo piękną kobietę – musi Pani być szczęśliwa. I Pana, Danie, trochę filozofa, który zawsze ma subtelne wyczucie, kiedy coś powiedzieć, a kiedy przemilczeć. Przez te dni staliście się dla mnie rodziną, której nigdy nie miałam. A gdyby jutro był mój ostatni dzień, chciałabym go po prostu spędzić razem z wami. Ot tak w tym kręgu, przy tym stole, z butelką wina i szumem oceanu w oddali. Obserwować, jak Leslie ciągle marszczy swój nosek, kiedy się z czymś nie zgadza, a ona nie zgadza się w dziewięćdziesięciu procentach przypadków.

Leslie uśmiechnęła się.

– Nieprawda.

– To prawda, kochanie, to prawda. Obserwować, jak płoną oczy Jerry'ego, gdy słyszy nową historię. Człowiek żyjący sercem, dociekliwy i żądny życia. I ukradkiem spostrzegać, jak Emilia i Dan zbliżają się do siebie. Czasami takie rzeczy są bardziej widoczne z boku. I co wieczór ich krzesła zbliżają się coraz bardziej jakby same z siebie. Tak miło się to ogląda.

Emilia uśmiechnęła się i spojrzała na Dana. Spojrzał na nią przenikliwie i odwzajemnił uśmiech.

– Dziękuję – szepnęła starsza kobieta. – Tak długo ukrywałam miłość w sercu. Już zapomniałam, jak to jest. A wy przypomniaлиście mi. Jestem dzisiaj bardzo zmęczona, pójdę spać – kobieta wstała. – Dziękuję.

– To my Pani dziękujemy, Oliwio – powiedział Jerry.

Oliwia skinęła głową i skierowała się przez sklepione przejście do hotelu.

– Och, niepotrzebnie zrezygnowałem z wina – powiedział cicho Dan.

– Ostrzegałem cię – odpowiedział żartobliwie Jerry.

– Chyba już czas na mnie – Leslie wstała. – Wiecie, ja też bym niczego nie zmieniła.

Jerry spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– No, odpowiadając na Pana pytanie: co bym zrobiła, gdybym dowiedziała się, że jutro umrę? Nic. Przeżyłabym ten dzień jako zwykły dzień mojego życia.

Jerry uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Cóż, nie musisz do nikogo dzwonić, przepraszać, wybaczać?

– Nie – uśmiechnęła się dziewczyna. – Tata mnie uczył: żyj tak, aby każdy dzień mógł łatwo stać się ostatnim. Aby niczego nie żałować i nikomu nie być winną. Rozwiązuj konflikty i spory w miarę ich pojawiania się. I wyrażaj radość w ten sam sposób. I tak właśnie żyję. Zawsze gotowa stawić czoła śmierci.

– A rodzice? – Jerry był zaskoczony. – Zadzwoń do nich, napisz, powiedz, że ich kochasz...

– Mówię im to codziennie – uśmiechnęła się Leslie – wysyłam powiadomienia lub dzwonię.

– I co, niczego nawet nie będziesz żałować? Ale przecież jesteś taka młodziutka? – Jerry jej nie uwierzył. – Możesz jeszcze tyle przeżyć, zobaczyć, tak wiele się nauczyć...

– Tylko to, co jest dane. W końcu Dan ma rację – odpowiedziała dziewczyna. – Nie więcej, nie mniej. Żyłam niedługo, ale bardzo dobrze. To cud, prawda?

– Tak – odpowiedziała Emilia z uśmiechem.

– A więc jutro jak zwykle – wschód słońca i śniadanie na brzegu? – Leslie radośnie spojrzała na młodą kobietę.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Bardzo polubiłam nasze poranki.

– Chyba też do was dołączę – powiedział stanowczo Dan.

– Więc weźcie mnie ze sobą – uśmiechnął się Jerry.

– Zgoda – Leslie skinęła głową i skierowała się do hotelu.

– Twoja największa tajemnica – szepnął konspiracyjnie Jerry.

– Słucham? – Dan był zaskoczony i spojrzał na niego zdezorientowany.

– Nasz temat na jutro – mrugnął, wstając od stołu. – Przygotuj się, będzie wesoło. Dobranoc.

– Tu już na pewno nie porozumiemy się bez wina. Dobranoc – powiedział Dan.

A kiedy Jerry rozplynął się w ciemności nocy, spojrział czule na Emilię i ostrożnie wziął jej dłonie w swoje.

– Przyjdiesz do mnie? – zapytała szeptem, patrząc mu w oczy.

Skinął głową, nie mówiąc ani słowa i nie odrywając od niej oczu. Pochyliła się, pocałowała go w usta i powiedziała cicho:

– Nie chcę czekać na ostatni dzień.

Słońce powoli wschodziło nad horyzontem, zalewając światłem małą plażę w pobliżu hotelu. Różowa mgiełka zmieniała się w złotą. Leslie siedziała na piasku na samym brzegu wody. Fale spływały po jej nogach przyjemnym budzącym chłodem. Zmrużyła oczy na pierwsze promienie słońca, które powoli się budziło.

– Mmm... – przeciągnęła się słodko – jak pięknie dzisiaj!

Obok dziewczyny stał Jerry w wodzie po kostki. Wyciągnął się w błogim uśmiechu, wędrując wzrokiem po tafli oceanu, w której odbijało się złoto świtu.

Nieco dalej od wody Emilia siedziała w ramionach Dana.

– Tak, dzisiaj jest szczególnie pięknie – potwierdziła ze szczęśliwym uśmiechem na beztroskiej twarzy.

– Zdumiewające, niepowtarzalne piękno – powiedział rozmarzony Dan. – I dlaczego wcześniej nie wstałem z wami o świcie? – Jeszcze mocniej przytulił Emilię, jakby chciał nadrobić wszystkie te poranki, które przegapił, gdy bez niego witała wschód słońca.

Przez kilka chwil na plaży panowała cisza. Każdy był zanurzony we własnym. Jerry nie spuszczał wzroku z oceanu i

wrzucił do wody małe kamienie. Leslie zamknęła oczy i przybrała medytacyjną pozę.

Dan patrzył na słońce, które powoli pełzło nad horyzontem i ciągle czule całował Emilię w usta, policzki i szyję. Z zadowolenia ona mrużyła oczy i szeptała mu coś do ucha, a on uśmiechał się i gładził jej złote włosy.

– Dzień dobry – znajomy głos przerwał ogólną sielankę.

– Oliwio, Pani też z nami? Dzień dobry! – Jerry uśmiechnął się.

Za nim powtórzyły przyjazne głosy wszystkich obecnych.

– Czy mogę Pani pomóc? – zapytał Jerry. – Mamy koc i kosz ze śniadaniem. Kawa, kanapki, rogaliki.

– Proszę się nie martwić, Jerry, dam radę – Oliwia rozłożyła koc i usiadła. – W końcu mam tylko 75 lat.

– Wygląda Pani wspaniale – uśmiechnął się Dan.

– Pewnie – odpowiedziała. – Dobrze spałam tej nocy. Dawno tak nie spałam. A tak przy okazji, wszyscy wyglądacie genialnie. A wy – czule spojrzała na Dana i Emilię – również na nieprzyzwoicie szczęśliwych.

– Oliwio, może kawę? – zasugerowała Leslie.

Skinęła głową. I podczas, gdy dziewczyna nalewała czarną kawę do papierowych kubków, starsza kobieta powiedziała powściągliwie:

– I mam dwie wiadomości. Jedną dobrą i jedną wspaniałą. Od której zacząć?



– Oh! – Jerry się ucieszył. – A Pani milczała! Teraz Pani postanowiła z nami zagrać?

– Nie – machnęła ręką – do Pana mi jeszcze bardzo daleko, Jerry. Dobra, zacznę od dobrej. Zadzwońłam do mojej siostrzenicy.

Zabrzmiały radosne okrzyki i wszyscy skierowali zaciekawione spojrzenia na Oliwię.

– Annie żyje – powiedziała kobieta – Ruby, moja siostrzenica, powiedziała, że moja siostra wciąż na mnie czeka. I obiecałam, że przyjadę tak szybko, jak będę mogła.

– Cóż za wspaniała wiadomość! – wykrzyknął Jerry.

Leslie mocno przytuliła starszą kobietę.

– Och, dziewczyno – Oliwia uroniła łzę – to dzięki wam. Ale to nie wszystko – kontynuowała z lekkim uśmiechem. – Jutro wieczorem będzie samolot.

I znowu radosne okrzyki przerwały senną poranną ciszę.

– Na serio? – zapytał Jerry.

– Tak, właścicielka hotelu powiedziała mi to, kiedy wychodziłam. Zadzwońli na recepcję pół godziny temu. Przyleci tu samolot innej linii lotniczej, a na lot powrotny będzie kilka wolnych miejsc. Obiecali, że wystarczy dla nas wszystkich.

– Wspaniale! – powiedział radośnie Jerry, zmieszal się trochę i dodał. – Cóż, zadzwoniłem do Isabelle, wygląda na to, że nie jest już na mnie zła. A jeśli dobrze odgadłem radosne nuty w jej głosie, jest zakochana. Umówiliśmy się, że jak tylko wrócę do domu,

wypijemy z nią kawę gdzieś na deptaku. Mieliśmy tam kilka ulubionych kawiarni.

– Świetnie, Jerry! Jestem niezmiernie szczęśliwy z twojego powodu – Dan uśmiechnął się do niego.

– A co z Markusem? – zapytał nieśmiało. – Czy dzwoniłeś?

Dan skinął głową.

– Tak. Otóż będę musiał trochę odłożyć wyjazd.

– Słucham? – Jerry nie mógł uwierzyć własnym uszom, a Leslie prawie udławiła się kanapką. – Zostajesz?

– Tak – uśmiechnął się Dan. – Na kolejne dziesięć dni. Zaprosiłem tutaj Markusa. Powinniśmy się tutaj spotkać. Powinniśmy przez to przejść razem. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo się ucieszył, gdy mnie usłyszał, a także podzielił się, że w końcu zaczął spotykać się z kobietą, Rebeką, zdaje się, tak ma na imię...

– Wyobrażamy sobie – powiedzieli jednocześnie Jerry i Oliwia i roześmiali się razem.

A potem, na krótką chwilę, wszyscy znowu zamilkli.

– Poprosiłem Emilię, żeby została ze mną – powiedział cicho Dan, jakby przewidując wszystkie możliwe pytania – i ona zgodziła się. A potem polecimy razem – spojrzał na nią czule i ciepło.

Lekki rumieniec pokrył jej policzki, a kobieta w zakłopotaniu zakryła twarz dłonią.

– Myślę, że to kolejna niesamowita wiadomość na dziś – uśmiechnęła się Leslie. – Jak się cieszę razem z wami!

– Nie wiem, jak wy – powiedział niespodziewanie wesoło Jerry  
– ale ja idę się wykapać. Co jeśli jutro to mój ostatni dzień?

## 2 оповідання по українську

Оповідання “Життя триває” (Życie trwa) і “Ніжність” (Czułość) w języku ukraińskim były opublikowane w zbiorze “Близькі чужинці”, wydanej przez wydawnictwo “Книги – XXI”, miasto Czerniwci, 2022.

### Життя триває

– Ви з боку нареченого чи нареченої? – приємний чоловічий голос повернув її до реальності.

Жінка обернулася та розгублено глянула на чоловіка. Високий. У сірих штанах і білій сорочці, поверх якої одягнений жилет кольору морської хвилі. Як і в усіх друзів нареченого, наскільки вона встигла помітити. Світле хвилясте волосся торкалося плечей. Чоловік пильно дивився на неї.

Вона замріялася, замилювавшись нареченою у білій мереживній сукні, і не помітила, коли він підійшов. А вона ж спеціально обрала це місце біля живої огорожі подалі від святкової метушні, щоби спостерігати за весільними радощами молодят і їхніх гостей, залишаючись непомітною.

Жінка на мить завагалася, вигадуючи, що ж відповісти, і раптом, неочікувано для самої себе, збентежено всміхнувшись, промовила:

– Спіймалася.

Дивлячись у його проникливі темно-сірі очі, вона зрозуміла, що геть не хоче брехати, і продовжила:

– Маю зізнатися, що нікого тут не знаю. Я тут випадково.

– Чомусь мені саме так і здалося, – доброзичливо промовив чоловік.

– І що мене видало?

– Весілля в морському стилі, а на вас елегантна бордова

сукня.

– Це бургундський червоний, – вона усміхнулася. – Я була впевнена, що вона ідеально пасуватиме до будь-якого весілля. Класичний крій, довжина до середини ікри, не дуже помітне й таке, що геть не запам'ятовується.

– Але не на весіллі, де всі гості у відтінках блакитного, – чоловік усміхнувся у відповідь. – Ви сказали «до будь-якого весілля», якщо я правильно почув, – він знов уважно глянув на неї. – Значить, це не перше, де ви опинилися випадково.

– І знову спіймалася. – Щоки жінки вкрилися густим рум'янцем.

Вона поглянула на незнайомця... Щось у ньому невимовно підштовхувало до відвертості. Вона зробила глибокий вдих і несміло промовила:

– Ось уже два місяці я ходжу на всі весілля, що відбуваються у старовинній лютеранській церкві на площі. Я мешкаю недалеко...

Чоловіка це неабияк здивувало. Запанувала ніякова пауза.

– Будь ласка, продовжуйте, – м'яко промовив він. – Це, судячи з усього, дуже цікава історія.

– Та не дуже... – Її голос звучав невпевнено. – Я просто звіряю розклад церемоній. Приходжу, змішуюся з натовпом, а потім їду за всіма на свято. Проте на свій захист скажу: завжди приношу подарунок. Окрім того, намагаюся хоч щось дізнатися про наречену та нареченого. Часто в церковному розкладі вказані імена. Я шукаю їхні сторінки в соцмережах, вивчаю їхні гобі й інтереси, дивлюся фотографії та вигадую, ким я могла би бути. На ось такий випадок, – вона крадькома зиркнула на чоловіка, – якщо раптом запитують. Яюсь я була подругою з занять із кондитерської майстерності. Ох, бачили б ви, який розкішний торт ми одного разу з нареченою приготували! – вона раптом хитро посміхнулась. – У мене навіть була фотографія. Зробила скріншот. А одного разу була доброю знайомою з занять із йоги. А з одним нареченим я вивчала гончарство. Ох, скільки горщиків ми наліпили! Ще й випалювали разом. А цього разу, зізнаюся, я

геть не підготувалася. Навіть не дізналась імен нареченого та нареченої. Ще й на церемонію запізнилася. Мені потрібно було терміново закінчити статтю. Підїхала до церкви, коли вже всі сідали в автівки, тож я просто поїхала за всіма. І ось потрапила сюди, у це гарне затишне місце, випила келих шампанського та відїйшла якомога далі від епіцентру подій. Гадала, що залишуся непоміченою в розпал веселощів. Ніяк не очікувала втрапити в таку незручну ситуацію.

– Що ж, це дуже цікаво! Але *навіщо* ви це робите? – з невідомою цікавістю запитав чоловік.

Вона тяжко зітхнула, поправила каштановий локон і схвильовано глянула на нього.

– Можна сказати, що за порадою мого терапевта.

– Ваш терапевт порадив вам таємно відвідувати чужі весілля? – не повірив він.

– Ну, не зовсім так. Він порадив робити те, що дозволить мені відчувати себе живою. У межах закону, звісно.

Вона опустила погляд і носком чорної замшевої туфлі торкнулася дубового листочка, що самотньо горів золотом на зеленій траві.

– Робити те, – тихо продовжила вона, – що допоможе повірити, що життя триває.

– І чужі весілля допомагають вам у цьому? – вкрадливо запитав чоловік.

– Так, – відповіла вона. – Три роки тому я пережила дуже болісне розлучення. Таке, після якого не залишається каменя на камені. Тоді мені здалося, що життя закінчилося, що вже більше нічого не буде. Що все найкраще позаду. Отож мій терапевт порадив почати виходити в люди, спілкуватися, спостерігати й робити помітки, що життя все ж триває, попри все.

Чоловік мовчав, але не зводив із неї погляду.

– І одного недільного ранку я випадково потрапила на весільну церемонію, – вона всміхнулась. – Я не релігійна людина, та в той момент відчайдушно потребувала

підтримки. Тож я не вигадала нічого кращого, ніж зазирнути в церкву. Не повірите, я проплакала всю церемонію. Уявляєте? На весіллі геть чужих мені людей. Але чомусь ці прості символи – обручки, обітничі, поцілунки – подарували мені відчуття, що життя дійсно продовжується. Що все ще може бути. Пара до того ж була доволі дорослою. Обом за 50, не менше. І я подумала, якщо в 50 усе ще можливо, то, може, і моє життя не закінчилося. І того ранку в мене з'явилось гобі. Я придбала сукню, туфлі й ось цей срібний браслет, – жінка знічев'я продемонструвала свій зап'ясток. – Вирішила, що він пасуватиме.

– Він вам дійсно дуже пасує. І сукня теж.

– Дякую, – зникла вона. – Навіть не знаю, навіщо вам усе це розповідаю. Усе це геть безглуздо, звісно, та ось така в мене гра. Їм я на весіллях небагато і майже не п'ю. Тільки келих шампанського з якою-небудь тарталеткою чи тістечком. Тому витрати на мене мінімальні. Та й подарунок приношу. Тримаюся поодаль від усіх, аби мене не спіймали, нікому не заважаю і уникаю подібних ситуацій, – вона всміхнулася, звівши на чоловіка погляд янтарних очей. – Я просто насолоджуюсь атмосферою радості, кохання і тепла. Я вважала, що це доволі безневинно.

– Так і є, – чоловік теж усміхнувся. – По-моєму, ви знайшли геть непоганий спосіб відчутти себе живою, впевнитися, що життя триває і все ще можливо. Та й будь-який інший спосіб добрий, щоби повернути себе до життя. Полюбити його та бути за нього вдячним. Чи не так? Є у мене добрий друг Гарі. Гарі Деніел Морган. Пів року тому він дізнався, що йому залишилося жити два місяці. І то, якщо поталанить...

Чоловік зробив глибокий вдих і продовжив:

– Усе почалося з того, що Гарі раптом почав відчувати постійну слабкість, утому і якесь загальне нездужання. Що було геть не дивно, адже останні десять років він працював фінансовим консультантом у доволі великій компанії. Практично без відпочинку та вихідних. А коли до втоми

додалося безсоння, він визнав, що з цим потрібно щось робити. Отже, вирішив звернутися до лікаря і пройти медогляд. Насправді все, чого він хотів, – це отримати рецепт на снодійне, щоби знову нормально спати й повернути собі колишню працьовитість. Але коли за два дні він отримав результати скринінгу, то зрозумів, що вже зовсім скоро снодійне йому не знадобиться. Якихось два місяці, і на нього чекає вічний сон. Йому наполегливо рекомендували терміново з'явитись у клініку, щоби пройти додаткові обстеження, повторно здати аналізи та знайти спеціаліста, який зможе допомогти. Та Гарі нічого цього не хотів: ні обстежень, ні брехливих сподівань, ні пустих обіцянок лікарів. Він хотів одного – жити. Уперше його логічний і дисциплінований розум поступився місцем його серцю. Гарі вирішив прожити ці два місяці так, як завжди хотів.

Передусім він звільнився з роботи, якій віддав значну частину свого життя, згодом розійшовся із дружиною, яку, як виявилось, він кохав не так сильно, щоби провести з нею свої останні дні. І раптом почав усім і всюди говорити правду. Він неочікувано для самого себе усвідомив, як багато у своєму житті брехав. Брехав про все. Про те, що відчуває, що любить і навіть кого, чим хоче займатися, що йому подобається і як узагалі він хоче жити. А за тиждень, знявши з рахунку частину своїх заощаджень, – іншу він збирався пожертвувати дитячій лікарні, – полетів до океану. Раптом він згадав, що з 18 років мріяв займатися серфінгом, та постійно було щось важливіше. Навчання. Робота (безконечна, хоч і добре оплачувана). Спроби побудувати стосунки й навіть сім'ю. Дружба, що завершилася багато років тому і тепер висіла мертвим вантажем. Пусті стосунки з колегами і ще купа всього, що його геть не тішило. А багато чого вже досить давно не мало жодної цінності та значення. І дізнавшись, що йому залишилося так мало, він відчайдушно захотів жити. Жити! По-своєму, а не так, як просто звик.

І на березі океану він нарешті відчув себе цілком вільним, щасливим і безтурботним. Він узяв пару занять із серфінгу,



дошку на прокат і вже за тиждень підкорював океанські хвилі. Поселився Гарі в невеличкому селищі для шанувальників водного спорту. Засинав під шум хвиль і підіймався на світанку. Проте в глибині душі чекав. Чекав, коли смерть прийде за ним. А за два місяці та сотню підкорених хвиль він здивувався. Він почувався дуже добре. Там, на березі океану, від його втоми та безсоння не залишилось і сліду. Навпаки, таким здоровим і сильним він не почувався вже дуже давно. «Невже солоне повітря й океанська вода творять дива?» – дивувався Гарі.

Чоловік на мить зупинився, глянув на жінку й усміхнувся. Вона слухала його, затамувавши подих і не відводячи погляду від його очей.

– Він би там, мабуть, і залишився, якби раптом одного чудового дня не пролунав дзвінок. Дзвонили з тієї клініки, де два місяці тому він проходив обстеження. Винуватий жіночий голос повідомив про жахливу помилку. Раптом виявилось, що йому надіслали результати іншого пацієнта. Гарі не вірив своїм вухам. Однак Гарі Деніел Морган отримав результати Грегорі Дункана Моргана. І навпаки. Адміністраторка клініки гаряче перепрошувала за таке грубе непорозуміння і запевнила Гарі, що він повністю здоровий. За винятком гемоглобіну, який був нижче норми. Через поганий зв'язок і сильний вітер він так і не зміг розібрати, чия це помилка. Рецепціоніста, який заповнював анкету пацієнта, медсестри, що брала в Гарі кров, чи того, хто відповідав за розсилку результатів електронною поштою. Але помилитися було легко – тільки зараз він згадав, що на бланку стояли лише ініціали «Г. Д.»... Г. Д. Морган. І тепер він навіть не вірив, що вперше в житті нічого не перевірів, не уточнив. А він же фінансовий консультант! Він кожен рядок у документі перечитував по десять разів, щоби кожна літера й цифра були на своїх місцях. І до нього раптом дійшло: він так утомився від того свого життя, що був радий, що зможе хоч два місяці пожити геть іншим. – А як же той, другий, Грегорі? – розгублено запитала жінка.

– Зараз дійдемо й до нього. Як тільки Гарі поклав слухавку, він відчув себе огидно. Дізнавшись, що його результати переплутали з результатами іншого чоловіка, він дуже злякався: а що, як Грегорі Дункан Морган уже мертвий? І він навіть не знав, що йому залишилось якихось два місяці. Гарі раптом відчув жахливу провину. Ніби це він забрав у того чоловіка його останні місяці життя. Які той міг прожити інакше. Так, як хотів. Так, як ці місяці жив сам Гарі. Звільнившись від усього зайвого, брехливого та ненависного. І нарешті віддавшись чомусь справжньому, тому, що кличе та приваблює. Того ж дня він придбав квиток на літак додому. Йому хотілося знайти того чоловіка й попросити в нього пробачення. Він постійно повторював, що якщо б він перевірів тоді все ретельно, пройшов повторне обстеження, з'явився до лікаря, у того чоловіка був би шанс на останні щасливі дні.

У довіднику він знайшов Грегорі Дункана Моргана, але не додзвонився і поїхав просто до нього додому. Він дуже боявся, що вже пізно. Звісно, він розумів, що тому теж дзвонили з клініки й розповіли про плутанину з результатами. Але для Гарі було важливо особисто зустрітись і перепросити за те, що, як він гадав, саме він відібрав останні місяці чоловікового життя. Він приїхав до Грегорі додому, та не застав його. Зате зустрів там його сестру Амелію, якій розповів свою історію. У відповідь Амелія розповіла історію брата.

Грегорі проходив планове обстеження, щоби зрозуміти, чи подівав обраний курс лікування, чи потрібно знову змінювати схему. Отримавши результати й дізнавшись, що він здоровий, чоловік уперше відчув, що любить своє життя і відчайдушно хоче його проживати. До того він був жахливим нитиком, вічно незадоволеним та геть невдячним. Ні іншим, ні самому життю, ні хоча б собі. А коли п'ять років тому йому поставили невтішний діагноз, він і геть усе прокляв. І себе, і бога, і світ. Він залишив роботу (викладав скульптуру в університеті мистецтв), порвав з усіма друзями, навіть із рідними майже не спілкувався. Світ здавався йому несправедливим і жорстоким. Отож він просто очікував на

кінець. Але отримавши в той день результати й дізнавшись, що він здоровий, чоловік ніби заново народився. Він плакав, наче хлопча, і дякував, стоячи навколішки, богам й небесам. У тій самій старовинній церкві на площі. Хоч він ніколи й не був релігійним. Як і ви. Він дякував за другий шанс, за можливість жити. І пообіцяв самому собі та світу, що з цього дня все буде інакше. Він припинить жалітися, дорікати, звинувачувати всіх і вся у несправедливості. Він нарешті почне жити. І ось так збіг – він теж поїхав до океану. Він завжди мріяв пірнати з аквалангом. І новину про своє одужання сприйняв як знак. Тому без зволікань вирішив одразу ж реалізувати свою мрію.

Гарі не міг у це повірити. Він зізнався Амелії, що відчував жахливу провину, проте вона переконала його, що ще ніколи не бачила брата таким щасливим і живим. І що та безглузда помилка подарувала йому життя. Нове, радісне, щасливе. Нехай і коротке. Вона запропонувала подзвонити йому та переконатися в цьому. Вона зрозуміла, що для Гарі дуже важливо поспілкуватися з Грегорі. Важливо почути, що він ні в чому не винен. Яким же був подив Гарі, коли, набравши номер, він дізнався, що Грегорі зараз мешкає у тому самому селищі на березі океану, звідки кілька днів тому Гарі поїхав. Грегорі підтвердив, що і йому телефонували з клініки. І що, попри результати обстеження, він відчувається так добре, як іще ніколи не відчувався. Ця помилка подарувала йому два місяці свободи та щастя. Він здійснив свою мрію – вільне занурення без акваланга на глибину. Гарі стало легше. Голос незнайомця справді звучав так, як має звучати голос цілком щасливої людини. Гарі запропонував Грегорі зустрітися, як тільки той повернеться. І за два тижні вони сиділи в пабі в центрі міста. Грегорі тим часом уже навідався до свого лікаря, і той був у край здивований, адже Грегорі справді здоровий. Ще однією доброю новиною стало те, що Гарі й Амелія почали зустрічатися. У той день, коли Гарі ступив на поріг дому Грегорі, щоби просити прощення, між ним і Амелією наче іскра промайнула. І замість почуття провини він знайшов любов. Ну, так

принаймні вони всім говорять. А Грегорі повернувся до скульптури. Тепер він не тільки викладає, а й нарешті має власну майстерню, про що, як він згадав, теж давно мріяв, – чоловік торкнувся свого хвилястого волосся і всміхнувся.

– Ви Грегорі? – невпевнено запитала жінка.

– Так, – він розплився в щасливій усмішці. – Це я.

– А Гарі? – Її янтарні очі горіли допитливим вогнем.

– А Гарі сьогодні одружився з моєю сестрою.

– Оце так! – вигукнула вона й голосно засміялася від захвату.

– Така ось історія, – підсумував Грегорі. – Мій лікар не повірив, коли, повернувшись, я повторно здав аналізи. Ніби й не було нічого. Бажання жити, вдячність і щастя справді творять дива. Якби хтось інший розповів мені про це, я б і сам ні за що не повірив. Та я це пережив, – він на мить замовк і уважно подивився на неї. – А ви так і не назвали свого імені.

– Ізабель.

– Радий знайомству, Ізабель. Мабуть, кожному своє. Комусь серфінг, комусь дайвінг, а комусь чужі весілля. Кожен знаходить власний спосіб продовжувати жити. А що ви подарували молодцям? – запитав чоловік, допитливо дивлячись на неї. – Мені дуже цікаво.

– Винні келихи та сіль для ванни, – збентежено відповіла вона.

– Чудовий вибір.

– Не надто скромно?

– Ні, що ви! Я, на свою голову, подарував картину творчого друга Майлза Родда «Золотий захід сонця над океаном». Амелія ж, бачте, хотіла якусь абстракцію. З подарунками не завжди вдається догодити. Можу попросити у вас один подарунок і для себе?

Ізабель зашарілася.

– В обмін на мою таємницю?

– О ні, що ви! Ваша таємниця назавжди залишиться зі мною. Лише танець, – усміхнувся він. – Лиш один танець.

– Знаєте, Грегорі, – вона зняковіло опустила погляд. –  
Такого на чужих весіллях я ще не робила.

– Ну, бачите, цього разу ви зайшли дуже далеко.

– Боюся, у бордовій сукні на весіллі, де всі жінки в синьому чи блакитному, танцюючи з братом нареченої, я точно не залишуся непоміченою.

– Наскільки я пам'ятаю, це бургундський червоний, – усміхнувся він, – і маю вам сказати, ви жодної хвилини не були тут непомітною. Я звернув на вас увагу, щойно ви прийшли. І можу завірити вас, річ не тільки в кольорі сукні.

На щоках жінки з'явився легкий рум'янець, і вона пронизливо подивилася на свого співрозмовника.

– І ви не сердитесь, що я таємно прокралася на весілля вашої сестри?

– Навпаки. Я дуже радий, що ви тут, – лагідно промовив він, – якщо весілля моєї сестри подарує вам відчуття, що життя триває, то що може бути кращим?

З динаміків полилася ніжна мелодія. Оксамитовий голос обіцяв вічне кохання.

– Моя улюблена пісня. Ви не проти? – він подав їй руку, лагідно всміхаючись і дивлячись їй в очі.

Ізабель усміхнулась у відповідь і вклала свою долоню в його.

– Я теж її люблю.

## Ніжність

Вона була закохана в нього останні пів року. Болісні та прекрасні. Слухала його приємний низький голос, із ніжністю дивилась у його зелені очі, вдихала його запах. Терпкий сандал із гострими нотками мускатного горіха. Та водночас точно знала, що їй нічого не світить. Нічого й ніколи, адже це чоловік її найкращої подруги. Тієї самої, з якою вона познайомилася ще дванадцять років тому в університеті. Саманта, як і вона, обожнювала іспаномовну літературу ХХ століття. Вони зустрілися на зборах читацького клубу, де годинами обговорювали знаки та символи у творчості Маркеса та Лорки.

Ні, вона цього не хотіла. Ніколи не хотіла. Закохатися в чужого чоловіка. Тим паче в чоловіка Саманти. Вона ж добре знала, що подрузі, як і їй, не часто щастило в коханні. І Саманта пристрасно бажала зустріти того, з ким відчує безпеку, затишок і тепло.

Попала ж вона! Ні, такого не побажаєш і злішому ворогові. І собі вона такого, звичайно ж, не бажала. Закохати- ся в того, у кого закохуватися не можна. З ким ніколи не будеш разом. А часом їй здавалося, що навіть думати про це дорівнює злочину та зраді. Тій, яка завжди була поруч. У найгірші часи. Особливо тоді, коли вона залишалася сама, геть сама. Тільки Саманта і її плече, м'яке й тепле, було і подушкою, і щитом, і підтримкою, і захистом від усього світу.

Одного разу, змучена почуттям сорому та провини, вона раптом захотіла в усьому зізнатися. Та ще більше їй хотілося й далі його бачити. Дивитись у його очі й усміхатися у відповідь на його усмішку. Слухати його оксамитовий голос і завжди доречні тонкі жарти. І бути з ним хоча б раз на тиждень на відстані витягнутої руки, а інколи навіть і ще ближче. Торкатися щогою до його щоки, завжди ідеально поголеної та гладкої, під час кожної зустрічі та розставання. А ще десь у

глибині душі мріяти, що це могла бути вона. Вона. З ним. З таким чоловіком. Серйозним. Сміливим. Сильним.

Вона закохалася у той самий вечір, як Саманта привела його в італійський ресторанчик, де вони час від часу вечеряли, обговорюючи, що нового та цікавого відбулося в їхньому житті з моменту останньої зустрічі. Саманта, аби не розповідати, вирішила показати. Його. Те саме нове й цікаве, що сталося з нею всього кілька тижнів тому. Вона зустріла його на науковій конференції. Вони сподобались одне одному. І після усіх доповідей, виступів і презентацій зізналися, що були б не проти випити по келиху вина чи філіжанці кави. Та вже в іншому місті й за інших обставин. Однією філіжанкою не обійшлося. Й одним келихом теж. Вони почали зустрічатися.

– Джо, – подав він їй руку для знайомства.

– Емілі, – відповіла вона, зазирнула в його зелені очі й одразу закохалася.

Вона не знала, що так буває. Думала, що це можливо лише у книжках і кіно. З нею ж такого ще не траплялось. Кохання з першого погляду. Ще й не з тим.

А тепер майже щоп'ятниці вона дивилася на нього, прийшовши до них у гості. Поки всі вели безглузді розмови, сміялися над дурними жартами чи просто мовчали, неабияк напившись вина. Вона й сама із задоволенням пила. З вином було легше. Простіше. Завжди можна було сказати собі, що то не вона, а вино. Саме воно штовхає її дарувати йому ніжні погляди. Вино змушує її приходити. Знову та знову. Знаючи, що це лише ще більше отруює її. Та водночас нагадує, що вона може кохати. Що вона жива. А що ще потрібно?

Джо із Самантою винаймали невеликий будинок у віддаленому від центру районі міста. І щоп'ятниці Саманта влаштовувала, як вона сама їх називала, ігрові вечори. «Мафія», «Монополія», карти, «Скрабл». І ці зустрічі раптом стали регулярними. Емілі не одразу зрозуміла, що все це робилося для неї. Аби вона не сумувала, адже Саманті здавалося, що її подрузі це необхідно. Адже вона знову геть

сама. Емілі й самій здавалося, що ці зустрічі їй конче потрібні, хоча іноді почувалася на них майже нестерпно. Джо завжди сидів на канапі, а Емілі навпроти нього. Зазвичай іще приходили колеги Саманти Мартін і Ребекка, їх спільні подруги Анна й Ізабель і давній приятель Роб, якого вони обидві знали, здається, цілу вічність. І ще Макс, найкращий друг Джо. Хтось приходив із парою, хтось, як Емілі, був один. Когось вона знала давно, із кимось познайомилася зовсім недавно.

Мартін якось запропонував їй разом піти в кіно, але вона відмовилася. Не те щоби він був не в її смаку, просто він був «не Джо». У нього не було тієї чарівності й шарму. Тому вона просто далі дивилася на того, ким було зайняте її серце.

Він, звісно, нічого не помічав. Саме в цьому вона себе переконувала. Хоч інколи їй здавалося, що він знає вже давно. І, може, навіть із тієї першої зустрічі, коли їй довелося зупиняти себе, аби не затримувати на ньому погляд, надто довгий і надто ніжний.

Часом їй здавалося, що знає не тільки він, а взагалі всі. Усі, хто збирається в Саманти. І найстрашніше, що й Саманта теж. Часто вона хвилювалася, що ще трохи – і її таємниця, яку жінка так обережно приховувала, стане на- дбанням усієї компанії і спливе в якій-небудь дурній грі типу «Правда чи дія». Коли її запитають: «Як ти наважилася закохатись у чоловіка своєї найкращої подруги?». Але, на щастя, у цю гру ніколи не грали. Усі віддавали перевагу покеру.

І ця п'ятниця не була винятком. У неї, як і зазвичай, була слабка пара на руках, келих вина й ніжність в очах до чужого чоловіка.

Простору кімнату освітлювали численні гірлянди. Саманта говорила, що у грудні хоче кожен день наповнити відчуттям свята. І від цього приглушеного світла, вина й тепла Емілі відчувала, що їй несамовито хочеться кохання. Навіть іще більше, ніж зазвичай.

– Джо, я кохаю тебе, – вона негайно затулила рот рукою й



озирнулась.

Вона сказала це вголос чи все ж пошепки, чи, може, їй узагалі здалося?

«Дідько, – пронеслось у неї в голові, – із вином варто зав'язувати».

Вона вдивлялася в обличчя присутніх. Чи почув хтось її? Саманта безтурботно наповнювала чийсь келихи. Джо, осяйно всміхаючись, тасував карти. Мартін і Ребекка реготали над жартом, який вона з легкістю пропустила, хоч і сиділа поруч із ними. Анна набирала повідомлення на телефоні. З динаміків лилася приємна мелодія. У Саманти був чудовий музичний смак. І на грудень був складений спеціальний святковий плейліст. Поставивши келих на стіл, Емілі вслухалась у слова. Звісно, Сінатра. І, звичайно, з обіцянкою вічного кохання. Вона вже видихнула з полегшенням, що ніхто не почув її страшне зізнання, аж тут зустрілася поглядом із Максом. Він сидів у кріслі ліворуч від неї.

Макс з'явився майже одночасно із Джо. Джо якось привів його на спільну вечерю і похід у кіно. А потім він почав з'являтися майже завжди й усюди. Вічно скуйовджений і неголений. Макс, здавалося, був протилежністю Джо. Трохи галасний, відкритий і дуже емоційний. Він геть не вмів програвати. Але краще за нього в покері ніхто не блефував. Він жартома називав її Синьоочка. А вона щоразу виправляла його: «Я Емілі». Він грайливо відмахувався: «Звучить не досить яскраво для твоїх сапфірових очей».

Кілька разів вона ловила на собі його погляди, які не могла точно пояснити. Тому зазвичай вона ніяково усміхалась і поспішно відверталася. Вона говорила собі, що, мабуть, він намагається зрозуміти, блефує вона чи ні. А, може, і сам блефував.

Але зараз, вдивляючись у його очі кольору чорної кави, вона раптом побачила щось геть інше. Ніяк не пов'язане з картами чи блефом. Щось дуже знайоме. Таке ж болісне й безвихідне, як у неї самої. Ніжність. Ніжність! Яку

неможливо виразити. Яку не можна віддати. Яку доводиться приховувати. Стримувати, бо та не потрібна. Бо для неї немає місця.

Її серце забилося голосно й дуже швидко.

Він не зводив свого пронизливого погляду, і вона зрозуміла, що Макс чув. Тільки він серед усіх цих людей.

Від цієї думки в неї щось стислося в сонячному сплетінні та стало важко дихати. Вона спробувала вдихнути, проте не змогла. Тоді швидко встала, схопила пальто, що висіло на гачку біля дверей, і вийшла надвір.

Її обдало холодом, та свіже морозне повітря наповнило легені. Вона глибоко вдихнула. Голова пішла обертом, а серце забилося ще швидше.

– Час зав'язувати з вином і цими п'ятничними вечорами. Час закінчувати з усім цим, – шепотіла вона собі. – Давно час...

– Емілі! – гукнув її чоловічий голос. Вона обернулася. Макс.

– Ти забрала моє пальто, – усміхнувся він. – Нічого не маю проти, якщо воно тобі до вподоби, але я не влізу в твоє, а їхати роздягнутим додому в такий холод мені геть не хочеться.

Тільки зараз, глянувши на себе, вона зрозуміла, що в поспіху взяла його пальто. Воно здалось їй таким звичним і знайомим, адже він десятки разів накидав їй його на плечі, коли вони виходили подихати свіжим повітрям після особливо бурхливої партії в покер чи в перерві «Монополії», що розтягнулася до нескінченності. На ньому ж зараз була чиясь куртка.

– У кишенях є рукавички, – сказав він. – Одягни, а то руки замерзнуть.

Вона слухняно кивнула.

Він підійшов до неї ближче, обережно застібнув гудзики та підняв комір.

– Холодно. Вітер морозний. Ще захворієш.

Вона дивилася на нього, не кажучи ні слова. Він теж мовчав. А потім узяв її руки у свої. Навіть у рукавичках вони тремтіли. І він почав зігрівати їх своїм подихом. У цей момент

їй здалося, що він намагається зігріти не тільки руки, а й серце. І тоді вона зробила те саме для нього. Міцно обхопила його пальці своїми.

– Я знаю, – тихо промовив він. – Знаю, Емілі.

Вона продовжувала вдивлятися у його темні очі, що у світлі вуличного ліхтаря світилися гарячою міддю. І бачила в них усю ту саму ніжність, що й кількома хвилинами раніше.

– Я туди не повернуся, – раптом твердо сказала вона, кивнувши в бік вікна, за яким у теплому світлі гірлянд дружна компанія пила вино й над чимось нестримно сміялася. – Мене там більше нічого не тримає.

– Емілі... – промовив він ледь чутно.

І ніжність, що так довго стримувалась у його очах, знайшла свій вихід. Він дбайливо притулив її руки до своїх грудей.

– Мені подобається Синьоочка, – усміхнулася вона.